

**Adam Maniura**

# **DLACZEGO**



**nie zostałem  
Kardynałem?**

**Wydawnictwo Internetowe**

**[www.granice.pl](http://www.granice.pl)**

**Copyright by Adam Maniura**

**Redakcja, korekta, skład i łamanie:**  
**Sławomir Krempa**

**Wydawnictwo Internetowe**

**[www.granice.pl](http://www.granice.pl)**

## Wstęp

### I

Szczerze powiedziawszy, legendy, jakie w środowisku bytomskim krążyły o Adamie Maniurze, zawsze mnie trochę irytowały, podobnie jak wiele spośród Jego pomysłów. Irytował mnie podziw i cześć, jaką darzono Go w I LO w Bytomiu. Z drugiej strony, irytowały mnie Jego poglądy oraz stricte – katolicki sposób bycia. Uważałem Go wręcz za katolickiego fundamentalistę, gotowego w każdej chwili wsiąść na koń i walczyć z niewiernymi...

Jednak, ujmujące i niepokojące były Jego bezpośredniość i łatwość zjednywania sobie ludzi. Mimo, że za żadną cenę się do tego nie przyzna, Adam bardzo wysoko ceni młodzież, z którą pracuje i w dużym stopniu jej ufa. Powiedziałbym nawet, że kocha tych ludzi, mocniej nawet, niż nakazuje to Przykazanie Miłości, jak kocha swą pracę w szkole. Przy tym szanuje odmienne od własnych poglądy (choć wyraźnie daje do zrozumienia, że ich nie podziela), jeśli ktoś potrafi je uzasadnić. Czego więcej potrzeba idealnemu nauczycielowi?

### II

Adam wierzy. Bardzo mocno, szczerze i daje temu wyraz w codziennym życiu z autentycznej potrzeby, nie zaś wyłącznie dlatego, że tak nakazuje Mu Kościół. Ponadto, znalazł znakomity sposób Ewangelizacji – przez sztukę i działanie. Lekcje Katechezy stara się prowadzić w sposób

nietuzinkowy, ale nie poprzestaje na tym. Do młodzieży kieruje swe zajęcia pozalekcyjne – Koło Pantomimy oraz Teatr Młodego Aktora, podczas których przygotowuje spektakle pasyjne czy jasełka. Nigdy nie powtarza pomysłów z lat poprzednich, a przedstawienia te cechuje niesamowita oryginalność, aktualność oraz wycucie formy. Adam uwielbia posługiwać się symbolem i czyni to z zaskakującą sprawnością. Obok jednak widowisk poważnych, symbolicznych, metafizycznych i przejmujących do szpiku kości, tworzy również dowcipne, lekkie spektakle, które jednak zawsze skłaniają widza do pewnej refleksji.

Jasne, są to spektakle amatorskie, stąd braki techniczne i prostota formy, którą jednak Adam uczynił dodatkowym atutem przedstawień. Dzięki niej widzowie mogą dostrzec aktualność symboliki i przesłanie biblijnych tekstów – to niewątpliwie bardzo wiele. Ponadto, zajęcia Adama Maniury to swoiste „laboratorium teatralne” dla osób, które pragną w przyszłości poświęcić się służbie tej Muzie. W pewien sposób ukształtował On kończącego studia teatrologiczne Szymona Kostka, czy studenta reżyserii teatralnej w Warszawie – Adama Biernackiego, mogącego poszczycić się sporymi osiągnięciami w tej dziedzinie.

Prócz teatru, bytomski Katecheta założył również biblioteczkę katechetyczną czy wypożyczalnię różańców, o której w swoim czasie głośno było w mediach. Współorganizuje i prowadzi Spotkania Młodych w Wołczynie, często jeździ po kraju, by przeprowadzać przygotowane przez siebie rekolekcje. To człowiek nietuzinkowy – jak wszystko, co robi.

### III

Niebanalna jest również Jego opowieść „Dlaczego nie zostałem Kardynałem?”. Książka, napisana pod wpływem programów telewizyjnych i artykułów prasowych, poświęconych zakonnym i seminaryjnym patologiom, jest przede wszystkim świadectwem o normalności Kościoła. Adam Maniura; eks – kleryk w Zakonie Braci Mniejszych Kapucynów, ukazuje 5 lat swego życia we Wspólnocie. Opisuje zakonne obyczaje, uroczystości, tryb studiów, dzień powszedni, a nade wszystko – ludzi. Kleryków, braci wieczystych, opiekunów i wykładowców, których poznał podczas zakonnego epizodu swojej biografii. Wspomina ich przede wszystkim jako osoby normalne – z całym bagażem wad, przeżyć czy nawet dziwactw, są oni ludźmi normalnymi. Żyją, lub przynajmniej – starają się żyć wg reguły zakonnej i nauczania Jezusa Chrystusa. Zaznacza wyraźnie – wielu z nich odeszło z Zakonu, czasem oddalając się również od Kościoła, nigdy jednak nie spotkali się z praktykami homoseksualnymi, molestowaniem kleryków, nie byli też bohaterami innych wielkich skandali. Ci stanowią ułamek promila w oceanie przyzwoitości. Opowieść ta nie będzie więc atrakcyjna dla żądnych sensacji, zainteresować może natomiast łaknących prawdy o życiu zakonnym czy nawet – zastanawiających się nad podjęciem tej drogi.

### IV

Autor obala bardzo wiele stereotypów, związanych z powszechnym wyobrażeniem o życiu zakonnym. W Jego ujęciu zakonnicy nie są postaciami rodem ze średniowiecznej hagiografii. Są ludźmi. Żywymi, młodymi ludźmi. Klerycy nie tylko leżą krzyżem, modlą się, lecz uprawiają sport, wykonują

ciężkie prace w ogrodzie klasztornym, oglądają telewizję, mają swoje ulubione potrawy... Kochają rodziców, kłócą się, irtują, są porywczy, czasem – ogarniają ich wątpliwości, tęsknią... Czują. Złożenie ślubów zakonnych nie oznacza więc wyzbycia się pokus ciała i duszy, a jedynie – zobowiązanie do szczególnie silnego opierania się im, a przez to – zbliżenie się do istoty pojmowanego w sposób chrześcijański człowieczeństwa.

### V

Książka Adama Maniury to opowieść żywa. Największą zaletą jest jej autentyzm. Autor zawsze przyznaje, że nie jest zawodowym literatem, ale narrację prowadzi jak „rasowy pisarz”. Przepelnione poczuciem humoru, lekkie, spójne zdania sprawiają, że całość czyta się szybko i przyjemnie. Ważne, że swe spostrzeżenia Autor przeplata zabawnymi, choć czasem – rubasznymi anegdotami (cóż, bohaterami tej opowieści są przede wszystkim ludzie młodzi, ze wszystkimi wadami i zaletami tego wieku), co zdecydowanie ubarwia narrację. Szybkie tempo jej prowadzenia jest dodatkowym atutem książki.

### VI

Wreszcie – ostatni aspekt, na który chciałbym zwrócić baczniejszą uwagę Czytelników. A mianowicie – sposób, w jaki Narrator postrzega i opisuje innych ludzi. Spójrzmy – w tej opowieści brak „czarnych” charakterów, osób jednoznacznie ocenianych jako złe. Nawet, jeśli pojawiają się tu

przedstawiciele „ciemnej strony Mocy”, jak przygodnie napotkany gangster, wspomniani są ciepło i dość pogodnie. Ludzie jako stworzenia Boże są z natury dobrzy, choć wolna wola pozwala im odejść daleko od drogi, którą przygotował im Stwórca. Mimo tego, zawsze drzemią w nich ludzkie odruchy, uczucia, w każdym z nich drzemie Dobro.

Cóż, pragnąłbym bardzo, abyśmy byli choć w części tak dobrzy, jak nas postrzega mój Przyjaciel - Autor opowieści, do której lektury zapraszam Czytelników jako jej redaktor i jeden z pierwszych recenzentów.

Sławomir Krempa

## Przedśpiew

Twórcy współczesnej kultury zajmują się przede wszystkim inwigilowaniem drugiego człowieka, ciągłym poszukiwaniem sensacji. Jak grzyby po deszczu mnożą się informacje o kolejnych skandalach w Kościele – tu molestowano kogoś seksualnie, tam któryś ksiądz „zarabiał na boku”, gdzie indziej wykorzystywał ofiarność wiernych, a pieniądze z kolekty zamiast na cele dobroczynne przeznaczal na kupowanie kolejnych samochodów. Zwykle potem okazuje się, że cała ta sytuacja była tylko tzw. dziennikarską „kaczką”, a duchowny – może nie tak idealny, jak byśmy tego chcieli (ale cóż, ksiądz też człowiek) – wcale nie jest aż tak zły. Co gorsza, wszyscy złorzeczymy na media, jednak gdy program tego typu jest emitowany, porzucamy codzienne zajęcia i biegniemy do telewizora, by emocjonować się kolejną „tanią sensacją”. Późniejsze sprostowania czy przeprosimy nikogo już, oczywiście, nie interesują...

Do odrębnego nurtu należy zaliczyć artykuły, wypowiedzi, a nawet – programy telewizyjne, odkrywające ponure wspomnienia zza murów klasztornych czy seminaryjnych. Zaprasza się byłych księży, zakonników, kleryków, siostry zakonne, po czym odkrywają oni przed żądnymi krwi Czytelnikami, Widzami czy Słuchaczami ponure tajniki życia zakonnego. Wspominają, że molestowano ich seksualnie, znęcano się nad nimi psychicznie, męczono



pracą ponad siły czy też, że byli świadkami różnego rodzaju afer - nie wyłączać finansowych (te – jak uczy doświadczenie – najlepiej się „sprzedają”). Po jednym z takich programów wysłałem do pewnej stacji telewizyjnej wiadomość, że może w końcu, dla równowagi i sprawiedliwości, zrobiliby audycję, w której wypowiedzieliby się dawni zakonnicy, którzy są dumni z tego, że byli w Zakonie lub Seminarium, lecz z różnych przyczyn opuścili Wspólnotę. Odpowiedziano mi, że organizatorzy są zainteresowani moją historią. Nie, abym się chciał „pchać” przed kamery, ale zaczynałem wierzyć, że media mogą być obiektywne... Napisałem, że znam ludzi, którzy chętnie opowiedzą o swej „klerykalnej” przeszłości. Zadzwoiła do mnie bardzo miła kobieta, która już pierwszym pytaniem sprowadziła mnie na ziemię. Była zainteresowana tylko tym, czy nie miałem jakiejś kobiety na boku, będąc zakonnikiem. Musiałem ją rozczarować i z wrodzoną uprzejmością odpowiedziałem, że z zachowaniem ślubu czystości nigdy nie miałem problemów – gdyby mnie zobaczyła, zrozumiałaby - dlaczego. Tak zakończyła się moja medialna kariera, i dzięki temu wiem, czego media zwykle oczekują od ludzi z moją przeszłością.

Nie chcę negować świadectwa ludzi, którzy doświadczyli czegoś złego za murami Klasztorów czy seminariów. Nie twierdzą, że wszyscy zgodnie łączą, że istnieje wielki spisek mediów i cyklistów (sam uwielbiam jazdę na rowerze), mający na celu wspomóc postępującą laicyzację życia codziennego w naszym kraju. Tyle tylko, że wszystko zależy od punktu widzenia. Może, rozczarowani tym, że i wśród duchownych niewielu jest świętych, wystąpili z Zakonu i - aby przed sobą się usprawiedliwić - pewne

fakty postrzegają w wypaczony sposób? Może odkryli, że nie są stworzeni do życia zakonnego, ale niezręcznie było im się do tego przyznać? Może wreszcie - rzeczywiście spotkali kogoś, kto do Zakonu zdecydowanie nie powinien należeć, kto łamie wszelkie normy etyczne, obowiązujące nie tylko duchownych... Może rzeczywiście napotkali ten promil patologii, jaki tkwi także w Kościele (bo Kościół składa się z ludzi, a ci, jako się rzekło, nie są doskonali) i postanowili, nagłaśniając sprawę w mediach, naprawiać świat. Media świadectwa te emitują, bo – jak już pisałem – to się świetnie sprzedaje, to doskonały materiał na tzw. „news” – szokujący, poruszający, wobec którego przejść obojętnie po prostu nie można. Nikt nie publikuje zaś świadectw pozytywnych – opisujących te 99,9% pracy, którą na co dzień wykonują duchowni, tego wszystkiego, co w życiu zakonnym jest dobre, prawe i „Boże”. Co jest wartościowe. Nie pokazują, bo takie informacje „nie śmierdzą” – a więc nigdy nie staną się „newsem”.

Skoro jednak jedna strona ma prawo głosu, druga nie powinna milczeć. Pomyślałem więc, że i ja mogę wnieść swój skromny wkład w ten nowy nurt współczesnej kultury – w nurt opowieści byłych duchownych – „eksów”. Czynię to przede wszystkim, aby zaświadczyć, że żadna z tych strasznych rzeczy nie spotkała ani mnie, ani żadnego z moich współbraci. Zawdzięczam formacji zakonnej bardzo wiele i nie mogę milczeć, słysząc wszystkie dziwne historie, które rzucają bardzo złe światło między innymi na

moich dawnych współbraci. Mam wobec nich dług wdzięczności, który niech mi będzie dane spłacić na kartach tej książki.

Skoro ludzie tak bardzo pragną poznać historię „eksa”, postaram się opowiedzieć o moich 5 latach....

## Początki

*„Powolał Mnie Pan już z łona mej matki, od jej wnętrzości wspomniął moje imię” (Iz 49, 1)*

Oj, nie byłem Ci ja świętoszkiem... Zawsze wiele wędrowałem, lecz do Kościoła zawsze było mi zbyt daleko. Unikałem każdej formy pobożności jak dłużnik komornika, ale mimo tego, zaskakująco często moje ścieżki krzyżowały się z drogami Bożymi. Bóg był przy mnie, choć ja byłem daleko od Niego. Co pewien czas mocno działał w moim życiu, ratując mnie z różnorodnych opresji – wyszedłem cało z pożaru, który sam wznieciłem niedopałkiem papierosa, unikałem zastrzyków przeciwko wścieklicznie po ugryzieniu przez psa, podejrzanego o tę chorobę, którego zawsze drażniliśmy z kolegami... Ktoś powie – zbieg okoliczności – i ma do tego prawo. Sam wierzę, że nie ma przypadków, a wszystko, co nas spotyka jest częścią pewnego konkretnego i dla każdego z nas oryginalnego, niepowtarzalnego Planu. Jednak, byś lepiej mnie zrozumiał, drogi Czytelniku, pozwól że zapoznam Cię w paru słowach z moim dzieciństwem.

Od kiedy sięgam pamięcią, należałem do ludzi z grona „twardo stąpających po ziemi” i nie wykazywałem większego zainteresowania sprawami duchowymi. Jak większość moich rówieśników, inny byłem w domu,

a zupełnie inną twarz pokazywałem kolegom. W domu uchodziłem za grzecznego i raczej niezbyt rozgarniętego dzieciaka. Mój starszy brat był moim całkowitym zaprzeczeniem - zdolny, przystojny, z wielkimi aspiracjami - nadzieja rodziców. Było mi dobrze na drugim miejscu i nie wykazywałem chęci pójścia w jego ślady. Dopiero wśród moich kolegów mogłem być sobą, choć i tam nie wykazywałem skłonności przywódczych. Graliśmy w piłkę nożną i toczyliśmy codzienne boje z chłopakami z innych osiedli. I - jak każda paczka w tamtych czasach - mieliśmy marzenie: własny "klub". Pod tym pojęciem wyobrażaliśmy sobie jakąś opuszczoną piwnicę w którymś z naszych bloków, w której moglibyśmy palić, pić alkohol, wieszając plakaty ulubionych zespołów muzycznych, drużyn piłkarskich, samochodów i – oczywiście - pań nieco od nas starszych i dość skąpo ubranych. Znaleźliśmy opuszczoną piwnicę, którą chcieliśmy zagospodarować (oczywiście, w tajemnicy przed mieszkańcami bloku). Było to pomieszczenie o wymiarach około dwa na dwa metry, którą w bardzo szybkim tempie wysprzątailiśmy, pomalowaliśmy (farbę ukradł kolega) i założyliśmy zamek w drzwiach. Mieliśmy swój azyl!

Niestety miało się to wkrótce zmienić. Pewnego dnia, jeden z kolegów wpadł na pomysł pomalowania rurek. Niby nic groźnego, ale dla dzieciaków, które miały od 8 do 12 lat nawet tak prozaiczna czynność może okazać się „sportem ekstremalnym” - jak skakanie ze spadochronem, ale... bez spadochronu!

Tego dnia we trzech bardzo ciężko pracowaliśmy w naszym klubie, ale po jakimś czasie jeden z nas musiał pójść na obiad. Gdy wychodził, poprosiliśmy go o zamknięcie od zewnątrz drzwi na kłódkę, by nikt z mieszkańców nas nie nakrył. Korzystając z chwili wolnego, postanowiliśmy zrobić

sobie krótką przerwę na papierosa. A kiedy ogniem bawią się dzieciaki, nietrudno o wypadek. Mój kolega dopuścił się straszliwej pomyłki: wrzucił niedopałek papierosa do wiaderka z rozpuszczalnikiem. Chemia jest bezlitosna, więc stało się – odkryliśmy ogień. Z wiadra buchnął potężny płomień i zajęły się plakaty, mata słomiana oraz inne nasze skarby. Nie powiem, by siedzenie w płonącym pomieszczeniu było przyjemne. Chcieliśmy ugasić ogień, ale nie mieliśmy wody... Po ręką była jedynie kurtka chłopaka, który poszedł na obiad. Podczas walki z żywiołem, wszystkimi myślami atakowałem Niebo, prosząc Boga – jeśli naturalnie taki Ktoś istnieje – o pomoc i wyratowanie z opresji. Jeden z nas gasił ogień, a drugi próbował wezwać pomoc. Darłem się, by ktoś zszedł do piwnicy i zerwał kłódkę z drzwi.

Na szczęście, w końcu udało nam się ugasić ogień, pozostał jednak duszący dym. Nie mogliśmy oddychać. Walczyliśmy o każdy łyk powietrza i ustami przywarliśmy do luki między drzwiami, a podłogą. Z wielkim trudem łapaliśmy powietrze i dochodziliśmy do siebie. Wtedy do piwnicy zbiegli ludzie i w kłębach dymu zaczęli szukać tych, którzy wzywali pomocy. My - jakby wiedząc już, że wyjdziemy z tego cało - zdecydowaliśmy się nie ujawniać i postanowiliśmy przeczekać całe zamieszanie. Nikomu nie wpadło do głowy, by zainteresować się piwnicami... Bo kto może być tak głupi, by bawić się ogniem w zamkniętym pomieszczeniu? Jak widać, znalazło się dwóch takich chłopaków z poczuciem humoru... To wydarzenie po raz pierwszy chyba uzmysłowiło mi, że całe moje gadanie o niechodzeniu do Kościoła to wielki

blef. Gdy osuwał mi się grunt pod nogami - mimo wszystko - szukałem pomocy w niebie.

Drugi raz prawda ta dotarła do mnie kilka lat później. Przez nasze boisko często przechodził pewien człowiek, właściciel dużego psa, który czekał za nami jak nawiedzony akwizytor, zachwalający swe artykuły. My natomiast lubiliśmy go drażnić. O przygodę w takim przypadku nie jest trudno. Był wspaniały dzień i koledzy zawołali mnie do okna. Chcieli pograć w piłkę nożną, a na takie propozycje nigdy nie byłem głuchy. Ubrałem się więc i pobiegłem na boisko. Niestety, nie wiedziałem o czymś ważnym. Gdy wychodziłem z domu, moi kumple zauważyli wspomnianego wcześniej mężczyznę, spacerującego z psem. Jak zwykle, zaczęli drażnić zwierzę, okazało się jednak, że właściciel spuścił je ze smyczy. A pies ten był jak włoska mafia - nigdy nie przebaczał. Skwapliwie wykorzystał fakt chwilowej wolności i puścił się biegiem w kierunku boiska. Kilku chłopców wskoczyło na bramkę, a kilku postanowiło schronić się w klatce schodowej – tej właśnie, z której wychodziłem. Wybiegli zza rogu budynku, minęli mnie i pognali do domu. Niestety, nim zdążyłem zorientować się, o co chodzi i nabrałem odpowiedniej prędkości, pies dopadł mnie i wgrzyzł się w moją nogę. Nie była to wielka rana, ale wiedziałem, że muszę o całym zdarzeniu opowiedzieć rodzicom.

Ojciec szybko przeprowadził krótkie dochodzenie, w wyniku którego dowiedzieliśmy się, że pies ten nie był szczepiony przeciwko wściekliznie i - co gorsza – podejrzewano go o bycie jej nosicielem . Udaliśmy się do lekarza, który koniecznie chciał zaaplikować mi serię zastrzyków – ot, na wszelki

wypadek. Głosowałem wprawdzie przeciw, ale mój głos - jako niepełnoletniego - nie został uznany za ważny w tych wyborach. Kilka dni później byłem już w gabinecie, w którym stało łóżko z dziwnymi paskami, których przeznaczenia mogłem się jedynie domyślać, a sztuczna niczym wędzlina z supermarketu pielęgniarka poklepała mnie po głowie i powiedziała:

- Nie bój się! Te zastrzyki nie są bolesne.

Po tych słowach na jej ustach zagościł uśmiech z gatunku – rzekomo - pokrzepiających na duchu. Groza sytuacji jednak wspomogła wydatnie moją inteligencję, w wyniku czego zadałem genialne wręcz pytanie, na które pielęgniarka nie potrafiła udzielić mi satysfakcjonującej odpowiedzi:

- Tak? To po co są te paski na łóżku?

Czekaliśmy na mojego ojca, który poszedł do weterynarza po wyniki, mające przesądzić sprawę – miał ów pies wściekliznę, czy jej nie miał? Jak ja się gorliwie modliłem... Chyba była to najbardziej autentyczna i silna modlitwa w moim życiu!

Minęło dziesięć nerwowych minut. Pielęgniarka przygotowała zastrzyk, a ja - cały spocony ze strachu - obiecywałem Jezusowi, że zreformuję Kościół, zaradzę pladze głodu na świecie i ujawnię, kto zabił Kennedy`ego. Po zdających się trwać całą wieczność piętnastu minutach, do gabinetu wpadł mój ojciec, wymachując wynikami. Odetchnąłem z ulgą. Amnestia. Bogu dzięki, zastrzyki nie były potrzebne!!! A wracając do moich obietnic - Kościoła nie zreformowałem, głód nadal szerzy się na świecie, zaś śmierć Kennedy`ego - pozostaje zagadką.



„Jak trwoga, to do Boga” – tą dewizą kierowałem się w każdej potrzebie. Tak było do szesnastego roku mojego życia. Do tego momentu nikt nie potrafił mi wyjaśnić, dlaczego się modli, chodzi do Kościoła, dlaczego w ogóle wierzy? Rodzice bardzo dbali o to, bym chodził na Mszę Świętą, ale jedyny raz, gdy poszedłem tam dobrowolnie, przypadł na czas Pierwszej Komunii. Nie oczekiwałem wtedy zjednoczenia się z Bogiem, „duchowych fajerwerków”, znaków z nieba, ale – jak chyba większość moich kolegów - hojnych prezentów od rodziny. Zawsze skutecznie wymigiwałem się od przykrego obowiązku ślężenia w kościele. Te same twarze (zawsze smutne), znudzenie, śpiew tak różny od mojej ulubionej muzyki i księży, których osoby nie znałem i nie chciałem znać.

Przełom nastąpił, gdy kończyłem szkołę podstawową. Źródłem mojego pierwszego nawrócenia była... kobieta! Do tamtej pory cały mój świat skupiał się wokół kolegów, z którymi na pewno nie odwiedzaliśmy kościołów, a i dla kobiet nie było w naszym życiu miejsca. Jednak natura nie spała i domagała się coraz mocniej swych praw. Nie miałem koniecznego doświadczenia w nawiązywaniu kontaktów z przedstawicielkami płci dalece piękniejszej, niż moja. Każda próba była równie skuteczna, co naprawa zegarka za pomocą narzędzi kowalskich – wciąż jednak próbowałem.

No i stało się. Na horyzoncie pojawiła się Ona. Piękna, zgrabna i zawsze zabiegana, bo widywałem ją na spacerach z psem, który zawsze bardzo się spieszył do domu. Mignęła mi tylko przed oczami, ale to wystarczyło, bym zwrócił na Nią uwagę. Przez kilka miesięcy zbierałem się w sobie, by nawiązać kontakt. Nie chciałem jej wystraszyć, ale wykazać się

prawdziwą błyskotliwością. Skończyło się na tym, że słowa, które miały rzucić ją do mych stóp, brzmiały następująco: „Cześć! Nazywam się Adam. Wiesz, Ty mi się bardzo podobasz i zostaniesz moją żoną”. Mimo sporego rozbarwienia mojej rozmówczyni, kontakt został nawiązany – plan się powiódł.

To, co wydarzyło się później, miało wpływ na całe moje dalsze życie. Gdy wróciłem do domu, byłem najszcześliwszym człowiekiem pod słońcem i koniecznie chciałem się z kimś podzielić tą radością. Pomyślałem o rodzicach, ale gdy tylko przekroczyłem próg domu, zrezygnowałem. Zobaczyłem „typowy” dom, gdzie najgłośniej mówiła pani ze szklanego ekranu. Obawiałem się, że moi rodzice nie zrozumieją tej radości. Zaszyłem się więc w pokoju i wtedy, chyba po raz pierwszy tak naprawdę, zobaczyłem na ścianie obraz, przedstawiający Pana Jezusa. Padłem na kolana i Jemu wyjaśniłem moją radość. On mnie zrozumiał. Taki był początek mojej przygody z Bogiem, choć czekało mnie jeszcze wiele doświadczeń.

W ramach pierwszej randki udaliśmy się do Kościoła. Moja świadomość religijna nie była imponująca, wszystko było dla mnie nowe. Nie wiedziałem, dlaczego w pewnych momentach się stoi, a w innych - siedzi. Obserwowałem ludzi i robiłem to, co oni, by nie pokazać, że w kwestii Liturgii jestem całkowicie zielony. Jednak najważniejsze, że pierwszy raz byłem na Mszy dobrowolnie. Otworzyłem się na treści, które usłyszałem. Wtedy przeżyłem głęboko Eucharystię i zapragnąłem służyć przy ołtarzu.

Po moim nawróceniu wiele się zmieniło. Dotychczasowi koledzy oddalili się ode mnie, bo - o dziwo - dzieliła nas Ewangelia, która nie nazy-

wała dobrym mojego wcześniejszego postępowania. Jednak Jezus nie pozostawił mnie samego i ofiarował mi nowych przyjaciół, którzy z ogromną cierpliwością i wyrozumiałością „uczylili” mnie wiary.

Po ukończeniu Szkoły Zawodowej w moim umyśle zrodziła się myśl, by oddać się całkowicie Jezusowi. Impulsem był wyjazd na obóz dla dzieci niepełnosprawnych pod miłą nazwą „Burego Misia”, na którym miałem pełnić obowiązki opiekuna. Nie czułem do tego smykałki, więc wybrałem zajęcie palacza. Dbałem, by rano podgrzać dla dzieci wodę, by zrobić herbatę i zagotować wodę na wszystkie posiłki. Tak mijał każdy dzień. Wstawałem kilka chwil po czwartej rano, a na spoczynek udawałem się około północy. Ale wreszcie znalazłem radość w niesieniu innym pomocy. Zrozumiałem, że własnymi rękami mogę kogoś zranić, ale mogę także nieść ukojenie. Wybrałem to drugie. Nie wiedziałem jednak, co trzeba zrobić, by żyć dla wszystkich? Jedyne, co przyszło mi do głowy, to wybranie drogi kapłańskiej. Zdecydowałem wtedy, że muszę uzupełnić swoje wykształcenie o maturę, równocześnie pogłębiając wiarę i wiedzę religijną. Trzyletnie Technikum Wieczorowe z jednoczesną pracą w kopalni dało mi szansę na to pierwsze, a zaangażowanie się w życie parafii jako ministrant i lektor pomogło załatwić drugą kwestię. Moja religijność była wtedy połączeniem dwóch skrajności: autentycznego głodu rozmowy z Bogiem i minimalnej wiedzy na Jego temat. Dopiero będąc w Technikum dowiedziałem się, że istnieją nie tylko księża diecezjalni, ale również zakonnicy. Wpadła mi równocześnie w ręce lektura na temat o. Pio - kapucyna i stygmatyka. Początkowo myślałem, że był on założycielem Zakonu Kapucynów, ale szybko wyprowadzono mnie z błędu

i wskazano rzeczywistego twórcę - świętego Franciszka z Asyżu. To fascynacja jego osobą skłoniła mnie do podjęcia decyzji o wstąpieniu do Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów.

Co miesiąc wyjeżdżałem na tzw. rekolekcje powołaniowe, podczas których dane mi było poznać wielu wspaniałych braci. Widziałem, z jakim autentyzmem mówią o Jezusie i Franciszku i z jakim szacunkiem odnoszą się do każdego spotkanego człowieka. Chciałem być taki, jak oni. Podczas tych comiesięcznych wyjazdów, poznałem Kapucyna, który wywarł na mnie szczególne wrażenie. Był to o. Józef Mizera, pełniący wtedy funkcję przełożonego referatu powołaniowego. Do niego można przypisać maksymę: właściwy człowiek na właściwym miejscu. Walczył o każdego z nas, interesował się naszymi problemami i nigdy nie odmawiał pomocy. To jego świadectwo pociągało nas najbardziej. Nie chcę tu powiedzieć, że dbał o nas, bo myśleliśmy o Zakonie. Nie! Troszczył się o nas jako ludzi, a nie - jako „materiał na zakonników”. Przyjaźnił się z nami bez względu na to, jaką drogę później wybraliśmy. Jeśli usłyszał, że ktoś z nas nie może poradzić sobie z jakimś problemem, natychmiast wsiadał do samochodu i spieszył z pomocą, bez względu na odległości, które nas dzieliły.

Wszyscy bracia z referatu powołaniowego starali się w nas wzbudzić cechy, charakteryzujące dojrzałego chrześcijanina. Nikomu nie wmawiano powołania i w niczym nie przypominało to taniej reklamy. W czym zatem tkwiła ich siła, skoro co miesiąc przyjeżdżało nas około setki? Źródła

sukcesów należy dopatrywać się w modlitwie, której poświęcali bardzo wiele czasu. Zawsze zachwycał mnie widok braci, modlących się kaplicy. Ten spokój, cisza i skupienie udzielały się każdemu. Tak! Można powiedzieć, że czuliśmy się tam jak w domu.

## Pierwsze kroki

*„Niech nas nauczyci dróg swoich, byśmy kroczyli Jego ścieżkami” (Iz 2, 3).*

Matura to często czas zwiększonej pobożności i wzmożonej modlitwy. Wielu maturzystów „nawraca” się i składa Bogu wiele obietnic, których najczęściej potem nie dotrzymuje. Dziś wiem, że ten egzamin to tylko mały krok, który na pewno nie zasługuje na miano „egzaminu dojrzałości”. Lecz wtedy, gdy siedziałem przy stoliku i czekałem na otwarcie kopert z pytaniami z matematyki, nie miałem tak zdrowego dystansu. Moją najsłabszą stroną była i jest właśnie „królowa nauk”. Tak się jednak układało, że już od szkoły podstawowej zawsze trafiałem na matematyków, którzy uczyli mojego starszego brata. O, ten był matematykiem przez duże „M”! Zaliczał wszelkie możliwe olimpiady z tego przedmiotu, będąc pociechą i ulubieńcem nauczycieli. Ja natomiast co roku byłem zagrożony właśnie z matematyki i nawet w szkole zawodowej trafiłem na matematyczkę, uczącą kilka lat wcześniej mojego brata, który - jako biegły i dalece zdolniejszy - uczęszczał do Liceum. Jednak w ostatniej klasie Technikum poznałem nauczycielkę, która nigdy nie słyszała o moim bracie i podjęła się przygotowania mnie do matury. Pokazałem jej zdjęcie klasztoru i powiedziałem, że bardzo chciałbym tam wstąpić, ale na drodze stoi mi przedmiot, którego ona naucza. Przez cały rok za darmo udzielała mi korepetycji i - udało się! Zdałem

egzamin maturalny i Zakon stanął przede mną otworem. Moje marzenia zaczynały przybierać coraz bardziej realne kształty.

W krótkim czasie skompletowałem dokumenty i pojechałem na rozmowę wstępną, którą odbyłem z najwyższym przełożonym - prowincjałem. Powiedział, że wkrótce mogę oczekiwać odpowiedzi. Tak też się stało i po kilku dniach dostałem potwierdzenie, że mogę wstąpić do Wspólnoty Zakonnej.

Pierwsze kroki skierowałem do Krakowa - Olszanicy, gdzie miałem odbyć czterdziestodniowy postulat. Postulat to takie „przedszkole” dla przyszłych zakonników. Kładzie się wówczas nacisk na modlitwę, lekturę Pisma Świętego oraz zapoznanie z życiem założyciela Zakonu. Kolejne dni przebiegały wg prostego schematu:

1. Modlitwa – zapoznanie się z nowymi formami jak np. Brewiarz, zwany również Liturgią Godzin. Ten rodzaj modlitwy wkomponowany jest w rytm całego dnia. Nowością dla mnie była również medytacja. Już na wstępie okazało się, że ten rodzaj wielbienia Boga nie będzie moją najsilniejszą stroną. Podczas którejś z kolei medytacji tak zatopiłem się w kontemplowaniu Prawd Boskich, że zacząłem chrapać na całą kaplicę. Oprócz rozmyślenia, pogłębialiśmy także znane nam formy modlitwy, jak różaniec, czy adoracja Najświętszego Sakramentu.
2. Praca – ta część naszych obowiązków nie sprawiała mi większych problemów. Przed wstąpieniem do Zakonu pracowałem w kopalni, wiedziałem więc, za który koniec trzyma się łopatę, nie było też dla

mnie niczego nowego w malowaniu czy innych pracach. Mogę nawet zaryzykować stwierdzenie, że praca fizyczna stała się dla mnie odskocznią i idealną rozrywką po całym dniu ślęczenia nad książkami i słuchania wykładów – nie zawsze, niestety, ciekawych.

3. Nauka – tutaj także mogłem znieść wszystko, poza matematyką. Dzięki Bogu, wreszcie nikt nie kazał mi liczyć. Naturalnie, w początkowym okresie nie ma zbyt wiele nauki, więc nie sprawiała mi ona szczególnych problemów.
4. Rekreacja – czas spędzany wspólnie z braćmi. Najczęstszą formą rozrywki była wtedy piłka nożna. Tu miałem do powiedzenia całkiem sporo, bo dyscyplinę tę uprawiałem od dziecka. Jednak rekreacja to nie tylko sport, ale przede wszystkim obcowanie z braćmi. Zakon to wspólnota, więc próbowaliśmy tę wspólnotę tworzyć.

Z okresu postulatu pamiętam jedno ciekawe wydarzenie. Po stawieniu się w klasztorze, nasz przełożony zabrał każdemu z nas pieniądze, które schował jako depozyt. Mieliśmy już nauczyć się doświadczać życia ubogiego. Po zakończeniu postulatu, każdemu miano zwrócić jego środki finansowe. Wytrzymaliśmy jakiś czas, ale coraz mocniej doskwierał nam brak kawy i słodyczy. W całej Olszanicy był tylko jeden mały sklepik, w którym pracowała bardzo sympatyczna pani, wyrozumiała dla naszych potrzeb. Postanowiła nam pomóc, oferując te artykuły na kredyt. I tak wszystko funkcjonowałoby zapewne do końca, gdyby nie mały wypadek przy pracy. Przy okazji następ-



nych zakupów, do kolejki postulantów podszedł jakiś jegomość w „cywilu”. Był to jeden z braci, który zajechał do Olszanicy. Nie znaliśmy go, więc bez skrupowania dokonaliśmy koniecznych sprawunków. Przyglądał się całej tej transakcji z rozbawieniem i nie omieszkał podzielić się swą radością z naszym wychowawcą. Ten jednak, nie dzielając jego entuzjazmu, kazał spłacić długi i zakazał nam opuszczać Klasztor. Jednak, dzięki tej przygodzie, bracia z naszego rocznika uchodzili za ludzi którzy poradzą sobie w każdej rzeczywistości.

Czterdzieści dni upłynęło błyskawicznie i pozwolono nam rozpocząć prawdziwe życie zakonne. Nastął czas nowicjatu.

## Sędziszów Małopolski

*„Jeżeli więc ktoś pozostaje w Chrystusie, jest nowym stworzeniem. To, co dawne, minęło, a oto wszystko stało się nowe” (2 Kor 5, 17)*

Z plecakiem wypchanym rzeczami i głową pełną marzeń pojechałem do Sędziszowa Małopolskiego koło Rzeszowa. Wzniesiony tam klasztor stanowi przykład typowej kapucyńskiej architektury. Wybudowano go w 1736r. To skromny, mały i położony nieco na uboczu budynek. Z ulicy przechodzi się na schodki, wiodące na mały placyk, aż do furty klasztornej. Tam przywitał nas wspomniały brat Mikołaj Gruszkiewicz, który był nie tylko furtianem, ale również organistą, a z zamiłowania często naśladował dźwięki, wydawane przez różne zwierzęta. Witął nas bardzo serdecznie i oprowadzał po naszym nowym domu. Przez rok miałem tam, wraz z moimi braćmi, przeżywać czas swoistej próby.



Nad całością czuwał Magister Nowicjatu, którym wtedy był o. Wit Urbanik. Od samego początku sprawdzał nas bardzo skrupulatnie. Już przy wejściu do klasztoru zaskakiwał nas jakimś pytaniem lub stwierdzeniem, by zobaczyć, jak reagujemy w różnych, zaskakujących sytuacjach. Pamiętam, jak zaczepił Tomka Przybka o przydomku „Zwierzak”, zaraz po przekroczeniu furty klasztornej. Stwierdził, że na pewno nie nadaje się on do Zakonu, po czym zapytał, po co w takim razie tu przyjechał? Tomek z rozbijającą szczerością i radością, wyrażoną uśmiechem od ucha do ucha, odpowiedział:



- Żeby być świętym!

O. Wit zmieształ się trochę i zapytał:

- I Ty w to wierzysz?

Odpowiedź Tomka zaskoczyła wszystkich, nawet tak wytrawnego psychologa, jak o. Wit. „Zwierzak” bez zastanowienia wałnął:

- Jeśli ojciec nie chce wierzyć, to nie musi - i ze spokojem poszedł dalej.

O. Wit musiał nas poznać, a najlepszą po temu drogą jest obserwowanie delikwenta w nietypowych sytuacjach, kiedy nie myśli o udawaniu, ale jest po prostu sobą. Był sprytny i zawsze gotowy, by zadać jakieś dziwne pytanie, czy rzucić tekstem, który mógł wprawić w zakłopotanie każdego. Na

szczęście, klasztor był na tyle duży, że przez większość dnia udawało mi się go unikać. Nie chodziło o jakieś testy, które miały ujawnić nasze słabości, ale o odnalezienie prawdziwych powodów wybrania przez nas tego stylu życia. Bez odpowiedniej motywacji nie sposób wytrwać w Zakonie, a nawet, jeśli ktoś wytrwa, na starość będzie zgorzkniały i przykry dla braci i ludzi, z którymi pracuje. Można mówić o pewnej formie frustracji. Każdy naturalnie jest inny, magister zaś musi poznać nowicjusza na tyle dobrze, by zdecydować w imieniu całej Wspólnoty Zakonnej, czy nadaje się on do życia zakonnego, czy raczej powinien zasilić szeregi świeckich. Dziś to akceptuję, ale wtedy, gdy „tropił” mnie o. Wit, nie miałem tak dobrze podpartego teologią poglądu na tę sprawę. Jednak i on, jak większość mężczyzn, tylko udawał twardziela. W końcu pokonał go „Mad Max”.

Za mojej „kadencji” przyjęte było, że podczas Nowicjatu nie ogląda się telewizji, filmów video (o DVD nikt jeszcze nie słyszał) i nie słucha się swojej ulubionej muzyki. Ktoś może zapytać, po co takie wyrzeczenia? Nie chodzi jednak o wyrzeczenie, ale - o wyciszenie. Każdy z nas żyje w innym środowisku, ale jedno je łączy: zazwyczaj wszystkie są hałaśliwe. Nowicjat jest momentem zadumy i skupienia. Jednak raz udało nam się zobaczyć prawdziwe oblicze Magistra, właśnie dzięki telewizji. Wyczytaliśmy w gazecie, że będzie emitowany film „Mad Max”, który w tamtych czasach był prawdziwym hitem. Chcieliśmy go zobaczyć, ale - jak przekonać Magistra? Kilku braci ustaliło, że ja mam to załatwić. Proszę bardzo, tylko – JAK? Pogrążony w myślach, udałem się na obiad i tak mocno skupiłem nad obmyśleniem

sposobu przekonania przełożonego, że zapomniałem zjeść pierwsze danie. To naturalnie zwróciło uwagę naszego mistrza i sam mnie zaczął, pytając czule:

- Ty, gruby z Bytomia, dlaczego nic nie jesz?

Podjąłem rękawicę i na początek postanowiłem wzbudzić ciekawość mojego rozmówcy. Odpowiedziałem, że to nieważne, bo ojciec i tak mi na to nie pozwoli. Przynęta „chwyciła” i posypały się kolejne pytania, od odpowiedzi na które starałem się zręcznie wymigać. O. Wit myślał, że mam ochotę na moje ulubione danie, o którym mu kiedyś wspomniałem i sam zaproponował mi kurczaka, frytki i... wywar z chmielu. Ale, gdy nie udzielałem odpowiedzi przez kilka następnych chwil, Magister nieopatrznie powiedział, że jeśli mi na to „coś” pozwoli ojciec gwardian (najwyższy przełożony w domu zakonnym), to i on się zgadza. Tak się dziwnie złożyło, że gwardian – wtedy był nim o. Jerzy Pająk - był moim spowiednikiem i bardzo mnie lubił, więc wiedziałem, że z serdecznym uśmiechem wyrazi zgodę. Wtedy powiedziałem o. Witowi, że chcemy zobaczyć film. Magister był człowiekiem honoru, więc także się zgodził. Jednak pozostała jeszcze jedna kwestia, a mianowicie - godzina jego emisji. Pamiętam, że była to godzina 23<sup>45</sup> i kiedy zjawiliśmy się na modlitwach wieczornych, Magister zapytał, o której zaczyna się film? Zapadła taka cisza, że można było usłyszeć nawet ściszone oddechy braci. Musiałem kontynuować to dzieło, więc odpowiedziałem, że o 23<sup>45</sup>. Padło kolejne pytanie – czy o tej godzinie „Mad Max” się kończy? Stwierdziłem: „Nie, wtedy dopiero się zaczyna”. I stał się cud. Zamiast zrobić wielką awanturę, odsądzić nas od czci i wiary, Magister zaczął przeproszać, mówiąc, że to zbyt późno, że to klasztor itp. Wtedy pierwszy raz pokazał, że nie jest takim sztywniakiem, za jakiego go

uważaliśmy. Z całej historii tylko ja poniosłem szkodę, i to podwójną. Po pierwsze: nie zjadłem mojego ukochanego dania, a po drugie - nie obejrzałem wymarzonego filmu.

Pierwszym wielkim przeżyciem, którego mogłem doświadczyć w Nowicjacie, były tzw. Obłuczyny. Słowem tym określa się ceremonię pierwszego włożenia habitu zakonnego. Moment ten jest poprzedzony tygodniowymi rekolekcjami, podczas których powinno się zachować milczenie. To nigdy nie było moją domeną, ale skoro inni ze mną nie rozmawiali, więc i ja musiałem się dostosować. Nie odkryłem jeszcze wtedy sensu powiedzenia, że mowa jest srebrem, a milczenie - złotem. Musiałem się więc sporo namęczyć, by zachować ciszę, a tak już z ludźmi bywa, że najbardziej mamy ochotę na rzeczy, których w danym momencie jesteśmy pozbawieni. I mimo, że w klasztorze przebywało wielu braci, odnosiło się wrażenie, że nikt tam nie mieszka. Bracia o rok starsi, rekolekcjami kończyli okres nowicjatu, a my wkraczaliśmy dopiero na tę drogę i rozpoczynaliśmy naszą franciszkańską przygodę. Przez cały ten czas musieliśmy przejmować ich obowiązki i rejony, by klasztor nadal mógł sprawnie funkcjonować.

W wieczór po zakończeniu rekolekcji, po raz pierwszy w życiu miałem założyć swój habit. Nie sposób porównać tego doświadczenia z żadnym innym. Ceremonia ta jest zamknięta dla ludzi z zewnątrz. Wieczorem cała wspólnota domowa zbiera się w kościele, gdzie na ławce czekają elegancko złożone habit. Cała świątynia jest pogrążona w półmroku, na twarzach

wszystkich zebranych widać skupienie, podkreślające doniosłość tego, co za chwilę się wydarzy. Trema jest ogromna. Po krótkim przywitaniu i wysłuchaniu Słowa Bożego, magister nowicjatu zabiera głos i mówi o znaczeniu szaty zakonnej i należywym jej traktowaniu. Następnie święci się habity i ubiera się je przy wsparciu bardziej wprawionych w tej materii braci. Niektórzy byli tak przejęci, że głowy wkładali w rękawy, ale i oni po krótkiej szamotaninie kończyli z wyraźną ulgą wkładać swoje nowe „wdzianka”. Wrażenie jest ogromne i niepowtarzalne. Każdy jest na tyle wzruszony, że jeszcze długo po ceremonii trwa cisza, wszyscy zapominają o tym, że można już mówić. Do późnego wieczoru każdy chodzi w swym nowym stroju i nie ma ochoty się z nim rozstawać. Przygląda się innym i dzieli swoimi wrażeniami. Byli i tacy, którzy planowali nawet położyć się spać w tym stroju.

Wszyscy bardzo szybko przekonują się, że nowy strój niesie z sobą nowe wyzwania. Największym z nich jest opanowanie trudnej sztuki wchodzenia w habicie po schodach. Jeszcze przez najbliższy miesiąc wyraźnie dały się słyszeć dźwięki, wskazujące, że ktoś wyrzucił się na drewnianych stopniach. Innym problemem było nauczenie się klękania i - co ważniejsze - wstawania z pozycji klęczącej. Każdy dziesiątki razy przydeptywał swój habit, wystawiając się na pośmiewisko. Jednak, im dłużej nosiliśmy strój zakonny, tym lepiej radziliśmy sobie z tajnikami jego używania.

Teraz, z perspektywy czasu, mogę powiedzieć, że nie doceniałem potęgi habitu. Ten strój nie tylko wyróżnia zakonnik czy zakonnice z całego tłumu ludzi na ulicy, ale wymaga od osoby, która go nosi, konkretnej postawy i świadectwa. Każdy nas postrzega człowieka w habicie jako przedstawiciela

nie tylko Zakonu, ale całej Wspólnoty Kościoła. Może więc tak wielu braci woli chodzić bez habitu, by pozostać nierozpoznawalnymi? Tak jest wygodniej, tylko - jak to się ma do świadectwa, które powinniśmy dawać? Szkoda, że tak wielu braci przemyka ulicami naszych miast bez tej widocznej oznaki powołania. Wypada jedynie prosić, by zakonnicy nie zamieniali habitu na inne stroje, może bardziej eleganckie i funkcjonalne, ale - czy ewangeliczne?

Jak wyglądał dzień powszedni w Nowicjacie? Jak zawsze, wstawać trzeba było za wcześnie. Krótko po godzinie piątej rano brat, odpowiedzialny za pobudkę, krążył po klasztorze z dzwonkiem, stawiając przed sobą jeden cel: zbudzić wszystkich. Z reguły każdemu się to udawało, ale byli wśród nas i tacy, którzy wykazywali nadzwyczajną odporność na tego rodzaju „zaproszenie” do wstania z łóżek. Niestety, nigdy nie zdarzyło się, by zasnęła osoba, odpowiedzialna za budzenie. Po krótkiej porannej toalecie, wszyscy w końcu docierali do kaplicy, gdzie odmawialiśmy wspólnie Jutrznę. Po jej zakończeniu następowała medytacja. Najczęściej rozważałem wtedy teksty biblijne oraz „Dzieje duszy” Św. Teresy od Dzieciątka Jezus albo „Dziennik siostry Faustyny”. Zawsze fascynowała mnie droga do Boga ludzi świętych. Nigdy nie miałem „lukrowanego” wyobrażenia świętości. Dla mnie święci to ludzie tacy, jak my, ale z tą „drobną” różnicą, że poważniej traktowali Ewangelię, dostosowywali swoje życie do treści w Niej zawartych. My dziś czynimy odwrotnie – chcemy Ewangelię dostosować do naszych czasów. Może dlatego tak wielu ludzi odchodzi od wiary, ponieważ ich wizja Boga nie



zgadza się z tym, co głosi Kościół? Uznają swój autorytet za większy od reprezentowanego przez Wspólnotę, której istnienie zainicjował sam Chrystus. Pewnie Święty Paweł miał rację pisząc: „Czyż nie uczynił Bóg głupstwem mądrości świata?” (1 Kor 1, 20d).

Powróćmy jednak do planu dnia w Nowicjacie. Po modlitwach porannych, przeżywaliśmy najważniejsze spotkanie dnia: z Jezusem w Eucharystii. I muszę przyznać, że były to Msze Święte, które będę pamiętał do końca moich dni. Dla wielu braci były to pierwsze doświadczenia z przygotowywaniem liturgii. Nie brakowało wpadek i nieoczekiwanych przygód, ale mieszkańcy Sędziszowa, przyzwyczajeni do tego rodzaju „sensacji”, byli dla nas nad wyraz wyrozumiali. Szczególnie podziwiam ich za cierpliwe znoszenie naszego śpiewu, który – choć może i natchniony – kompletnie nie nadawał się do słuchania. Nie wiem, czy w naszym wypadku spełniało się powiedzenie, że kto śpiewa, ten modli się dwa razy. Naturalnie, podejmowano nieustanne, choć z góry skazane na porażkę, próby nauczania nas śpiewu, ale efekty były proporcjonalne do wyników prób nauczania słonia sztuki latania. Jednak zapału nam nie brakowało i dopiero po odejściu z klasztoru zrozumiałem, dlaczego lekcje śpiewu, prowadzone przez p. Monikę Szarek, najczęściej odbywały się w salce, zlokalizowanej w podziemiach klasztoru. Najważniejsze było jednak to, że staraliśmy się uczynić Liturgię jak najpiękniejszą, by każdy otworzył swoje serce na Boga. Na każdym, kto nawiedzał nasz kościół, widok kilkudziesięciu młodych mężczyzn, modlących się i zachowujących należyty szacunek do Miejsca Świętego musiał robić wielkie wrażenie. Sam doceniam to dopiero teraz, kiedy widzę, jak zachowują

się niektórzy ludzie młodzi, na przykład - przygotowujący się do bierzmowania i w jakim stanie zostawiają po swoich próbach kościoły. Takie zachowanie i bałagan, panujący w kościele, można już śmiało uznać za zwyczajną profanację.

Nowicjat to czas, w którym z ogromną pieczołowitością dba się o atmosferę modlitwy i skupienia. Gdy bracia stają przed Panem na modlitwie, nawet tak zwyczajne gesty jak znak krzyża czy przyklęknienie przed Tabernakulum celebrują jako coś bardzo ważnego. Oni wiedzą, że na modlitwie powinni być obecni nie tylko duchem, ale i ciałem. Bo – wbrew pozorom – duże znaczenie ma sposób, w jaki wykonuje się i czy należyście interpretuje wszelkie gesty i znaki obecne np. podczas Mszy Świętej.

Oprócz śpiewu, uczestniczyliśmy również w innych wykładach, jak łacina czy wstęp do teologii. Szczególnie ta pierwsza sprawiała mi wiele trudności, bo znałem tylko „łacinę”, stosowaną zwykle w kopalni i na podwórku. Z jednej strony łacina klasyczna bardzo mi się podobała, a z drugiej - nie miałem nigdy odpowiedniego “zacięcia” do studiowania jakiegokolwiek języka. Na pewno, wpływ na to musiało mieć systematyczne “wmuśzanie” w nas w szkole języka „kraju bratniego” zza wschodniej granicy. Język obcy kojarzył mi się z przymusem i nim zrozumiałem, że nauka języka obcego to ogromna szansa, byłem już za stary, by podjąć się tego dzieła. W tej dziedzinie szczególnie imponował mi o. Gustaw Tyburczy. To wielki autorytet w dziedzinie łaciny. Jednakże, jego największym darem było chyba

„młode serce”. Mimo wielu wiosen, potrafił każdy dzień przeżyć z uśmiechem na ustach. Ujęły mnie w nim też zdolności kulinarne. Uwielbiał eksperymentować i co pewien czas fundował nam różne sałatki - czy to z mleczka, czy z pokrzywy. Naturalnie, najlepszym obiektem na doświadczenia jest nowicjusz, który - jako człowiek wielkiej wiary - nie lęka się żadnych trucizn, opierając swą ufność na słowach Chrystusa:

***„Tym zaś, którzy uwierzą, te znaki towarzyszyć będą:  
w imię moje złe duchy będą wyrzucać, nowymi językami mówić będą;  
węże brać będą do rąk, i jeśli by co zatrutego wypili,  
nie będą im szkodzić” (por. Mk 16, 17-18).***

Jednak wszystkie sałatki świata, nie mogły się równać z przygotowanym przez o. Gustawa leczem, do którego solidnie dolewał wina. Jednak pewnego dnia stała się rzecz straszna: nasz mistrz lecza zapomniał dolać boskiego trunku. Zorientował się dopiero w trakcie obiadu, że brak w jego potrawie tego szlachetnego napoju. Natychmiast postanowił naprawić swój błąd, biegał więc po klasztorze i pytał: „Kto jadł leczo?” Jeśli ktoś odpowiadał twierdząco, otrzymywał szklaneczkę wina. Nigdy tylu nowicjuszy nie potwierdziło swego zamiłowania do lecza, co tego dnia. Niestety, o. Magister wywęszył ową degustację i nie dane nam było już więcej kosztować ulubionej potrawy. Musieliśmy wrócić do zdrowych, „bezalkoholowych” sałatek.

Z o. Gustawem wiąże się jeszcze jedno wspomnienie, które doskonale pokazuje, jakim jest on ciekawym i radosnym człowiekiem. W czerwcu pogoda tak nas rozpraszała, że nie mogliśmy wysiedzieć w sali wykładowej

(podobnie, jak moi uczniowie z liceum, z tą tylko różnicą, że oni nie mogą wysiedzieć w klasach już od początku maja, jeśli pogoda dopisuje), uprosiliśmy więc p. Monikę, by zajęcia ze śpiewu przeprowadziła w ogrodzie. Na szczęście, od tej strony ogrodu za murem jest cmentarz i nie groziły nam protesty, że zakłócamy czyjś spokój. Zaszyliśmy się więc wszyscy w najdalszym zakątku ogrodu i w chwili, gdy p. Monika tłumaczyła, co oznaczają wszystkie

te kleksy na pięciolinii, które mają nam rzekomo ułatwić śpiew, zauważyliśmy o. Gustawa, który bez habitu wymknął się z klasztoru, podszedł pod największe



drzewo czereśni, rozejrzał się na boki, czy nikt go nie widzi i wdrapał na nie z zadziwiającą sprawnością, po czym beztrąsko zaczął zajadać się owocami. Obraz ten idealnie wpisuje się konwencję wielu historii „z plebanią w tle”, gdy jakiś chłopiec wkrada się do ogrodu proboszcza i kradnie jabłka czy inne owoce. W przypadku o. Gustawa nie zadziwił mnie jednak jego apetyt, ale raczej wprawa, z jaką wspiął się na drzewo. Zrobił to sprawniej, niż większość z nas, mimo że nie należy do ludzi młodych.

Na szczęście dla mnie, przez cały rok Nowicjatu więcej było pracy fizycznej, niż nauki. Szczególnie przypadła mi do gustu praca w oborze. Opiekowaliśmy się świniami i krowami oraz - drobiem. Na początku Nowicjatu

przydzielono mnie do obory. Nie powiem, byłem lekko przestraszony, gdy zdałem sobie sprawę, że muszę zaopiekować zwierzakami nieco większymi, niż chomiki. Na szczęście - nie byłem sam. Los dzielił ze mną Grzesiek Dera, wybitny znawca zwierząt hodowlanych – w końcu mieszkał blisko „Spodka” w Katowicach. Pamiętam jego pierwsze słowa, gdy stanął w progu obory: „Aha, tak wygląda z bliska krowa”. Jednak nie ma takiego wyzwania, które może przerosnąć kogoś z odpowiednią dawką pasji i po krótkim czasie staliśmy się prawdziwymi gospodarzami.

Za moich czasów pracował tam również starszy wiekiem brat Sebastian Tarnawczyk, przez wiele lat pełniący obowiązki gospodarza. Jego miłość do zwierząt była prawdziwie franciszkańska. Pamiętam, jak zapoznał mnie z dwoma wielkimi psami, które słuchały tylko jego. Siadywał na małym stołeczku między nimi i zaczynał przemawiać, one zaś sprawiały wrażenie, jakby go doskonale rozumiały. Skoro pracowałem w oborze, wypadało zapoznać się również i z owymi psiakami. Zbudowany przykładem br. Sebastiana i historią Św. Franciszka związaną, z wilkiem z Gubio, zbliżyłem się do obu psów i... o mały włos nie straciłem spodni. Widziałem, że jeszcze nie mam w sobie charyzmatu franciszkańskiego – zamiast jednać sobie bestie, rozjuszałem je. Sytuację rozwiązał br. Sebastian, który następnego wieczora siedział obok psów, przymilających się do niego z opartymi o jego stopy głowami. Gdy zobaczył, jak sporym łukiem omijam ich teren, zawołał, bym się zbliżył. Opowiedziałem mu o moich wcześniejszej próbie zaprzyjaźnienia się z jego pieskami. Uśmiechnął się serdecznie i obiecał mi pomoc. Powiedział do psów coś w stylu: „On jest dobrym bratem i nic Wam nie zrobi” (jakbym to ja chciał je wcześniej pogryźć!) oraz, że powinny mi raczej pomagać, a nie -

przeszkadzać. Gdy zakończył swój wykład, poprosił, bym się zbliżył. Nie wiem, dlaczego, ale - posłuchałem go. A te dwie bestie zmieniły się w pokorne baranki i od tej pory witały mnie zawsze bardzo serdecznie. Nie miałem już więcej z nimi problemów. Taki był br. Sebastian. Niestety, pewnego dnia przewrócił się na schodach i - po przewiezieniu do szpitala - zmarł. Właśnie tacy, jak on, tworzą prawdziwą historię Zakonu i są świadkami sensu tego stylu życia. Był to brat pierwszy do modlitwy i pracy, a w dodatku nauczył się cenić słowa i mówił tylko to, co uważał za konieczne.

Nie tylko ja miałem ciekawe przeżycia z fauną sędziszowską. Mój imiennik, pochodzący z Tarnowa, został wydelegowany do obory. Niestety, miał pecha, bo magister właśnie w tym czasie postanowił sprawdzić jego odporność. Pewnej niedzieli, gdy Adam Zięba (bo tak się nazywa bohater tej historyjki) zażywał chwili relaksu, wpadł do jego celi magister i zrobił mu awanturę, że krowy są brudne. Każdy oczywiście wiedział, że Adam dbał o czystość krów, jakby pochodziły ze stajni Ferrari, ale – niestety - tego dnia po wyszorowaniu jedna z nich położyła się w... każdy wie, w czym. Magister kazał Adamowi ponownie je wyczyścić i obiecał sprawdzić, jak zostało wykonane jego polecenia. Adam miał jednak często błyskotliwe pomysły i tego dnia zaświtał mu w głowie jeden z nich. Od rodziców dostał wspaniałą szampoon do mycia włosów, który reklamowano hasłem „dwa w jednym”. Wyszorował biedne krowki tym specyfikiem, nadając im nie tylko rewelacyjny wygląd, ale i zapach, jakby właśnie wyszły z salonu kosmetycznego. Do tego, do ogonów i rogów przywiązał kokardki, po czym wyprowadził je, by pały się

w ogrodzie, tuż pod oknem magistra. Łatwo zgadnąć finał tej przygody. Magister Adama ochrzanił, myśmy mu gratulowali, a krowy nigdy nie miały łupieżu.

Innym zajęciem, które było dla mnie pewnym novum, była praca w polu. Jako klasyczny „mieszczuch” mniemałem, że wystarczy zasiać co trzeba i zgłosić się w odpowiednim czasie po odbiór zbiorów. Ale moje wyobrażenia szybko zmieniły się w nowe postrzeganie pracy na roli. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że zajmowanie się polem może być tak czasochłonne i ciekawe. Miałem nawet frajdę na moment zasiąść za kierownicą traktora, co przysparza wrażeń wręcz metafizycznych. Ale wszystko to docenialiśmy dopiero w momencie, gdy zajmowaliśmy miejsca przy stole i odmawialiśmy modlitwę błagalną, by Pan pobłogosławił wszystkie dary, które są wynikiem pracy naszych rąk.

Do tego niesamowitego folkloru należy dodać również wrażenia, jakich dostarczyło nam przygotowywanie powideł. Złożyły się na to ogromne zbiory śliwek latem 1992 roku. Powidła należy gotować przez całą dobę i musieliśmy wstawać w środku nocy, by w ogrodzie mieszać je w potężnym garnku. Było to fantastyczne doznanie, gdy - w całkowitych ciemnościach idąc przez ogród – słyszało się przyciszone głosy braci, którzy właśnie mieli dyżur. Pismo jest zbyt ubogie, by oddać czar tej chwili.

Zajęciem, które nie przypadło mi do gustu, było sprzątanie klasztoru. Nie, żebym był bałaganiarzem, ale nudziło mnie to ciągłe pastowanie i froterowanie. Fakt, że efekt zapierał dech w piersiach. Mnie jednak ten rodzaj dreszczyku emocji nie odpowiadał. Wolałem zajęcia, które coś

zmieniały, były bardziej twórcze, kiedy widziało się trwałe efekty własnej pracy. Chociaż trzeba przyznać, że dobrze było zrzucić z siebie ubrania robocze, przesiąknięte zapachem potu i obory, po czym wejść do czystego klasztoru. Naturalnie, były dwie strefy porządku: publiczna, w której zawsze panował idealny ład, a na którą składał się: chór, kościół, kuchnia, korytarze, łazienki i ubikacje, oraz strefa prywatna – pokoje. Tam zaś wielu braci miało... powiedzmy - porządek inaczej.

Była tylko jedna cela, która odpowiadała najsurowszym kryteriom magistra (a nawet biła na głowę standardy Unii Europejskiej) – ta, w której mieszkał brat Tomek Kryger. Ten człowiek to ideał w tej materii. Był (i jest) doskonale zorganizowany i zawsze wszystko układa na swoim miej-



scu. Lecz Tomek był jeden, a pozostałych braci - ponad trzydziestu, stąd magister nowicjatu miał sporo pracy, by dopilnować utrzymywania umiarkowanego ładu w naszych pokojach. Musiał kilka razy interweniować u pewnego brata, bo jego spontaniczność w dziedzinie urządzania wnętrz po prostu „wylewała się” na zewnątrz, co skutecznie psuło humor naszego opiekuna.

Jednak nigdzie wcześniej nie widziałem tak wypastowanego i wypięłgnowanego kościoła, jak w Sędziszowie. W każdy sobotni wieczór grupa



braci zabierała się za sprzątanie świątyni. Efekt był taki, że w posadzce każdy mógł się przejrzeć. I ten zapach pasty do podłogi... Tego się nie da opisać, to trzeba zobaczyć... i powąchać!

Każdy brat miał swój rejon do uprząknięcia każdego dnia. Ja przez dłuższy czas borykałem się ze starymi drewnianymi schodami, które bardzo często należało myć i pastować. Niby nic wielkiego, tylko dwa piętra, jednak – niestety - były to ukochane schody naszego magistra, a to oznaczało wyrывkowe kontrole i ciągłe komentarze. Właśnie przez swoje dogadywanie potrafił mnie on niejednokrotnie wyprowadzić z równowagi. Jednak nigdy tego nie okazałem, bo zdawałem sobie sprawę z faktu, że jest to tylko forma testowania mojej osoby. Nie chciałem magistrowi ułatwiać zadania, więc „pokornie” przyjmowałem jego życzliwe uwagi pod adresem mojej pracowitości i jej efektów.

Przyjętym zwyczajem podczas nowicjatu było to, że nie odwiedzali nas znajomi, ani nie korespondowaliśmy z nikim, oprócz rodziców. Co do odwiedzin, dwa razy w ciągu całego roku nowicjatu mogli odwiedzić nas ojciec i matka. I tu również zdarzały się ciekawe historie.



Rodzice w większości wyobrażali sobie życie zakonne, podobnie, jak większość społeczeństwa, karmionego mitami o strasznym i ciemnym

średniowieczu. Myśleli, że musimy być poważni i skupieni na sprawach Bożych. Według ich wizji, żyliśmy w ciemnym i zimnym klasztorze, gdzie wszelkie objawy indywidualizmu i entuzjazmu były zakazane i tępione z maksymalnym okrucieństwem. Jakież musiało być ich zaskoczenie, gdy zobaczyli uśmiechniętych i bardzo radosnych młodych ludzi. Fakt, że mieliśmy dużo obowiązków na głowie, nie zmniejszył naszego optymizmu. Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie wywarł na mojej cioci widok powiewających na wietrze, byle jak zawieszonych habitów, gdy ich właściciele zażarcie walczyli, rozgrywając mecz piłki nożnej.

No właśnie – sportu zdecydowanie mieliśmy pod dostatkiem. Każdego dnia graliśmy w piłkę nożną, siatkówkę lub rugby. Ten ostatni sport, w powszechnej opinii uchodzą-



cy za bardzo brutalny, cieszył się największym powodzeniem, szczególnie wtedy, gdy nawiedzały nas ulewne deszcze i gdy w miejscu boiska powstawała jedna, wielka, pełna błota kałuża. Ubieraliśmy wtedy ortalionowe ubrania, by lepiej się ślizgać i rozpoczynaliśmy rozgrywki rugby. Nasz image po takim meczu był mało estetyczny, ale to się nie liczyło. Każda twarz pod grubą warstwą gliny promieniała uśmiechem i ani jeden z nas po takim meczu nie był smutny czy odizolowany. Tworzyliśmy jedność i radości z tego doznania nic nie mogło zmącić. Było nam razem po prostu dobrze.

Ogromnym wyzwaniem były dla mnie wspólne rekreacje. Nie, żebym był człowiekiem aspołecznym. Wręcz przeciwnie – lubię ludzi i ich towarzystwo, ale problem był innego rodzaju. Przyzwyczajeni jesteśmy do takich rozrywek, jak wspólne oglądanie telewizji, słuchanie muzyki, czy dyskusowanie nad artykułem, zamieszczonym w prasie. W nowicjacie tego nie było. Przez rok nowicjusze nie oglądali telewizji, nie słuchali muzyki, nie chodzili do kina itp. To był przecież czas na refleksję, skupienie i pogłębioną modlitwę. Muszę przyznać, że szczególnie brakowało mi muzyki. I o czym w takiej sytuacji można rozmawiać przez rok podczas codziennych rekreacji? Po pewnym czasie zrozumiałem, że tematów nie brakuje, ale ja po prostu byłem wcześniej przyzwyczajony do życia w hałasie, ciągłym natłoku informacji z tzw. „wielkiego świata” i nie potrafiłem rozmawiać o rzeczach innych, niż te, którymi się codziennie otaczałem. Odkryłem, że bardzo ważną rzeczą jest nie tyle mówienie, ale - przede wszystkim - słuchanie. Tutaj muszę przywołać wydarzenie, które szczególnie mocno uświadomiło mi znaczenie umiejętności słuchania. Jeszcze przed wstąpieniem do zakonu, gdy jeździłem na comiesięczne rekolekcje do Krakowa, poznałem pewnego brata, który jest po dzień dla mnie wielkim autorytetem. Podczas kolacji Robert Cielicki (bo tak się nazywa) siedział z nami przy stole. Chłopcy z różnych zakątków Polski opowiadali z zapałem o różnych swych przygodach, a Robert tylko słuchał, czy - raczej - wsłuchiwał się. Powoli przygryzał kanapkę i słuchał z takim zainteresowaniem, jakby były to opowieści o sprawach tajemnych. Każdy chłopak, który dochodził do głosu, mówił do wszystkich, ale mimochodem zwracał się jakby do Roberta, bo widział, że ten go naprawdę słucha. Pierwszy raz w życiu poznałem człowieka, który - mimo swej niebywalej inteligencji - słucha

tego, co mają do powiedzenia inni. Jednak dopiero w nowicjacie dotarło to do mnie. Najtrudniej nie jest mówić, ale właśnie - słuchać. Rekreacje to był czas wsłuchiwania się w innych.

To wyciszenie udzielało się nie tylko nowicjuszm, ale także naszym gościom. Każdy, kto mógł przebywać w klasztorze sędziszowskim, odczuwał ten niesamowity nastrój. Pamiętam, jak skomentowali to moi rodzice, którzy po dwudniowym pobycie w klasztorze wracali do domu. Stwierdzili, że czują się, jakby z cichego i pięknego lasu weszli wprost w zgiełk wielkiego miasta. W moim odczuciu żaden z klasztorów kapucyńskich, które odwiedziłem, nie miał tak niesamowitej atmosfery. Jeden z braci podsumował to, mówiąc: „Klasztor w Sędziszowie to jedno z najbardziej „omodlonych” miejsc na świecie i dlatego jest tak piękny”.

Przed wstąpieniem do Zakonu wydawało mi się, że życie w klasztorze jest raczej monotonne, bo w sumie każdy dzień jest podobny do poprzedniego, a wszystko regulują dzwonki, które powiadamiają o kolejnym wydarzeniu. Nic nie powinno zakłócić tego harmonogramu. Jednak, jeśli ktoś w ten sposób postrzega życie zakonne, nie rozumie, o co naprawdę w nim chodzi. Najgorszą rzeczą, jaka może mieć miejsce w klasztorze, to poddanie się rutynie i szarzyźnie. Taki stan może pokonać nawet pozornie gorliwego brata, który bardzo szybko gnuśnieje i staje się przykry dla Wspólnoty czy ludzi z zewnątrz. Dlatego przełożeni akceptują indywidualność i pozwalają na różnego rodzaju „wybryki”, które - z jednej strony - wprowadzają w pozornie

surowe mury klasztorne wiele radości, a samym braciom pozwalają się „wyszaleć”. I nie chodzi tu tylko o sport i pracę fizyczną, o której wcześniej wspominałem. Są takie dni, które (przynajmniej za moich czasów) były całkowicie niezgodne z harmonogramem. Wiele się działo szczególnie 1 kwietnia. Nie, żeby bracia ciągle kłamali, jak to jest w zwyczaju tego dnia. Oni realizowali się inaczej – robili sobie dowcipy. Oj, to był „niebezpieczny” dzień, kiedy każdy, kto mógł zamknąć swoją celę od środka, dziękował Bogu, że ma zamek. Gdy na zegarze wybiła północ, dało się słyszeć podejrzaną przemykanie i nawet starsi bracia nie reagowali, bo w gruncie rzeczy byli ciekawi, cóż to wymyślą nowicjusze. Naturalnie, rano przełożeni byli „oburzeni”, że takie stare konie, jak my, zachowują się jak małolaty i to o niezbyt wysokim IQ. Ale w głębi serca byli chyba zadowoleni, że nowicjusze są radośni nowicjuszy, bo nie ma nic gorszego, jak ponury zakonnik. Po takim nigdy nie wiadomo, czego się można spodziewać. Smutek jest wielkim niebezpieczeństwem dla każdego chrześcijanina, a w szczególności dla osoby, która oddaje całe swoje życie Bogu w zakonie lub kapłaństwie. Na szczęście, na moim roku większość - i to zdecydowana – spośród braci można było porównać do wulkanów temperamentu i daliśmy temu upust między innymi w Prima Aprilis. Oczywiście, może ktoś zapytać, co wtedy się działo? Nie sposób przypomnieć sobie wszystkich rzeczy, ale pamiętam (a w niektórych dowcipach współuczestniczyłem), że braciom z kuchni ktoś zrobił ze stołów i garnków potężną piramidę, skonstruowaną w taki sposób, że istniało duże prawdopodobieństwo jej zawalenia przy próbie demontażu. Chodziło o spowodowanie jak największego huku. Innemu z braci ktoś zastawił materacami drzwi, tak, by ten nie mógł wyjść. Na całą szerokość

korytarza rozciągnięte zostały materace i każda próba opuszczenia celi kończyła się odbijaniem drzwi od „ściany”. Ktoś przeniósł i postawił na miejscu, zajmowanym zwykle przez przełożonego, potężną figurę jakiegoś Świętego, która była diabelnie ciężka. Podrzucano także różne zwierzaki do cel. W efekcie jedna kura zadomowiła się w szafie któregoś z braci. Mnie dwóch dowcipnisiów wpuściło do celi kawkę. Nie mam nic przeciwko pierzastym stworom, ale gdy człowiek jest pochłonięty czytaniem, wpuszczona bez uprzedzenia kawka przybiera rozmiary orła.

Dobrym numerem było odwracanie - podczas nieobecności braci - ich szaf i biurko razem z półkami. Efekt był niesamowity. Nie ukrywam, że i mnie to spotkało. Jednak później zlokalizowałem winowajcę i zrobiłem mu jeszcze gorszy psikus: odwróciłem do góry nogami jego szafę, wcześniej jednak powyciągałem półki, po czym włożyłem wszystko na miejsce bez wyjmowania zawartości. Brat, który wrócił do pokoju, zastał widok, potwierdzający moją działalność. Stałem w progu i - z uśmiechem na ustach - oznajmiłem, że to za moje biurko. Nieszczęśnik, zakładając, że wszystko w szafie i tak jest rozsypane i wymieszane, dźwignął ją z ziemi. Dopiero wtedy cała zawartość poszła w rozsypkę. Nie sposób opisać miny tego nieszczęśnika. Ale mistrzostwem żartu wykazał się chór zakonny...

Nim jednak go opiszę, wypada niewtajemniczonym Czytelnikom wyjaśnić, na czym polega odmawianie w chórze brewiarza. Otóż, bracia siedzą naprzeciw siebie i odmawiają brewiarz chóralnie – jeden wers prawy, drugi wers - lewy chór. Brewiarz jest podzielony na cztery tygodnie i każdy

dzień ma przypisane konkretne psalmy. Tu właśnie tkwił haczyk. Dowcipnisie (a wśród nich i ja) przesunęli jednemu chórowi zakładki w brewiarzach o tydzień do przodu. Proszę sobie wyobrazić zamieszanie, które wynikło w momencie, gdy przełożony rozpoczął psalmy. Nigdy tego nie zapomnę. Lewa część chóru czyta pierwszy wers psalmu, a prawa – kompletnie oderwany wers zupełnie innej pieśni. Konsternacja. Wszyscy zaczęli przewracać kartki w poszukiwaniu pomyłki. Minęło sporo czasu, nim zaplanował ład i wszystko wróciło do normy. Naturalnie, zebraliśmy burę, ale - warto było!

Kiedy wspominam cały nasz rocznik, stwierdzam, że byliśmy grupą bardzo zżytą i zgraną. Jasne, znaleźli się wśród nas i tacy, którzy kierowali się zasadą, wygłoszoną przez jednego z nich: grunt, to być dyspozycyjnym, ale - nieuchwytnym. Ci chcieli żyć z każdym w zgodzie i nigdy nie robili czegoś, co mogło ich postawić w centrum zainteresowania. Takich jednak było mało. Zgranie naszego zespołu zawdzięczaliśmy w dużej mierze magistrowi. A wszystko przez Jasną Górę. Otóż magister zamierzał nas zabrać na nocne czuwanie właśnie do tego Sanktuarium. Każdy chciał wyglądać jak najlepiej, aby nie przynieść wstydu Kapucynom. Ustawiła się długa kolejka do naszego fryzjera, który powołanie do tego zawodu



"BO UDERZYŁEŚ W SZCZĘKĘ WSZYSTKICH  
MOICH WROGÓW I  
WYŁAMAJEŚ ZĘBY GRZESZNIKÓW" (Ps 38e)

odkrył w nowicjacie - Mariusza Leśniewskiego. Był to człowiek o sile bawoła i sercu gołębia. Mariusz chciał wypróbować nową maszynkę i sprawdził ją na sobie oraz Sławku Tuszewskim. Efekt był taki, że bardzo niewiele pozostało im na głowie i wyglądali raczej jak rekruci, niż - jak nowicjusze. Magister nie przepadał za takimi fryzurami i gdy zobaczył Mariusza w chórze na modlitwach, nie omieszkał przy wszystkich sobie z niego zakpić. Myśląc ponadto, że jego tekst jest zabawny, zapytał mnie:

- Ty, gruby, a może też się tak obetniesz?

- Skoro sobie ojciec tego życzy – odpowiedziałem i zaraz po obiedzie umówiłem się z Mariuszem na skrócenie włosów. Podczas kolejnych modlitw to ja stałem się głównym obiektem kpin. Następnego dnia kolejni bracia wkroczyli do chóru, „potraktowani” maszynką Mariusza. To załamało magistra, który już nie naśmiewał się z nas, ale zrobił wielką awanturę. To jednak nie zastopowało fryzjerskich zapędów Mariusza i w końcu ponad połowa rocznika wyglądała jak po spotkaniu z kosiarką...

W tym miejscu powinienem chyba trochę miejsca poświęcić braciom, którzy na stałe mieszkali w klasztorze sędziszowskim, chociaż o niektórych już wspominałem. Fakt, że o wielu nie wspomnę nie jest wynikiem tego, że ich nie lubiłem, ale mam po prostu słabą pamięć. Jednak, do bukietu osobowości warto zaliczyć o. Jerzego Pająka, pełniącego funkcję gwardiana klasztoru. To człowiek bardzo otwarty, życzliwy i mądry. Spowiadałem się u niego i podziwiam za niesamowitą wyrozumiałość, delikatność i cierpliwość.



Po dziś dzień słynie z niesamowitych zdolności wokalnych. Pavarotti przy nim to amator. O. Jerzy potrafi bez większych problemów nagłośnić każde pomieszczenie bez mikrofonu. I to – śpiewając czysto!

Inną charakterystyczną postacią był br. Mikołaj. Pełnił funkcję furtiana i organisty. Słyszał z umiejętności naśladowania dźwięków, wydawanych przez różne zwierzęta. Miał niekonwencjonalne pomysły, bo np. podczas gry na nabożeństwach często udawał kanarka, i ptasi śpiew konkurował z dźwiękiem organów. Br. Mikołaj był zawsze dla nas bardzo życzliwy i jeśli któryś z braci wykazywał symptomy smutku, natychmiast mógł od br. Mikołaja usłyszeć jakieś dobre słowo lub dobry dowcip. Każdy z naszych gości był zabawiany w furcie rozmową przez br. Mikołaja. Co tu dużo mówić, był on po prostu wizytówką zakonu, bo na niego trafiał każdy, kto pukał do drzwi klasztoru.

Niesamowitym człowiekiem był też br. Marek Szychta, który zajmował się głównie szyciem habitów. On także bardzo często pomagał nowicjuszom. W kimś takim, jak on, warto było mieć sprzymierzeńca, bo nasz zewnętrzny wizerunek zależał w dużej mierze od niego. Ktoś powie, że habit to habit. Nic bardziej mylnego. Habity często bardzo się od siebie różnią i jest to w dużej mierze zależne od brata, który zajmuje się krawiectwem. Sympatycznie podsumowała go moja znajoma, mówiąc, że wśród kapucynów można znaleźć także przystojniaków...

Br. Jacek Alzak i br. Maciek Buk zajmowali się całym gospodarstwem. Jackowi nie można odmówić pomysłowości. Pewnego dnia musiał wyjechać, a spodziewaliśmy się, że lada moment jedna maciora będzie się cielić. Br. Jacek wyznaczył jednego z nowicjuszy, który należał do grona „widzących” (czyli tych, którzy swinię i krowę wcześniej widywali) i zlecił mu

ewentualny odbiór małych prosiąt. Na wszelki wypadek pozostawił książkę, opisującą, jak się przy takim porodzie asystuje, po czym - wyjechał. Jak można się było spodziewać, poród nastąpił i Leszek Siebert pełnił rolę akuszerki, obok zaś stał z książką w ręku Grzesiek z Katowic, który czytał po kolei, co należy robić. Czytelnikom o słabszych nerwach służę informacją, że cała akcja przebiegła bezproblemowo i „podręcznikowo”, a światło dzienne zobaczyło kilkanaście rumianych prosiąt.

Z br. Jackiem związana jest jeszcze jedna historia. W swej celi hodował żółwia. Zwykłego żółwia, który wyróżniał się jednak nadzwyczajnym sprytem. Otóż, pewnego dnia wpuścił go do „kwadratu” (ogrodu wewnątrz klasztoru, do którego prowadzą tylko jedne drzwi), skąd żółw uciekł. Nikt nie wiedział, jakim cudem mu się to udało. Br. Jacek biegał po całym klasztorze i wypytywał, czy ktoś nie wiedział ulubionego zwierzątka. Naturalnie, jego podejrzenia padły momentalnie na nowicjuszy. Jednak wszyscy wyparli się bliskiego spotkania z żółwiem, co nie przeszkadzało nam w naśmiewaniu się z całej historii. Proponowaliśmy, że jak tylko się uciekinier odnajdzie, wywiercimy mu w skorupie dziurę i przymocujemy chorągiewkę, by był z daleka widoczny w trawie. Niestety, po całodziennych poszukiwaniach nie było nawet śladu zbiega. Ktoś wysunął przypuszczenie, że dopadł go bocian i zrobił z żółwia kask dla małego bocianka, by ten był bezpieczny podczas nauki latania. Żółw jednak nigdy się nie odnalazł, a br. Jacek zawsze jakoś podejrzliwie na nas spoglądał.

Wśród braci mojego rocznika nie brakowało indywidualności. Z kilkoma Czytelnik miał już okazję się bliżej zapoznać. Najbardziej obrotny był Romek Dziadosz, pseudonim: „Dziadek”. To człowiek - instytucja. Nie wiem, jak to robił, ale wszystko wiedział. Potrafił zorganizować coś z niczego i jeśli potrzebowaliśmy jakiejś informacji, zawsze wiedzieliśmy, do kogo się zwrócić.

Zaprzyjaźniłem się od razu z Rafałem Szymkowiakiem, piśmienniczo zwanym „Dziadziakiem”, na pa-miątkę powiedzonka, wygłaszanego, ilekroć Rafał miał jakieś zastrzeżenia do któregoś z braci. Mawiał wtedy: „Dziadziakowi na ucho” - i tak



już zostało. Jako jeden z nielicznych, miał wcześniejsze bogate doświadczenia duszpasterskie. Potrafił w ciągu jednego dnia stworzyć oprawę całego nabożeństwa - poczynając od scenografii, na pieśniach kończąc. I nie były to zwykłe pieśni, bo Rafał pisał teksty i sam komponował do nich muzykę. Krótko mówiąc; człowiek - orkiestra.

Jako dziekan (pośrednik między władzą a nami) służył Leszek – ten, który „odbierał” poród prosiąt. Człowiek bardzo pracowity i zawsze uśmiechnięty. Idealnie pasował do tej funkcji, bo jeśli tylko zabierał się do jakiejś pracy, potrafił perfekcyjnie rozdzielić obowiązki – biorąc zresztą na siebie najcięższe – i bardzo sprawnie je wykonywał.

A jeśli ktoś odniósł jakieś rany, mógł od razu liczyć na pomoc naszego rehabilitanta Adama Zdrodowskiego „Zielonego”. Ten znał się na sprawach medycznych i bardzo chętnie pomagał każdemu w potrzebie. Niestety, czasami i on potrzebował pomocy, fascynowały go bowiem pszczoły, które jednak jego miłości nie podzielały i - jeśli tylko mogły - serwowały mu zabiegi akupunktury. Pamiętam, jak podczas pobytu w Krakowie, dotkliwie go pożądlify. Miał tak opuchnięte ręce, że bracia musieli przewracać mu kartki w brewiarzu podczas modlitw. Zastępną z tego, że w dniu wstąpienia do klasztoru obciął włosy, choć wcześniej miał je długie do ramion. Czego to człowiek nie uczyni, by dobrze wyglądać w habitcie...

A co do włosów, był też międyz nami „Skin”. Ale - spokojnie, nie chodzi o ideologię. Marek Rodziewicz, choć lubił raczej krótkie fryzury, zawsze miał włosy sterczące na języka - stąd ksywka. Należał wcześniej do ZHR-u i, mimo wielu zdobytych sprawności, posiadał kilka słabostek. Choć nie mam w zwyczaju plotkować o słabościach bliźnich – muszę o tym opowiedzieć. Skin, bezgranicznie wielbił kawę oraz czekoladę z orzechami i winogronami. Miewał też pomysły racjonalizatorskie – ale o tym przekonałem się dopiero w seminarium. Okazało się, że uwielbia także spać. Jako harcerz wyznawał zasadę, że w zdrowym ciele - zdrowy duch, a – jako, że sen to zdrowie – korzystał z niego, ile tylko mógł. Gdy mieszkał już w Krakowie, opatentował idealny sposób ukrywania się przed innymi. W jego celi stało piętrowe łóżko, przywłaszczył więc sobie górna pryczę. Zainstalował tam lusterko samochodowe, by widzieć, kto wchodzi do celi. Sam leżał, sprytnie

ukryty za zwiniętą kołdrą i osoby wchodzące nikogo nie dostrzegały, Skin zaś z ukrycia mógł spokojnie obserwować odwiedzających, a - w razie potrzeby – błyskawicznie się ujawnić.

Taką to „mieszankę wybuchową” stanowili bracia mojego rocznika. Ludzie bardzo różni, złączeni jednak jednym wspólnym celem: kroczeniem ku Niebu, gdzie jest Świętych wielu – jak sam napisałem w wierszu, czytany podczas występów jednego z kabaretów. Może brzmi to wszystko bardzo pompatycznie, ale rzeczywiście elementem wspólnym nam wszystkim była fascynacja Ewangelią i Św. Franciszkiem.

Nim wstąpiłem do Zakonu, obawiałem się, jak będę przeżywał Święta – szczególnie Boże Narodzenie. Jednak atmosfera Świąt w klasztorze jest tak niesamowita, że człowiek czuje się, jakby to właśnie był jego dom. Najważniejsze jest oczywiście odpowiednie przygotowanie duchowe. Realizuje się to przez różne rekolekcje, konferencje i rozmowy. Oprócz tego, całe otoczenie przygotowuje się na nadchodzące Święta. Wtedy sprząta się gruntownie cały klasztor, a osobna ekipa przygotowuje wszelkie dekoracje - jak np. szopkę na Boże Narodzenie, czy grób Pański na Wielkanoc. Prace nad nimi trwają czasami przez kilka tygodni, co naprawdę podkreśla nadzwyczajność danego Święta. Co roku w Nowicjacie ustawiana jest nowa szopka, nowe dekoracje, co bardzo podoba się ludziom, mieszkającym na stałe w Sędziszowie.

Warto też wspomnieć w kilku słowach właśnie mieszkańców Sędziszowa i okolic. Wspominałem na początku tylko o p. Monice, która uczyła nas śpiewać – rzecz z góry skazana na niepowodzenie, przynajmniej w moim przypadku. Muszę przyznać, że za moich czasów (nie wiem, jak jest

dziś) mieszkańcy byli wobec nas nadzwyczaj uprzejmi i otwarci. Bardzo dobrze układała nam się współpraca z duchowieństwem diecezjalnym, a ludzie z Sędziszowa i okolic wspierali nas we wszystkim, nie wyłączając ofiar w postaci plonów. Nigdy nie zapomnę najlepszego śniadania, jakie w życiu zjadłem (dzięki sędziszowskim dobrodziejom). Miało to miejsce w pewną niedzielę. Kiedy wkroczyliśmy do refektarza (klasztornej jadalni), zastaliśmy kakao, chleb wypiekany w domowym piecu i swojskie masło. O, Panie!!! Tak muszą jeść w Niebie... Do dziś pamiętam w modlitwach o ludziach, którzy uraczyli nas tymi wspaniałościami. Jak tu nie wierzyć ludowej mądrości, która głosi, że przez żołądek dociera się do serca? My zaś staraliśmy się nie tylko często modlić w ich intencji, ale również jak najpiękniej przygotowywać Liturgię.

Jednak i w tej dziedzinie zdarzały się wpadki. Wielkim nieporozumieniem był np. mój śpiew. Fakt, że tylko raz dopuszczono mnie do mikrofonu w celu odśpiewania psalmu dowodzi, jak wiele starań bracia przykładali do jakości Mszy Świętej i innych nabożeństw. Wielu z nas pierwszy raz miało publicznie czytać Słowo Boże, a takie sytuacje należy zaliczyć do „tremogennych”. A gdzie trema, tam i wpadki. Na przykład, jeden z braci o biblijnym imieniu Marek, śpiewał podczas Mszy psalm. Niby nic wielkiego, ale i tu nietrudno było o przygodę. Oto więc, gdy Marek Wolter rozpoczynał drugą zwrotkę, pojawiło się małe dziecko. Już sam jego wygląd przywodził na myśl krytyka muzycznego: bujny włos, niekoniecznie uczesany, szerokie spodenki z gatunku „ogrodniczki” i kolorowa koszulka. Z tego musiała wyniknąć afera.

Gdy więc Marek śpiewał, maluch różnym krokiem wkroczył do prezbiterium i wspiął się z wysiłkiem na wysokie stopnie. Podszedł do ambonki, przy której stał Marek i zaczął mu się bacznie przyglądać. Ludzie uczestniczący we Mszy, zapomnieli natychmiast o słuchaniu i skupili się na wizji. Malec po dobrej chwili włożył rękę do kieszeni i czegoś długo w niej szukał. Napięcie rosło, wszyscy wbili wzrok w dzieciaka. Co też on tam ma? Chłopczyk jeszcze raz popatrzył na Marka, po czym starannie rozwinął i podał mu 10 złotych w banknocie. W kościele wyczuwało się narastające napięcie, a ja szeptem, doskonale jednak słyszalnym dla Marka, powiedziałem: „Słuchaj! On ci płaci, żebyś już nie śpiewał”. Ten jednak wziął pieniądze, wsadził do kieszeni i dokończył psalm. Maluch, widocznie zadowolony ze swej misji, spokojnie wrócił na miejsce. Nie trzeba mówić, że ludzie bawili się przy tym doskonale.

Innym razem mieliśmy przygodę ornitologiczną. Podczas wieczornego nabożeństwa wleciał do naszego kościoła nietoperz. Nie był on imponujących rozmiarów, ale latać potrafił doskonale. Co pewien czas przelatywał nisko nad głowami zebranych w świątyni ludzi, wzbudzając przy tym sporo zamieszania, szczególnie w przypadku przedstawicielek płci piękniejszej, które robiły wiele uników, by uchronić swe włosy od interwencji nietoperza. Swoją drogą - ciekawe, skąd wzięła się ta historia z wczepianiem się nietoperzy we włosy? Nasz Gacek bowiem był wytrawnym lotnikiem. Uniknął wypadku, ale w końcu i jemu zabrakło kondycji. W momencie, gdy zapadła cisza na rozważenie fragmentu Pisma Świętego, „batman” wylądował pośrodku nawy głównej kościoła. Wszyscy z zaciekawieniem mu się przyglądali i czekali, co będzie dalej? Gacek, znudzony lataniem, rozpoczął mozolne czołganie się w kierunku ołtarza, nadstawiając przy tym swych

ogromnych uszu i zatrzymał się tuż przy nas, obok brata, który grał podczas nabożeństwa. I czekał. Napięcie rosło z każdą chwilą. Wtem, gdy jeden z braci uderzył w struny gitary, nietoperz poderwał się z ziemi i zaczął trzepotać tuż przed twarzą grającego. Pierwszy raz widziałem, by twarz człowieka tak szybko zmieniła kolor. Dopiero po upływie następnych kilkunastu minut jeden z braci zdołał schwycić intruza i wypuścić go już poza murami świątyni.

Czasami bywało nawet niebezpiecznie. Podczas jednego z nabożeństw miałem wraz z jednym z braci (Tomkiem Przybkiem) przygotować kadzidło. Nie mieliśmy do dyspozycji gotowych węgli i kadzideł o różnych zapachach, jak jest dziś. Wszystko trzeba było przygotować ręcznie. By mocniej się dymiło, dodawaliśmy do kadzidła odrobinę kalafonii. Jednak tego dnia „trochę” zbyt dużo jej dosypaliśmy i gdy o. Gustaw rozpałił przy ołtarzu kadzidło, chcąc okadzić monstrancję, buchnął tak wielki płomień ognia, że prawie zajął się welon, przykrywający ją, ja zaś miałem lekko przypalone brwi. Od tamtej pory, gdy byliśmy z Tomkiem wyznaczani do przygotowania kadzidła, o. Gustaw na wszelki wypadek ledwie nim poruszał... Czyżby nam nie ufał?

Gdybym miał pokusić się o podsumowanie okresu Nowicjatu, powiedziałbym, że był to najbardziej beztroski czas w ciągu kilku lat mojej bytności w klasztorze. Wszyscy bracia mieszkający w tym domu byli bardzo dobrymi zakonnikami, starającymi się pokazać nam życie zakonne od tej



dobrej strony, a jeśli ktoś przeżywał trudności, cała wspólnota mocno go wspierała. Jednak i ten błogi czas musiał się skończyć. Zbliżał się wrzesień 1992 roku i czekaliśmy na naszych następców. Oni mieli rozpocząć Nowicjat od tygodniowych rekolekcji milczenia i przejęcia obowiązków domowych, my również mieliśmy milczeć, by w końcu zakończyć Nowicjat złożeniem swoich pierwszych ślubów zakonnych.

Nim jednak opowiem o samej ceremonii, warto wspomnieć kilka słów o samych ślubach. Kapucyni, jak pozostałe zakony kontemplacyjno – czynne, opierają swe życie na przestrzeganiu



Ewangelii w oparciu o tzw. rady ewangeliczne. I właśnie one, stanowią śluby zakonne: posłuszeństwa, ubóstwa i czystości. Wiele na ten temat już napisano i powiedziano, jednak ludziom, którzy nie są obeznani w tematyce życia zakonnego, warto wyjaśnić choć w przybliżeniu, o co dokładnie chodzi.

Idea jest prosta jak budowa cepa. Zgodnie ze ślubami nie wszystkim jest łatwo żyć, podobnie jak umiejętność wprawnego władania cepem nie każdemu jest dana w równym stopniu. Zawsze byli ludzie, którzy chcieli **poświęcić** swe życie Bogu. Choć to może złe słowo, właściwsze byłoby określenie: odpowiedzieć na Jego wezwanie. Żaden z braci nie może powie-

dzieć, że coś Bogu ofiarował Bogu. Jego śluby są raczej odpowiedzią na niezasłużony dar, jakim jest powołanie. Ten wybór pociąga za sobą deklarację na wzór tej, jaką składają sobie zakochani, gdy wypowiadają przysięgę małżeńską. Przysięga ta łączy dwie wolne osoby na zawsze - na dobre i na złe. Gdy ktoś pragnie poświęcić swe życie Bogu, może to uczynić, w dobrowolnym akcie powierzając swe życie Temu Jedynemu. I tu leży idea ślubów zakonnych. Człowiek, oddający się Bogu na wyłączność, ofiarowuje Mu to, co ma najistotniejszego, wyrzeka się w pewien sposób pragnienia stanowienia o własnym życiu – ślub posłuszeństwa, deklaruje chęć „bycia” wyłącznie dla Boga – ślub czystości oraz rezygnuje z pragnienia posiadania – ślub ubóstwa. Każde z tych pragnień jest czymś dobrym (bo miłość to ofiarowanie czegoś dobrego), ale przez wzgląd na większe dobro, jakim jest osoba Boga, kandydat do Zakonu rezygnuje z nich dla Najwyższego. Czasami słyszę dyskusje na temat sensowności ślubów zakonnych. Jednak - czy miłość to coś sensownego? Czy nie pamiętamy, jak pojawiały się nasze „pierwsze” miłości i jak zachowywaliśmy się irracjonalnie, o czym informowali nas znajomi i bliscy? Kto z nas zachował zdrowy rozsądek w miłości? Człowiek, który kocha, jest zdolny do wielkich rzeczy. Jednak nie jest sztuką złożyć deklarację, o wiele trudniej ją realizować. Wierność złożonym obietnicom jest prawdziwym probierzem ich szczerości i wartości. I tu – niestety - wielu z nas zawodzi. Dotyczy to nie tylko zakonników, ale także ludzi świeckich. Różnym ludziom poszczególne śluby sprawiają w mniejszym bądź większym stopniu problemy - każdy jest inny. Sam największe trudności miałem ze ślubem

posłuszeństwa. Zawsze chodziłem swoimi drogami (rodzice okazywali mi wielkie zaufanie) i miałem zakodowane ogromne poczucie niezależności. A tu nagle: mam przełożonego, który może mi nakazać wszystko – z wyjątkiem grzechu. Akceptowałem to, ale ciężko było mi ugiąć kark. W kwestii pozostałych ślubów nie miałem większych problemów, bo nigdy nie byłem człowiekiem majątnym, zaś moje relacje z przedstawicielkami piękniejszej części społeczeństwa zdecydowanie były politycznie poprawne. Zresztą, Zakon w materii mojego postrzegania przedstawicielek płci zdecydowanie bardziej nadobnej wiele zmienił. Przed wstąpieniem w szeregi Kapucynów mój obraz kobiety był nieco wypaczony. Podam przykład. Gdy pracowałem jeszcze w kopalni, w każdym prawie miejscu - szafce czy warsztacie, ze ścian patrzyły na mnie piękne, ale nieodmiennie nagie panienki. Gdy mówiliśmy wtedy o kobietach, kierowaliśmy się raczej argumentami, wychodzącymi z poziomu „poniżej pasa”. Chyba nie przesadzę, gdy powiem, że obecnie w relacjach damsko-męskich zbyt mocno akcentuje się wymiar erotyczny, z pominięciem relacji duchowych. Zakon pokazał mi inne oblicze kobiety. Wreszcie ktoś podkreślił znaczenie szacunku i odpowiedzialności w kontakcie z kobietami i za to między innymi jestem niezmiernie wdzięczny moim przełożonym i współbraciom.

Wróćmy jednak do przygotowań, zmierzających do złożenia moich pierwszych ślubów. Po zakończeniu rekolekcji, w sobotni wieczór uczestniczyłem w wielkim święcie młodszych braci, którzy wdzielali po raz pierwszy habit zakonny. Mój umysł jednak krążył już wokół niedzielnego poranka, kiedy to miałem złożyć pierwszą profesję, na mocy której reguła franciszkańska,

miała stać się dla mnie stylem życia na najbliższy rok, po czym miałem ją przedłużyć aż do czasu profesji wieczystej (na całe życie). Do tego było jednak jeszcze daleko...

Od porannych modlitw dało się wyczuć ogromne podniecenie. Rodzice, rodzeństwo, bracia z innych placówek - bardzo wielu ludzi pojawiło się na uroczystej Eucharystii. Każdy z nas w nowym (szytym na miarę) habicie, wszyscy wymyjni i wyczesani. Może nie - pachnący, bo nie używaliśmy kosmetyków. Ale wszyscy byliśmy zdecydowani na zrobienie tego ważnego kroku. Fakt, że do końca Nowicjatu nie dotrwaliśmy wszyscy, jeszcze bardziej wzmagając emocje. Kilku z nas „odpadło” z własnej woli, ale i tak większość doczekała pierwszej profesji. Co prawda, magister przepowiadał: „Statystyki są nieubłagane, połowa z was i tak odejdzie”, jednak i to nie mogło przyćmić naszej radości. Teraz, przygotowani, staliśmy w nawie głównej kościoła i czekaliśmy na ten moment. Po kazaniu nastąpiła najważniejsza chwila. Każdy z nas podchodził do stóp ołtarza, gdzie na krześle siedział przełożony prowincjalny, który od każdego z braci przyjął śluby zakonne tej treści:

**„Na cześć i chwałę Najświętszej Trójcy, Ja, brat N.N., powołany przez Boga, aby wiernie zachować Ewangelię, naśladując naszego Pana Jezusa Chrystusa, z mocną wiarą i szczerą wolą, ślubuję Bogu Ojcu, Świętemu i Wszchemogącemu: żyć (...) w posłuszeństwie, bez własności i w czystości. Jednocześnie zobowiązuję się wiernie zachowywać życie i Regułę Braci Mniejszych, zatwierdzonych przez papieża Honoriusza,**

**zgodnie z Konstytucjami Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów. Dlatego całym sercem oddaję się tej braterskiej wspólnotcie, abym mógł pod działaniem Ducha Świętego, za przykładem Marii Niepokalanej, za wstawiennictwem Ojca naszego Franciszka i wszystkich Świętych, z pomocą braci, osiągnąć doskonałą miłość w służbie Bogu, Kościołowi i ludziom”.**

Następnie podchodziliśmy do ołtarza, na którym leżał protokół złożenia pierwszych ślubów zakonnych. Naturalnie, pomyliłem rubrykę i podpisałem w miejscu, gdzie miał znaleźć się „autograf” świadka, nie - ślubującego, ale mimo tego szczegółu moje śluby były ważne i reszta ceremonii przebiegła już bez zakłóceń. Byliśmy trochę oszołomieni flesztami i szumem kamer, ale wytrwaliśmy do końca i nikt nie okazywał większych emocji. No, może z wyjątkiem niektórych rodziców, którzy co pewien czas przecierali chusteczkami okolice oczu. Najzabawniej w takich momentach zachowują się ojcowie, którzy z różnych przyczyn wstydzą się swoich łez. Cóż, ta nasza męska natura...

Po zakończeniu Eucharystii, udaliśmy się na uroczysty obiad i resztę dnia spędziliśmy z najbliższymi, którzy, ochłonąwszy nieco z emocji, cieszyli się naszym szczęściem. Od tego dnia każdy z nas mógł nosić na swym sznurze trzy węzły, które symbolizowały złożenie profesji.

Ale wszystko kiedyś mija. Rodzice wyjechali, bracia wrócili do swoich placówek, a my rozpoczęliśmy pakowanie rzeczy przed kolejnym wielkim

etapem naszej zakonnej drogi. Następnego dnia mieliśmy wyjechać, a nasze pokoje mieli zająć młodszy bracia. Który to już rocznik, od czasu powstania tego klasztoru w 1695 roku?

Naszym kolejnym domem na około 6 lat miał stać się klasztor w Krakowie, gdzie w październiku mieliśmy rozpocząć studia w Wyższym Seminarium Duchownym Braci Mniejszych Kapucynów.

## Pobyty czasowy u Kraka

*„Synu, od młodości swej staraj się o naukę, a będziesz ją nabywał aż do siwizny” (Syr 6, 18)*

Ktoś nakręcił film o tym, że nie lubi poniedziałku. Dzień, jak dzień, jednak ten poniedziałek oznaczał dla nas wyprawdzkę i pierwszą od roku podróż pociągiem. I to dokąd?! Do Krakowa!!! Miasto - marzenie, w którym nawet kosze na śmieci mają swoją historię i wartość zabytku. Miasto, w którym studiować pragnął każdy licealista, gdzie znajdowało się więcej kościołów i klasztorów, niż w jakimkolwiek innym mieście w Polsce, gdzie każda uliczka, kawiarenka żyje własnym życiem. Lecz, mimo tak kuszących perspektyw, niewielu z nas miało ochotę opuszczać Sędziszów. Tam było jak w uzdrowisku, teraz zaś czekały nas studia i egzystencja we Wspólnocie, złożonej z ponad stu braci. Na samą myśl o czymś takim nogi się uginają. Przed opuszczeniem klasztoru, udaliśmy się po błogosławieństwo do naszego magistra. Powiedział kilka ciepłych słów i podczas pożegnania popłynęło z jego oczu kilka łez, lecz do dziś nie ustalono jednoznacznie, czy były to łzy smutku, czy radości.

Każdy zarzucił cały swój dobytek na plecy (a nie było tego wiele) i ruszyliśmy w kierunku dworca PKP. Gdy człowiek przez rok nie jeździ pociągami, wydaje mu się, jakby pierwszy raz korzystał z tego środka lokomocji. Sama podróż przebiegła sprawnie i po kilku godzinach, z trady-

cyjnym opóźnieniem, wjechaliśmy na dworzec główny w Krakowie. Droga z dworca na ulicę Loretańską wiedzie przez Rynek, bo i klasztor znajduje się obecnie w centrum miasta, choć pierwotnie mieścił się poza jego murami - wzniesiono go ponoć na wysypisku śmieci. Mimo, że drogę znałem doskonale, tamtego dnia wydała mi się o wiele dłuższa. Ludzie patrzyli na nas jak na kosmitów (bo nawet w Krakowie grupa blisko trzydziestu jednakowo ubranych facetów robi wrażenie). Naturalnie, natychmiast otoczyła nas chmara turystów, którzy chcieli zrobić sobie zdjęcie z zakonnikami. Najczęściej, oczywiście, zaczepiali nas Japończycy, którzy mieli więcej aparatów niż my - bagaży. Czułem się jak eksponat w galerii figur woskowych...

Wreszcie, po kilkunastu minutach wędrówki, przekroczyliśmy próg klasztoru. Dobrze znany chłód sieni i uśmiech furtiana zrobiły swoje. Znowu poczuliśmy się jak w domu. Wkrótce przyjął nas i rozlokował nasz wychowawca, o. Jacek Kania (ten sam, który sprawował nad nami pieczę podczas postulatu w Olszanicy). Znał nas doskonale i wiedział, czego się po nas spodziewać. My również wiedzieliśmy, czego można oczekiwać po nim. Był wyrozumiały, ale potrafił wlepić także „kulpę” (karę), jeśli ktoś przesadził.

Na początku zamieszkaliśmy wraz z trzecim rocznikiem (z którym miała mnie wkrótce połączyć wielka sympatia) na I piętrze. Otrzymałem pokój, należący do grupy „apartamentów”, ponieważ znajdowała się w nim umywalka i okno z widokiem na ogród. Wkrótce przekonaliśmy się, że te pokoje to prawdziwy luksus jak na ówczesne warunki. Mieszkaliśmy dwójkami



w celach, w których stały dwa biurka, jedna szafa, łóżko piętrowe i półka na książki. Każdy na biurku miał tzw. „fiszownicę”. Był to umiłowany mebel ówczesnego rektora - o. Ludwika Kalinowskiego. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że pudełko to służyło do przechowywania fiszek – czyli małych kartek papieru, na których mieliśmy spisywać różne myśli i notatki, związane ze studiami.

Przydzielono mi pokój z Romkiem Dziadoszem „Dziadkiem”. A że za sobą wręcz przepadaliśmy, układało nam się doskonale. I już wkrótce przekonałem się, że „Dziadek” to wielki skarb, bo zaczęli go odwiedzać bracia ze starszych roczników, którzy podrzucali mu różne notatki, skrypty itp. rzeczy, studentowi niezbędne. Czuję się, jakbym mieszkał z ojcem chrzestnym mafii. Ale Dziadek był na tyle otwartym człowiekiem, że dzielił się swoimi „zyskami” z innymi, a skoro byłem pod ręką, wiele z tych rzeczy trafiało i do mnie.

Sam klasztor krakowski miał 3 piętra (z poddaszem), dwa kwadraty - mały i duży (zabudowane ze wszystkich stron place, pośrodku budynku). W małym mieścił się mini-ogródek, a w dużym - boisko do piłki nożnej z małymi bramkami, na którym bracia prawie każdego dnia podczas rekreacji poobiedniej rozgrywali mecze. Były też piwnice, w których mieściły się dwie salki rekreacyjne. W pierwszej można było posłuchać muzyki, zaś w drugiej – ogólnej - mieściły się dwa akwaria. W ramach zabudowań klasztornych znajdowały się również dwa ogrody – nie tak wielkie, jak w Sędziszowie, ale lepsze to, niż nic. W jednym z ogrodów znajdowało się kilka uli z pszczołami. Była także szklarnia i sala gimnastyczna, w której uprawialiśmy różne dyscypliny sportowe i gdzie odbywały się zajęcia wychowania fizycznego. W razie konieczności tam też rozkładaliśmy scenę i organizowaliśmy różne konfe-

rencje i sympozja. Niestety, budynki klasztoru otoczone były ze wszystkich stron domami mieszkalnymi, więc o dyskrecję nie było łatwo. Były jednak i plusy mieszkania w centrum. Wszędzie było blisko. I, trzeba przyznać - miło mieszkało się, gdy rytm upływających godzin wyznaczał nam hejnalista z wieży mariackiej.

Po rozlokowaniu w celach odbyło się spotkanie wprowadzające z o. Jackiem Kanią, następnie udaliśmy się na modlitwy z całą wspólnotą domową. Patrzyliśmy na starszych z respektem, a oni na nas - z ciekawością i rozbawieniem. Cała wspólnota liczyła wtedy około 130 braci. Można tu sparafrazować tekst Ewangelii, mówiący, że gdzie dwóch albo trzech zebranych w imię Jezusa, tam... jest niezła banda! Jako najmłodszy rocznik, siedzieliśmy najbliżej drzwi, chór jednak opuszczaliśmy jako ostatni. Muszę tu powiedzieć o kolejnym zwyczaju, wywierającym niesamowite wrażenie. Gdy bracia wchodził lub wychodzą z chóru, klękają na oba kolana i kłaniają się aż do ziemi przed Najświętszym Sakramentem. To zawsze przypomina, kto tu jest najważniejszy. Zwyczaj ten jest kultywowany od czasów Św. Franciszka z Asyżu.

Po wspólnych modlitwach wieczornych (Nieszporach), udaliśmy się na pierwszy posiłek w nowym domu. Nakarmić taką rzeszę ludzi - w większości bardzo młodych i wręcz kipiących od energii - było ogromnym wyczynem kulinarnym. W kuchni pracowały siostry Serafitki wraz z kilkoma dziewczynami. I mimo, że chętnych do jedzenia było wielu, nigdy nie chodziłem głodny. Chociaż – przyznaję - początkowo liczba braci w refektarzu wzbu-

działa we mnie panikę - z powodu nadzwyczajnej ciasnoty czasami bardzo trudno było przejść od jednego końca sali do drugiego.

Po pierwszym posiłku, (oj, mało wtedy zjadłem, za to wiele rozglądałem się wokół), udaliśmy się na rekreację. Już wtedy odkryłem, że aby zagrać w piłkę, trzeba się zapisywać, bo chętnych jest zbyt wielu. Podobnie było z korzystaniem z sali gimnastycznej podczas rekreacji. Ale najbardziej szokującym przeżyciem był fakt, że mogłem bez problemów zobaczyć wiadomości w telewizji. Po roku postu od tej używki czułem się, jakbym pierwszy raz miał możliwość korzystania z tego cudu techniki. Dowiedziałem się również, że można oglądać film po wiadomościach - ale jeśli kończy się po 22.00, muszę mieć pozwolenie przełożonego, aby móc obejrzeć go do końca.

- Ale luzy!!! – pomyślałem i skwapliwie korzystałem ze swoich praw.

Wieczorem nie było wspólnej komplety (modlitwy przed spoczynkiem), każdy odmawiał ją sam w chórze zakonnym lub w pokoju. I tu także wielkie wrażenie robiła cisza, która zapadała po 21.00. Bracia starali się nie przeszkadzać innym, choć nie było to aż tak przestrzegane, jak w Nowicjacie. Wielu lubiło się wieczorami uczyć lub odwiedzać przyjaciół w innych celach, ale zawsze trzeba było się liczyć z tym, że jeśli napotka się przełożonego, to można dostać kulpę. Jednak gra była warta ryzyka. Pierwsza noc w Krakowie



również była dla mnie czymś nowym, bo nie mając zasłon w celi, czułem się, jakbym miał spać pośrodku placu. Światła miasta rozjaśniały noc. Uplynęło trochę czasu, nim ponownie przywykłem do jasnych nocy.

O 5.25 rano przeżyłem coś strasznego. Nagle, pośród całkowitej ciszy, dał się słyszeć okropny i bardzo donośny dźwięk, który poderwał mnie na równe nogi. Myślałem, że dostanę zawału! Serce waliło mi jak oszalałe, a w głowie kołatało pytanie: Co się stało? Co to było? Może trzeba uciekać, co jest grane? To było potworne przeżycie. Nikt nas nie uprzedził, że rano tak się tu budzi braci. W Nowicjacie brat odpowiedzialny za pobudkę kulturalnie dzwonił dzwonkiem, a tu coś takiego... Nie ma chyba języka, którym można opisać rodzaj dźwięku, jaki wydawała ta piekielna machina. Jak się wkrótce dowiedziałem, tym urządzeniem była **kołatka** – najbardziej zniechęcony wynalazek. Konstrukcja była prosta: upiłowana rączka od łopaty i przymocowane do niej dwie płytki z blachy, do których luźno przytwierdzone były pręty, przypominające kształtem zawiasy. Obsługa była również na tyle prosta, by nawet najbardziej zaspany brat potrafił odpowiednio wykorzystać to urządzenie. Wystarczyło w pionie energicznie pomachać i zawiasy uderzały w blaszki, co wywoływało łomot nie do zniesienia. I jak kochać takie maszyny? Gdy w klasztorze ktoś chciał zrobić jakiś dowcip, największą popularnością cieszyła się zwykle cela tego z braci, który odpowiadał w danym dniu za pobudkę. Czasami ktoś wykradał kołatkę, ale nie brakowało i takich, którzy chcieli przykleić lub przyspawać zawiasy do blaszek.

Z opowiadań wiem, że raz, gdy wykradziono kołatkę, brat budzący poradził sobie w jeszcze bardziej drastyczny sposób. Wsypał do wielkiej puszki śruby i nakrętki, mocno ją zamknął i kopał przed sobą na korytarzu oraz po schodach.

Choć trudno w to uwierzyć, byli też bracia, którzy nie reagowali na nagłaćce dźwięki kołatki. W sąsiedniej celi mieszkali dwaj tacy, całkowicie odporni na pobudkę. To Grzesiek, o którym wspominałem przy okazji opisywania mojej pracy w oborze oraz Mariusz Leśniewski, człowiek bardzo pracowity i obdarzony nadzwyczajną siłą, choć w zamian dotknięty sporym ubytkiem zmysłu słuchu. Na nich żadne pobudki nie działały. Nawet kołatka. Ale to jeszcze nic. Pewnej nocy spokój nocny został zakłócony przez potężny łomot, który zbudził mnie ze snu. W celi obok – w której mieszkali Grzesiek i Mariusz - coś się stało. To był jeden potężny wstrząs, po czym nastąpiła całkowita cisza. Czekałem chwilę w napięciu, ale dźwięk ten się nie powtórzył. Rano rozpocząłem dochodzenie. Spotkałem Grzesia i zapytałem o nocne zajścia. Bardzo się zdziwił i nic nie wiedział... Czuję się kompletnie skołowany... Przecież coś się stało, chyba że ja miałem jakieś... nie, to nie wchodziło w rachubę. Przecież nie wydawało mi się! Coś potężnie gruchnęło, tylko - co? Po śniadaniu wytropiłem Mariusza i zapytałem, co miało miejsce w ich celi. Ten uśmiechnął się od ucha do ucha i opowiedział mi swą przygodę. Okazało się, że przyśniło mu się, iż goni swoją kołdrę. Niestety, „gonił” ją również na jawie. A że spał na górnym łóżku... no, właśnie! Spadł z pryczy i - o dziwo - nic mu się nie stało! Ale jeszcze dziwniejsze było to, że Grzesiek, który spał poniżej, nic nie usłyszał!!!! To się nazywa sen sprawiedliwego! Do tamtego dnia myślałem, że to ja śpię twardo...

Kolejny dzień upłynął nam na poznawaniu braci i topografii klasztoru. Jeśli o braci chodzi, wielu okazało się bardzo życzliwych, choć nie brakowało również dziwaków. Ale nie mnie ich oceniać, bo może oni właśnie mnie zaliczali do tej grupy? Specjalną enklawę stanowili najstarsi z kleryków - diakoni (studenci VI roku). To swoista „rezerwa klerycka”. Z nimi trzeba było postępować bardzo ostrożnie. Nie można było po prostu wejść do pokoju diakona. Trzeba było zastukać i poczekać grzecznie na „proszę”, w przeciwnym razie można było usłyszeć wiązanekę niezbyt sympatycznych wyrazów, które można streścić w jednym słowie: wyjdź. Diakoni ze swoim wychowawcą mieszkali na poddaszu. Ich cele położone były blisko kaplicy i salki telewizyjnej, więc najczęściej decydowali o tym, co danego dnia będziemy oglądali w telewizji. I tu muszę powiedzieć, jakie programy cieszyły się największą popularnością. W ciągu czterech lat spędzonych w Krakowie niekwestionowanymi przebojami, okazały się dwie „serie”. Pierwszą był serial pt. „Strażnik Teksasu”. Zresztą, bracia nazwali jednego z wychowawców Strażnikiem, a piętro, na którym mieszkał - Teksasem. Nawet zrobili coś w rodzaju „granicy”, stawiając szlaban z napisem: „Teksas”.

Drugim hitem okazała się niedzielna wieczorynka o Gumisiach. Żaden program nie gromadził tylu kleryków. Bracia stali nawet pod ścianą. Proszę sobie wyobrazić kilkadziesiąt osób, śpiewających o Gumisiach, które skaczą tam i siam. Niektórzy nawet nosili przezwiska na pamiątkę bohaterów

tej kreskówki, a podczas zwykłych rozmów często używaliśmy cytatów z tej bajki.

Wracając jednak do braci, najbardziej przypadła mi do gustu ekipa z roku trzeciego. W większości byli to prawdziwi „giganci” w każdej dziedzinie. Nie było dnia, by ktoś z nich nie uraczył klasztoru jakimś dowcipem czy żartem. Ich wychowawcą był o. Tadeusz Starzec - bardzo ciekawa osobowość. Trudno go było „rozgryźć”, jednak jego podopieczni wykazywali nadzwyczajną zdolność w rozumieniu zawitych tajników psychiki swego wychowawcy. Charakterystyczną cechą o. Tadeusza było robienie wielkich oczu, gdy wypowiadał się na jakiś ważny temat i mówienie z wielkim namaszczeniem. Mniemałem początkowo, że to tylko zagrywka z jego strony, ale szybko się przekonałem, że o. Tadeusz traktował to bardzo serio. Był człowiekiem bardzo uduchowionym, ale by poskromić swoich podopiecznych potrzebna mu była nadzwyczajna asystencja Ducha Świętego. Do miana legendy urosły jego konferencje dla seminarzystów, które wygłaszał podczas piątkowych wieczorów. Często używał różnych „wspomagaczy”, by podkreślić rangę swych słów. Podczas tych wykładów niejednokrotnie piętnował nasze słabości, jak np. zbytnią skłonność do słodyczy. Wyciągał wtedy kawę, cukierki i jakieś drobne pieniądze, które rzucał przed ambonkę z pytaniem, czy to wszystko jest naszym życiowym celem? Po konferencji szybko znikaly one w tajemniczych okolicznościach. Miał w swym repertuarze także konferencje pouczające. Pamiętam, jak mówił o „Kobiecie Nowej”. Podawał za wzór Św. Klarę, której przesłanie jest nadal aktualne. Dla uwidocznienia swego przesłania, rozwinął dwa plakaty. Pierwszy przedstawiał św. Klarę,

a drugi - piękną brunetkę, siedzącą na wspaniałym motorze, której nie można było podejrzewać o aureolę nad głową. Spotkanie zakończył, pytając:

- Bracia, którą Klarę wybieracie?

Jednak, po chwili wahania, większość przewrotnie wskazała na tę drugą. Chyba nie byliśmy zbyt pilnymi uczniami...

O. Tadeusz słynął też z tego, że podczas rozmowy z kimś lubił rzucić jakąś sentencją mądrościową, by zmusić rozmówcę do refleksji. Mnie to również nie ominęło. Pewnego dnia, tuż po obiedzie, popędziłem do salki rekreacyjnej. Spieszyło mi się strasznie, bo czasami odpowiedzialny za zaopatrzenie brat przynosił coś słodkiego (najczęściej najzwyczajniejsze ciasteczka). Jako, że ilość smakołyków nigdy nie była szczególnie imponująca, "załapać się" mogli tylko najszybsi. Tym razem dobiegłem jako pierwszy. Jednak nie byłbym sobą, gdybym czegoś nie schrzanił. Tego dnia bowiem cały klasztor przeżywał rekolekcje, w związku z czym rekreacje zostały odwołane. Co za tym idzie, nie przewidziano też łakoci. W salce zjawił się za to o. Tadeusz i zastał mnie, siedzącego przy stole w pozycji wyczekującej. Gdy go zobaczyłem, zorientowałem się, że coś źle wykalkulowałem. Chciałem się po cichu wynieść, ale zapytał mnie:

- Adam, a czym Ty się interesujesz? Masz jakieś hobby?

Zaskoczył mnie tym zupełnie. Ale skoro był tym zainteresowany, odpowiedziałem całkowicie szczerze:



- Historią marynarki wojennej ze szczególnym uwzględnieniem pancerników – i już chciałem rozwinąć ten temat, by kontynuować przez najbliższe dwie doby, ale o. Tadeusz szybko mi przerwał, mówiąc:
- Tylko pamiętaj, by Twoje hobby, nie wyparło z serca Boga.

Przez kilka najbliższych dni zastanawiałem się nad znaczeniem tych słów, ale nie wiedziałem, o co mu chodziło. Jednak na wszelki wypadek, by wyeliminować wszelkie wątpliwości, powołałem do życia tzw. „teologię pancernika”, dzięki której mogłem spokojnie zgłębiać tajniki teologii, a równocześnie poszerzać moje zainteresowania marynistyczne, by ją udoskonalić.

Od naszego przyjazdu rozpoczęły się ostre przygotowania do rozpoczęcia nowego roku akademickiego w Seminarium. Mieliśmy ze współbraćmi rozpocząć studia. I to bardzo serio. W mojej rodzinie nie było tradycji akademickich - może za wyjątkiem nazwiska panińskiego mamy, które brzmiało: „Student”. Bardzo się martwiłem, czy podołam takiej ilości nauki. Szkoła średnia przy studiach to po prostu przedszkole (często to powtarzam młodzieży, którą dziś katechizuję, ale jakoś dziwnie mało osób mi wierzy...), a przecież i wcześniej nie brakowało mi problemów z nauką. Cóż, najważniejsze, że nie było matematyki! Niestety, inne przedmioty potrafiły nam dostarczyć równie wiele „radości”...

Podczas uroczystości rozpoczęcia roku akademickiego, wykład wygłosił o. dr Feliks Marchewka – prowadzący zajęcia z logiki. O, rany!!! Dotąd nie wiedziałem nawet, że można z sensem mówić w takim tempie. Z półgodzinnego wykładu zrozumiałem tylko wstęp, a i to część, podczas

której rektor przedstawiał nam prelegenta, nie przeszkadzało mi to jednak w nabraniu przekonania, że studia są czymś niezmiernie ważnym i doniosłym. Pierwszy wykładowca zaimponował mi... i przeraził. Jeśli będzie tak gadał na wykładach, to pojmę tylko początkowe: „dzień dobry” i końcowe: „do zobaczenia”. Naturalną cechą w niepewności jest poszukiwanie pociechy. Rozglądałem się po auli w poszukiwaniu równie przerażonych osób, które - podobnie jak ja - nie rozumiały tego całego gadania. Ale - o dziwo - zobaczyłem spokojne twarze ludzi. Wyglądających na rozumiejących, co się tutaj dzieje! Współbracia z pierwszego roku wpatrywali się w prelegenta z minami intelektualistów, a starsi wyglądali na takich, którzy wiedzą więcej od samego wykładowcy. Poczulem ucisk w żołądku i pustkę, wynikającą z faktu, że chyba tylko ja nie wiem, o co tu w ogóle chodzi. Nie ufałem sobie w sprawach dotyczących nauki, bo dotąd tylko (a może - aż) jedna nauczycielka wmawiała wszystkim, że jestem zdolny. Pozostali nauczyciele raczej nie prorokowali mi większych sukcesów edukacyjnych. Do tego dochodził jeszcze jeden problem - żadna szkoła, którą ukończyłem nie nauczyła mnie najważniejszej rzeczy: jak się uczyć? Moje wcześniejsze kłopoty z nauką nie były jednak wynikiem rzekomych braków zdolności, ale nieznajomości metody, pomocnej w samym procesie uczenia się. Niestety, tej prawdy nie odkryłem jeszcze podczas wykładu inauguracyjnego, rozpoczynającego rok akademicki 1992/93.

## Dzień jak co dzień

***„Dobrze jest dziękować Panu i śpiewać imieniu Twemu, o Najwyższy: głosić z rana Twoją łaskawość, a wierność Twoją nocami” (Ps 92,2-3)***

Nim opiszę moje „osiągnięcia” naukowe, zapoznam Czytelników z planem dnia w Seminarium. Zwykły dzień zaczynał się o 5:25 od wstrząsającej pobudki, o której już wspominałem. O 5:45 spotykaliśmy się na modlitwach porannych, po zakończeniu których miała miejsce trzydziestominutowa medytacja. O 6.30 przechodziliśmy do kościoła na Mszę Konwencką, w której brała udział cała Wspólnota Domowa. Prawie całą świątynię wypełniali bracia. Raz w tygodniu uczestniczyliśmy we Mszy w języku łańciskim oraz w innej, podczas której śpiewał nasz w pełni amatorski zespół. Mnie najbardziej zachwycały sobotnie Eucharystie, kiedy kazania głosili najstarsi bracia – diakoni. Nie ma to, jak nowi kaznodzieje, odkrywający potęgę słowa. Ich pomysłowość w tym względzie była niesamowita, a czasami i bardzo zabawna. Niektórzy mieli ogromną treść, tym bardziej, że obecność kleryków nie ułatwiała im mówienia z ambony. Zapewne ciężko się głosi kazanie, gdy ponad setka par oczu wpatruje się w ciebie, czyhając na każdy, nawet najdrobniejszy, błąd. Następnie błędy te były analizowane i omawiane podczas śniadania. Czasami wszyscy klaskali diakonowi w uznaniu pięknej homilii, a czasami nabijali się do woli, jednak starając się go nie obrazić. Wbrew pozorom, klerycy to grupa bardzo uczuciowa i otwarta.

Co do śniadania, trzeba tu odnotować jeszcze jedną rzecz. Najczęstszym daniem, serwowanym na śniadanie, były serki topione. Nigdy nie zapomnę ich smaku i widoku. Owinięte w złotą folię, w różnych smakach: serek topiony z cebulką, grzybkami, papryką, a nawet serki topione o smaku serka topionego. Obawialiśmy się nawet, że zostanie pogwałcona stara tradycja zakonna, nakazująca podczas Wigilijnej wieczerzy łącać się opłatkiem, posmarowanym miodem. Oczekiwaliśmy z drzeniem na Wigilię, spodziewając się najgorszego – topionego serka zamiast miodu.

Po śniadaniu nadchodziła pora studiów. Wykłady trwały od 8:00 do 12:40, a do ich szczegółowego opisu wrócimy później. O godzinie 12.45 spotykaliśmy się na modlitwie w ciągu dnia, po której udawaliśmy się do refektarza na obiad. Obiady były bardzo smaczne, choć nie należały do szczególnie wykwintnych. Szczególnym powodzeniem cieszyły się naleśniki z serem lub dżemem, choć zdarzały się dowcipy dziewczyn pracujących w kuchni, w postaci naleśników z... serwetką w środku. Jednak nawet to nie mogło zepsuć nam apetytu. Naturalnie, wszystko w Zakonie ma swoją porę, więc i obiad podlegał pewnym ograniczeniom, które określał przełożony. Miał on w swej dyspozycji narzędzie, zdolne przedłużyć lub przerwać nawet najsmaczniejszy posiłek. Tym narzędziem był dzwonek. Jeśli nadchodziła pora zakończenia posiłku, przełożony po prostu dzwonił i wtedy wszyscy kończyli posiłek, wstając do modlitwy. Naturalnie, przełożony nie starał się przerywać nam jedzenia, ale i tak trzeba było dość się spieszyć, ponieważ

posiłek był rozdawany zgodnie ze starszeństwem. Zatem nietrudno odgadnąć, że my - studenci pierwszego roku - jedliśmy jako ostatni.

Po zakończeniu posiłku następował czas rekreacji. Rekreacja poobiednia była czasem, który spędzaliśmy nie tylko rozmawiając ze współbraćmi, ale uprawiając sport, robiąc konieczne zakupy, czy też (jeśli działało się w grupie charytatywnej) udając się z obiadem do chorych i starszych, którymi bracia się opiekowali. Rekreacja trwała godzinę, a po niej w klasztorze zapadała cisza - czas studium. Wtedy każdy mógł się



samodzielnie uczyć. Jednak – jako że klasztor musiał być codziennie sprzątny, a każdy z nas miał przeznaczoną pewną część, za czystość w której odpowiadał, podczas ciszy wielu braci sprzątało swój „rejon”. Inspekcji dokonywał dziekan – osoba, łącząca wspólnotę braci wieczystych ze wspólnotą kleryków. Dziekana wybierano podczas kapituły. Musiała być to osoba, łącząca zdolności mediacyjne – dogadywanie się między „górami”, a „dołami” z umiejętnością zyskania uznania i zaufania kleryków wszystkich roczników. Gdy zbliżał się czas kapituły, rozpoczynała się prawdziwa kampania wyborcza. Powoływano tymczasowe sztaby, które miały pozyskać głosy dla swego kandydata. Zresztą, nie odbiegała ona prawie niczym od kampanii parlamentarnych w Polsce. I tu, i tam padały hasła bez pokrycia, mętne obietnice, byle

tylko osiągnąć sukces. Różnica jest jedna, za to zasadnicza – w Zakonie nie prowadzono tzw. kampanii negatywnej. Nikt nie oczerniał przeciwnika i nie atakował go. Sam nigdy nie miałem aspiracji do tej funkcji, może po prostu dlatego, że się do jej pełnienia nie nadawałem. Miałem za to swój wkład w prowadzeniu kampanii wyborczej.

Powróćmy jednak do czasu, przeznaczanego zwykle na studium. W tym okresie trzeba było wygospodarować jeszcze trochę czasu na pozostałe praktyki religijne, wiążące się z przynależnością do Zakonu Kapucynów, tzn. odmówienie różańca, odprawienie drugiej medytacji oraz czytanie Pisma Świętego.

Czasami po południu odbywały się dodatkowe wykłady, np. z języków obcych. Normował to wszystko plan dnia poszczególnych wykładowców, którzy w zdecydowanej większości dochodzili lub dojeżdżali, także z innych miast, do naszego Seminarium.

O godzinie 18:45 wszyscy odmawialiśmy Nieszpory, a po ich zakończeniu udawaliśmy się na wspólną kolację, po której miała miejsce kolejna rekreacja. Wtedy też pewna grupa braci, których Pan obdarzył talentem wokalnym, miała zajęcia ze śpiewu aż do 21:00. Inni, wokalnie „zdolni inaczej”, do których i mnie zaliczono, uczestniczyliśmy w zajęciach z muzyki innego dnia – również wieczorem. My jednak – dzięki Bogu - nie śpiewaliśmy, tylko słuchaliśmy muzyki, którą prezentował nam nasz niezastąpiony wykładowca - p. Jerzy Kurcz, człowiek, który w tej materii wiedział chyba wszystko. Uwielbialiśmy te wykłady i przyznaję, że muzyka klasyczna, objawiona nam przez

p. Kurcza, zaczęła do nas przemawiać. Bo też i rzadko spotyka się człowieka z takim poczuciem misji, a zarazem umiejącego przekazać innym to, co najistotniejsze w „lekkostrawny” sposób.

Od dziewiątej wieczorem nastawał czas, który można określić łacińskim terminem: *sacrum silentium* – święta cisza. Bracia wyciszali swoje rozmowy i udawali się na spoczynek. Wielu jednak tego terminu nie przestrzegało i na takich czekały różne sankcje w razie wpadki. Sam nigdy nie byłem mocny w milczeniu, co niejednokrotnie przypłaciłem „bliskim spotkaniem trzeciego stopnia” z przedstawicielem klasy panującej. Tak właśnie upływały nam dni w krakowskim klasztorze.

## Pierwsze kroki seminarzysty

***„Synu, od młodości swej staraj się o naukę,  
a będziesz ją nabywał aż do siwizny” (Syr 6, 18)***

Teraz rzućmy światło na wykładowców, z którymi miałem zajęcia podczas pierwszego roku studiów. Do czasu otrzymania do ręki indeksu myślałem, że widziałem już wszystko o szkole. Nic bardziej mylnego - dopiero na studiach spotkałem prawdziwych oryginałów. Większość z nich zapisała się mej pamięci jednak nie dzięki wiedzy (niczego im nie ujmując, w większości bowiem byli to ludzie naprawdę znakomicie wykształceni), którą nam przekazywali, ale dzięki ich sposobowi bycia. Pierwszy i drugi rok upłynęły nam przede wszystkim na zmaganiach z filozofią. Jedyną filozofia, jaką do tej pory wyznawałem, to ta, by bez większych problemów skończyć seminarium. Jakież było moje zdziwienie, gdy na planie zobaczyłem, ile będziemy przerabiać rodzajów filozofii. Zdawałem sobie sprawę, z tego, że myślenie to kolosalna przyszłość, ale ileż można gadać o myśleniu?

Już na samym początku, doznałem wstrząsu. Oto ks. doc. dr hab. Roman Rożdżeński, wykładowca metafizyki, podał nam pierwszą definicję, która określała całą rzeczywistość. Brzmiała ona mniej więcej tak: „Byt jest, a niebytu nie ma, bo gdyby niebyt był, byłby bytem”. I wszystko jasne... Rany, ależ musiałem mieć wtedy kretyńską minę! Nie pamiętam już nic innego



z całego wykładu, bo siedziałem totalnie zszokowany tym, co usłyszałem. Naturalnie, Profesor zapytał pod koniec wykładu z typową dla niego uprzejmością, czy ktoś czegoś nie rozumie? Poczułem, że nadszedł mój czas. Stwierdziłem, że kompletnie nie rozumiem tego, o czym tu była mowa. Zdziwiłem się, bo moi współbracia od razu zaczęli rechotać... Odtąd przez pewien czas nasz rocznikowy prześmiewca - Wicek Ślusarz nabijał się ze mnie, nadając mi ksywkę: „Ja tego nie rozumiem”. Fakt, że praktycznie podczas każdego wykładu wypowiadałem powyższe stwierdzenie był jednak wynikiem tego, że naprawdę chciałem pojąć tę całą filozofię. Kiedyś przeczytałem pewną chińską myśl, z którą do dziś dnia żyję w zgodzie, a która brzmi: „Jeśli ktoś czegoś nie wie i nie pyta - jest głupcem przez całe życie, a jeśli ktoś czegoś nie wie i zapyta - jest głupcem przez pierwszą minutę”. Ale ks. Rożdżeński najbardziej zaimponował mi, gdy podczas jednego z wykładów zadał mu pytanie nie kto inny, jak Maciek Skoczeń, który miał ksywkę Absolut. Oj, ten wiedział dosłownie wszystko, miał bowiem fenomenalną pamięć. Gdy zadawał pytanie, jasne było, że nawet najwięksi z profesorów mogą się nieźle napocić przed udzieleniem odpowiedzi. Gdy Maciek poprosił o wyjaśnienie pewnej kwestii, nastąpiła martwa cisza. Książ Profesor zamyślił się na długą chwilę, po czym odpowiedział po prostu:

- „Bracie! Dziś nie znam odpowiedzi na twoje pytanie, ale obiecuję się doczytać i następnym razem wszystko dokładnie wytłumaczę.”

Nie wierzyłem własnym uszom. Pierwszy raz w życiu spotkałem dorosłego człowieka, w dodatku z pełnym wachlarzem tytułów naukowych, który przyznał się do tego (i w dodatku przeprosił), że czegoś nie wie. Ale ujął

mnie jeszcze bardziej, gdy po upływie tygodnia przy okazji kolejnego wykładu, od razu wrócił do pytania Maćka. Powiedział:

- Poprzednio brat zadał pytanie, na które nie znałem odpowiedzi. Dziś już mogę jej udzielić... – po czym zaczął wyjaśniać wszelkie zawiłości, związane z pytaniem Maćka. Oto prawdziwa wielkość! Oczywiście, to tylko drobny epizod, ale jakże znaczący. W tym właśnie momencie postanowiłem, że naprawdę nauczę się metafizyki, więc udałem się po pomoc do największego z największych w dziedzinie filozofii z grona kleryków - do br. Piotra Jurczyka. Był on rok starszy od nas i wręcz nie można było go „zagiąć” z filozofii. Jeśli chodzi o metafizykę, powszechnie wiadomo, że nie miał sobie równych, tak, że ks. Rożdżeński widział w nim niejako swe odbicie. Piotr z ogromną cierpliwością udzielał mi korepetycji, i to całkiem tanio - za jedną herbatę każdego wieczoru.

Osobowością, która bardzo mocno zaznaczyła się w moim życiu, był ks. prof. dr hab. Tomasz Jelonek. Był on wykładowcą Nowego Testamentu. Kapłan ten bardzo szanował każdego studenta i traktował nas zawsze bardzo serdecznie. W dodatku zgodził się zostać moim promotorem, za co szczególnie go podziwiałem, bo trudno o bardziej leniwego studenta, niż ja. Pozostał w mej pamięci z powodu pewnej historii, którą teraz ujawnię i mam nadzieję, że Profesor nie będzie miał mi tego za złe. Lubiałem „wpadać” do Jezusa na przerwach między wykładami, by pozawracać Mu głowę. Akurat tego dnia nie wchodziłem do nawy głównej, tylko zacząłem się w chórze,

skąd miałem doskonały widok na całe prezbiterium. Kościół był już zamknięty po porannych nabożeństwach. W pewnym momencie z zakrystii wyszedł ks. Tomasz Jelonek. Rozejrzył się, czy kościół jest pusty, a gdy upewnił się, że tak, padł na kolana obok ołtarza i zatopił się modlitwie. Widziałem, jak porusza wargami, wypowiadając to, co miał w sercu. Zrozumiałem wtedy, że wielkości człowieka nie mierzy się tytułami naukowymi, ilością publikacji, liczbą zer na koncie osobistym, ale pokorą i prostotą wobec Najwyższego. Dobry nauczyciel czy lekarz nosi swych podopiecznych w sercu, polecając ich najlepszemu Nauczycielowi i Lekarzowi.

Innym wielkim profesorem był jezuita - o. prof. dr hab. Piotr Lenartowicz. Jego wykłady rozpoczęły się nieco później, niż inne zajęcia z racji pobytu Profesora w Szwecji. Był on wykładowcą podstaw filozofii i filozofii przyrody ożywionej. Nigdy nie zapomnę jego pierwszego wykładu. Wszedł do sali, ubrany w czarne spodnie i czarny sweter. Miał wygląd starego wilka morskiego (zresztą, rzeczywiście posiada tytuł kapitana żeglugi), który podkreślała jeszcze jego siwa broda. Wkroczył energicznie do sali i spokojnym głosem rozpoczął wykład. Najpierw bardzo uprzejmie przeprosił za opóźnienie swych wykładów i opowiedział historię swego pobytu w Szwecji. Przeżył tam tragedię, bo taksówkarz potracił jego siostrę. Opowiadał nam o tym z takim spokojem i takim zaufaniem, jakby znał nas od lat. Nigdy nie podniósł głosu i zawsze był bardzo otwarty na nasze teorie. Egzaminował za pomocą napisanych przez siebie testów. I, niestety, jako jedyny z mojego roku, "padłem" właśnie na tym teście. Ponoć zabrakło mi kilkudziesięciu punktów do zdobycia trójki. Byłem zdruzgotany i załamany. Potwierdziły się moje

wątpliwości, że jestem za głupi, by dać sobie radę na studiach. Może, gdybym nie ja jeden oblał ten egzamin, byłoby mi raźniej, wtedy jednak czułem się kompletnie zdruzgotany. Pomogli mi jednak bracia z III roku, zresztą ci właśnie, którzy byli uważani za swoiste „podziemie kleryckie”, bo inicjowali wszelkie imprezy i szalone pomysły w klasztorze. Zaprosili mnie wtedy na kawę i pokazali swoje indeksy. Poczuję się raźniej, bo zobaczyłem, że niektórzy osiągają podobne „sukcesy” i że można z tego bez problemu wyjść. Pozostał jedynie niesmak, wynikający z tego, że oblałem egzamin u profesora, którego naprawdę bardzo ceniłem i lubiłem. Zrozumiem mnie tylko ten, kto miał w swym uczniowskim życiu nauczyciela, którego naprawdę ogromnie szanował. Wtedy boli nie to, że dostało się najniższą ocenę, ale fakt, że zawiodło się **takiego** nauczyciela. To właśnie czułem. Przez cały tydzień uczyłem się bardzo gorliwie, by zdać egzamin poprawkowy, ale – niestety – nadal niczego nie rozumiałem.

Mimo wiary i naprawdę ogromnych chęci, nie mogłem zatrzymać czasu i wybiła godzina, w której musiałem udać się do „gniazda” Jezuitów przy ulicy Kopernika by spotkać się z Profesorem. Nigdy nie zapomnę tej „poprawki”. Czekałem około pięciu minut, które wydawały się wiecznością. W końcu wszedł o. Lenartowicz, jak zwykle spokojny i uprzejmy. Pozdrowiłem go po chrześcijańsku i usiadłem na wskazanym miejscu. W ciszy Profesor otworzył teczkę, wyszukał mój test, rozłożył przede mną i wskazał pierwsze pytanie. Przeczytałem i... zamilkłem. Po dłuższej chwili o. Lenartowicz spokojnie zapytał, czy coś jest nie w porządku. Odparłem, że po prostu nie

rozumiem pytania. Spokojnie pokiwał głową ze zrozumieniem, zamknął teczkę, odstawił ją na bok i powiedział:

- Porozmawiajmy o różowych słoniach.

Nie wiedziałem, czy nie robi ze mnie większego głupka, niż jestem, ale podjąłem dialog. Po dłuższej chwili znów otworzył teczkę z moim testem i wskazał drugie pytanie. Znowu nastąpiła niezręczna cisza, po której procedura się powtórzyła, tyle tylko, że nie było rozmowy o słoniach ale o kwiatkach. Po tej botanicznej dyskusji o. Lenartowicz powiedział, że jeśli odpowiem na jeszcze jedno pytanie, wstawi mi ocenę dobrą. Wtedy postanowiłem zagrać po swojemu, czyli szczerze. Powiedziałem, że i on, i ja wiemy, na jaką ocenę rzeczywiście zasługuję. Więc jeśli chce, możemy to ciągnąć, ale nawet, jeśli da mi czwórkę, będzie mi wstyd do końca życia, że u takiego gościa, jak on oblałem. Poprosiłem o trójkę, która i tak nie odzwierciedlała moich rzeczywistych zdolności, ale wolę to, niż poczucie wstydu. Gdy usłyszał te słowa, uśmiechnął się nieznacznie i wpisał mi trójkę. Do dziś pamiętam o nim w modlitwach i zawsze będę go szanował.

Do grona profesorów, którzy siali spustoszenie i strach wśród studentów, należał kapucyn o. dr Celestyn Giba, który wykładał nam teologię moralną. Nigdy nie zapomnę tych dziesiątek, a nawet setek wyliczanek i głosu o. Celestyna. Jak ja go nie lubiłem... Nie zapomnę jego stwierdzenia na powitanie, podczas egzaminu:

- Maniura, ty i tak nie zdasz!

Nie pozostawało mi nic innego, jak oddać indeks po pałę i wracać do siebie. Chodziło się za nim potem kilkanaście razy, nim pozwalał zdawać poprawkę, a i wtedy trzeba było liczyć na cud. Ale nie wspominam tu

o. Celestyna, by narzekać. Po pierwsze, ponieważ już nie żyje, a o zmarłym nie wypada mówić niczego złego, a po drugie - jestem mu bardzo wdzięczny za tę szkołę. Dziś jako katecheta spotykam się często z pytaniami młodzieży właśnie z zakresu teologii moralnej, a dzięki o. Gibie bardzo rzadko mam problemy z odpowiedzią. Z postacią o. Celestyna związana jest jeszcze jedna historia, która miała miejsce już po moim odejściu z zakonu. Kiedyś jako katecheta świecki, odwiedziłem klasztor i spotkałem na ulicy mojego wykładowcę. Postanowiłem, że z autentyczną szczerością podziękuję mu za ten wysiłek, jaki mi zaserwował na egzaminach, bo dzięki niemu radzę sobie na lekcjach w szkole, gdy jestem pytany o zagadnienia z jego przedmiotu. Zobaczyłem nikły uśmiech na twarzy ojca, który bez słowa poszedł dalej. Dowiedziałem się później, że na najbliższych zajęciach z klerykami, opowiedział o naszym spotkaniu i o moich podziękowaniach, co skomentował, mówiąc, że będzie ich ostrzej pytać, niż do tej pory, mając na względzie ich dobro. Chyba nie muszę mówić, że moje nazwisko przez długi czas, nie cieszyło się dobrą sławą wśród kleryków.

Bardzo sympatyczną postacią w gronie naszego seminaryjnego ciała pedagogicznego był wykładowca teologii fundamentalnej - ks. doc. dr hab. Łukasz Kamykowski. Nie wiem, skąd brał siły, ale zawsze był uśmiechnięty. No, może z jednym wyjątkiem: egzaminu, podczas którego wcielał się w różne postacie i trzeba było z nim polemizować. Uczyliśmy się z jego książki, ale pytał nie tyle z treści, co ze zrozumienia tekstu. Nigdy nie

zapomnę mojego egzaminu. Od samego wejścia rozpoczęła się gra. Zobaczyłem przygarbioną sylwetkę mężczyzny, który bynajmniej nie przypominał w niczym ks. Łukasza. Wstrząsnęła mną jego historia, którą można by streścić mniej więcej tak: kilka dni temu zostawiła go żona, a dziś dowiedział się, że ma raka. W pracy również nie układa się najlepiej i w ogóle to wszystko nie ma najmniejszego sensu... Po poznaniu historii „jego” życia, musiałem mu coś poradzić, więc wpadł mi do głowy ciekawy pomysł. Poleciłem mu książkę, którą przypadkiem miałem przy sobie, a którą już przeczytałem. Zawierała ona wiele odpowiedzi na jego pytania, a którą napisał mój znajomy ksiądz - Łukasz Kamykowski. Mój egzaminator raczej nie przewidywał takiego obrotu sprawy. Chciał zobaczyć, czy coś zrozumiałem, więc powiedział, że już ją czytał i nie pomogła mu, więc pragnie usłyszeć coś pokrzedającego ode mnie. Musiałem więc wysilić się i udzielić mu kilku rad, co się w końcu opłaciło. Zdałem.

Do grona wielkich profesorów muszę z satysfakcją zaliczyć jeszcze ks. dr Andrzeja Zwolińskiego, który próbował nam przekazać przesłanie Katolickiej Nauki Społecznej. Już wtedy ks. Andrzej posiadał na swym koncie więcej publikacji, niż ja włosów na klatce piersiowej (a zaznaczam, że łysiny w tym miejscu to ja nie mam). Na jego wykłady chodziliśmy do seminarium diecezji krakowskiej. Siadywaliśmy w ogromnej sali, ze ścian której spoglądali na nas sławni krakowscy biskupi i kardynałowie. Rozsiadaliśmy się w bardzo wygodnych fotelach i przez 90 minut oddawaliśmy się rozkoszy słuchania księdza profesora. Ależ on potrafił gadać... Nigdy później nie spotkałem kogoś, obdarzonego taką swobodą wyrażania własnej opinii. Ogromna

wiedza w połączeniu z rewelacyjnym (jak dla mnie) poczuciem humoru, gwarantowały arcyciekawe wykłady.

Wielu wrażeń dostarczyło mi jeszcze uczestniczenie w zajęciach, prowadzonych przez ks. dr K. Panusia. Uczył nas on, jak być dobrymi kaznodziejami. Fakt, że Kapucyni zawsze z tej formy duszpasterskiej słynęli, nie zwalniał nas z obowiązku uczestnictwa w tych zajęciach. Oj, wesoło było... Każdy z nas musiał wygłosić kazanie, którego temat i grupę wiekową osób, do których się mówiło, wyznaczał prowadzący. Ponadto, nie ma chyba trudniejszej rzeczy, niż mówienie do współbraci, i to tak specyficznych, jak mój rocznik. Głoszenie kazania nie ograniczało się tylko do jego przedstawienia. Grupa po jego wysłuchaniu oceniała wszystko, poczynając od spójności wypowiedzi, a na zachowaniu przy ambonie kończąc. Pamiętam, jak po standardowym rozpoczęciu mojego kazania: „Drodzy bracia i siostry”, spojrzałem na chłopaków. Ja się tu męczę, a ci nabijają się ze mnie. Te iskierki w oczach, półuśmieszki i udawana powaga. Żadne z moich późniejszych wystąpień nie kosztowało mnie tak wiele nerwów, jak to krótkie, markowane na potrzeby homiletyki, kazanie.

Nie ma co ukrywać, że na największy szacunek zasługują ci nauczyciele i wychowawcy, którzy sami szanują ucznia, nawet tak słabego, jak ja. Każdego dnia wspominam wielu takich profesorów, których dane mi było spotkać w seminarium.



Ale byli także totalnie zwariowani, wręcz - nieobliczalni profesorowie. Do tego grona muszę na pierwszym miejscu zaliczyć o. dr Józefa Mareckiego OFM Cap. Wykładał nam on historię Kościoła i Zakonu. Pamiętam pierwsze zajęcia, które zmroziły mi krew w żyłach. Podał nam kilkustronicową listę lektur obowiązkowych, a także tematy referatów, które musieliśmy na jego zajęcia napisać. Było ich pięć, po pięć stron, o określonej liczbie wierszy i znaków na stronie. Szaleństwo!!! Na szczęście, o. Józef bardzo lubił nasz rocznik i wkrótce przekonaliśmy się, że nie będzie tak źle. Pytał rzeczywiście w sposób niekonwencjonalny (np. wyznaczał odpowiadającego lub wybierał temat za pomocą kości do gry, lub po podaniu tezy studentowi, wieszał dyktafon na klamce, a sam wychodził, aby coś załatwić), ale był dla nas zawsze serdeczny. Muszę przyznać, że nigdy nie spotkałem człowieka, który w sposób tak pasjonujący potrafi opowiadać o historii – choć nauczycieli tego przedmiotu miałem bardzo dobrych. Gdy zbliżała się godzina jego wykładów, przerywał na moment pracę, przychodził do sali wykładowej w fartuchu (obowiązkowy strój w archiwum) i z teczką. Stawiał teczkę na biurku, zamykał oczy i wykładał, przez 90 minut nie zmieniając pozycji. Słuchaliśmy go, jak przysłowiowa świnia grzmotu. Gdy mijał czas, życzył nam miłego dnia i powracał do swych zajęć. To się nazywa zakręcony Profesor! Słynął on również z tego, że, jako Franciszkanin, nie uznawał służenia do Mszy Świętej w sandałach bez skarpetek. Kto tak obuty przyszedł do zakrystii, wylatywał z niej szybciej, niż pocisk. Znany był z szalonych pomysłów, ale kleryków zawsze bardzo szanował – przynajmniej ja nigdy nie zaznałem z jego strony niczego przykrego.

Do grona „dziwnych” muszę zaliczyć także o. dr W. Chaima - redemptorystę, który prowadził zajęcia z psychologii. Zawsze przychodził z siatką na zakupy, w której przynosił swoje notatki. Już pierwszego dnia mieliśmy próbkę tego, jak będą wyglądały te wykłady. Kazał nam usiąść w kółku i po kolei powiedzieć, czym jest i czego się spodziewamy po zajęciach z psychologii. Przypominało to jakąś terapię grupową, ale skoro trzeba było, mówiliśmy. Fakt, że czasami bycie szczerym się nie opłaca. Przekonałem się o tym tego dnia. Gdy nadeszła moja kolej, powiedziałem, że psychologia kojarzy mi się nieodmiennie z facetami w białych kitlach, którzy sami najczęściej potrzebują lekarza, bo tak to wygląda w większości filmów. Profesorowi chyba nie przypadła ta odpowiedź do gustu, bo stwierdził, że przypominam mu Rewińskiego i muszę mieć podobne słabości jak on (patrz – historia z piwem). Nie mogę powiedzieć, bym od tamtej pory należał do grona jego faworytów, ale rozstaliśmy się w zgodzie.

Nie sposób wyliczyć tu wszystkich profesorów, z którymi miałem zajęcia na I roku, bo chyba tak to już jest, że zapamiętujemy głównie tych, którzy byli dla nas autorytetami lub tych, którzy „dali nam popalić”. Pozostali muszą zadowolić się rolą osób, których wprawdzie się nie wspomina z imienia i nazwiska, ale którzy zasłużyli się tym, że dobrze wypełniali swe obowiązki nauczyciela i wykładowcy.

Jako „pierwszaków” czekał nas jeszcze jeden obowiązek. Musieliśmy się przedstawić całej wspólnotie domowej. Przyjęte było, że ceremonia powitania przebiegała w formie kabaretu. Naturalnie, poinformowano nas o tej imprezie na trzy dni przed terminem, ale jak mogło być inaczej - przecież Kapucyni słyną ze spontaniczności. Zebraliśmy się całym rocznikiem w jednej z salek rekreacyjnych i rozpoczęliśmy debatowanie na temat naszego kabaretu. Dyskusja była burzliwa, jednak nic sensownego nie przychodziło nam do głowy. Nie wiem, jak to się stało, ale bracia postanowili, że scenariusz przedstawienia mam przygotować ja. Panie!!! Chyba nikt nigdy tak nie spał sprawy! Cóż to była za szmira! Moi biedni współplemieńcy z roku ze mną na czele odstawili taką tandetę, jakiej nawet Święty Franciszek nie mógłby znieść. To była kłapa! Jedynym, co zrobiło wrażenie, ale także bynajmniej nie pozytywne, była scena, w której grałem ojca chrzestnego mafii i na forum wszystkich braci wydobylem z kieszeni wyżebranego wcześniej w mieście papierosa, roznieciłem zapałkę „po amerykańsku” (o podeszwę buta) i zacząłem palić. Bracia spoglądali z niedowierzaniem na to, co robię. Spoglądali to na mnie, to na wychowawców, jak zareagują. Później dowiedziałem się, że w klasztorze obowiązuje całkowity zakaz palenia. Tym numerem zaskoczyłem wszystkich zgromadzonych Dziś, z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że chociaż robiłem różne rzeczy w życiu, to nigdy później nie popełniłem podobnej rzezi na poczuciu humoru innych.

Szkoda, że nie potrafiłem zapaść się pod ziemię, bo zrobiłbym to natychmiast. Byłem przekonany, że już nigdy nikt nie zechce, bym go rozśmieszał. Niestety!!! Jakże ja się myliłem... Nie minął miesiąc i powiadomiono nas, że ako najmłodszy – jak ja nie lubiłem być najmłodszym! – mamy za zada-

nie przygotować pożegnania diakonów. Oczywiście, i tu przyjęte było, że pożegnanie przebiegało w konwencji kabaretowej. I jak myślicie, komu to zlecono? Tak, niestety, mnie, bo - uwaga – miałem **największe doświadczenie** w tej dziedzinie! Jasne, tylko ja miałem na swoim koncie klapę kabaretową, a to jest ogromne doświadczenie. Po zdanym egzaminie magisterskim, diakoni mieli wyjechać, by odbyć praktyki w różnych placówkach, jednak wcześniej klerycy z pozostałych roczników żegnali ich. Nigdy nie zapomnę naszych diakonów: Tomasz Durczyński, Krzysztof Mleczkowski, Dariusz Kochański, Edward Kryger, Krzysztof Kurzok, Henryk Cisowski, Czesław Gadacz, Piotr Kurkiewicz, Maciej Styburski i Stanisław Mański. Kilku darzyłem szczególną sympatią i warto powiedzieć o nich kilka słów więcej.

Krzysiek Mleczkowski słynął ze wspaniałych kazań, posiadał bowiem nadzwyczajną zdolność trafiania w ludzkie oczekiwania. Edward Kryger był zawsze wobec młodszych braci bardzo życzliwy i chętny do pomocy. Znałem go z wcześniejszych rekolekcji – jeszcze sprzed zakonu.

Krzysztof Kurzok prowadził jedyną w historii Zakonu, działającą na terenie klasztoru, wypożyczalnię muzyki. Posiadał potężną kolekcję taśm, które chętnie udostępniał. Czasami do jego celi prowadziły prawdziwe kolejki, a Krzys miał ustalone godziny urzędowania.

Ciekawą osobowością diakańską był Henryk Cisowski. Nie pamiętam, by kiedykolwiek nie tryskał dobrym humorem. Gdy miało się spadek entuzjazmu, warto było mieć pod ręką takiego kogoś. Miał dar uzdrawiania wszelkich smutków.

I na koniec totalny sfinks. Człowiek, którego nie sposób było rozgryźć, czyli Staszek Mański. Pochodzi z Kaszub i w dodatku doskonale zna gwarę tego regionu. Kiedyś podczas mojego dy-



żuru w furcie klasztornej, zadzwoniła jego mama. Chciałem się oddalić, by nie przeszkadzać w rozmowie, ale Staś z uśmiechem poprosił, bym został, bo jemu moja obecność nie przeszkadza. Wziął ode mnie słuchawkę i zaczął mówić... po kaszubsku! Szok! Nawet nie wiedziałem, czy powiedział „Dzień dobry”, bo niczego nie rozumiałem. Staszek był też idealnym człowiekiem do rozbijania nawet najwspanialszej imprezy. Cały klerykat podzielony był na tzw. fraterki – małe grupki braci, którzy razem pracowali, a także bawili się w czasie wolnym. Czasami na spotkanie naszej fraterki wchodził Staszek, siadał w rogu pokoju i po chwili mówił głosem Kłapouchego z „Kubusia Puchatka”:

- Bawcie mnie.

Od razu zapadała cisza i bracia tracili ochotę na żarty.

Jeszcze a propos gwary. Graliśmy kiedyś w piłkę nożną, a Staszek (nie gniewaj się na mnie, jeśli czytasz te słowa) w najmniejszym stopniu nie potrafił grać. Stał na bramce, a ja grałem w przeciwnej drużynie. Podczas ataku na bramkę Stasia, byłem idealnie ustawiony i oczekiwałem na podanie, ale mój kolega z drużyny postanowił sprawę załatwić indywidualnie i strzelił

do bramki. Stasiu odbił piłkę i uchronił swoją drużynę od porażki. Ja, niestety, jestem człowiekiem impulsywnym i w ferworze walki zawołałem do kumpla z drużyny:

- Nie strzelaj na chama!

Staszek na to się obraził, bo pomyślał, że nazywałem go chamem. Musiałem mu wyjaśnić, że na Śląsku stwierdzenie „strzelić na chama” oznacza „na siłę, za wszelką cenę”. Od tamtego zdarzenia mocno przyjaźnię się ze Staszkiem. Wkrótce zasłynął on zresztą jako świetny kapelan Szpitala Onkologicznego w Krakowie i znakomity rekolekcjonista. Takich diakonów posiadał Zakon Kapucynów!

## Pokusy

***„Bo gdzie jest twój skarb, tam będzie i serce twoje” (Mt 6, 21)***

Od początku pobytu w Krakowie byłem atakowany przez różne pokusy. To miasto po prostu było ich pełne. Naturalnie, żadna pokusa nie mogła mi zaszkodzić, dopóki nie wyrażałem na nią zgody. Lecz Kraków serwował uciechy, za którymi bardzo tęskniłem. Zawiodę wszystkich, którzy będą doszukiwali się sensacji i od razu powiem, że nie były to pokusy cielesne – z nimi zawsze jakoś sobie radziłem. Na szczęście, nie miałem nigdy urody idola, więc i nie było w moim otoczeniu kobiet, które uważałyby mnie za „łakomy kasek”. Starałem się dla nich być przyjacielem, a nie - amantem. Jasne układy czynią przyjaciół i tym starałem się kierować w kontaktach męsko - damskich.

Były momenty, kiedy brakowało mi „światowego” życia. Uwielbiałem włóczyć się po knajpach, gdzie można było napić się dobrego piwa i posłuchać dobrej muzyki. Chciałem pójść do kina, kiedy miałem na to ochotę, a nie tylko wtedy, gdy przełożony mi na to pozwalał. Niestety, zgodnie z zasadami panującymi w klasztorze, mogliśmy za zgodą przełożonego pójść do kina raz w miesiącu, poza Wielkim Postem, kiedy to rezygnowaliśmy nawet i z tych przyjemności. Jednak najbardziej brakowało mi czegoś innego. Może zdziwię Cię, drogi Czytelniku, ale najbardziej tęskniłem za możliwością

noszenia **krawata**. Już widzę uśmiech na Twojej twarzy, ale tak było w istocie. Przed wstąpieniem do Zakonu uwielbiałem chodzić w marynarce i krawacie, bo nic tak nie dodaje powagi mężczyźnie, jak ten strój. Kraków tylko wzmagał to pragnienie, gdyż bardzo często mijaliśmy mężczyzn, ubranych w garnitury lub wityrny eleganckich sklepów z męskimi ubraniami i żał serce ścisnął, że w normalnym wyposażeniu habitu nie został uwzględniony krawat. Zakon naturalnie dbał o nasze potrzeby i jeśli ktoś czegoś potrzebował, udawał się z prośbą do przełożonego. Jeśli „góra” uznała, że jest to rzeczywiście konieczne dla brata i że są środki, by zaspokoić tę potrzebę, wtedy można było dokonać upragnionego zakupu. Często odchodziliśmy z niczym, ale to uczyło nas obchodzenia się bez wielu rzeczy. Historia uczy, że zaspakajanie wszystkich zachcianek (szczególnie u dzieci) rodzi wiele patologii i wzmacnia poczucie egoizmu. Nasze uzależnienie od woli przełożonego było na tyle duże, że nawet, jeśli chciałem przejechać jakąś trasę tramwajem, musiałem go prosić o bilet. Naturalnie, nie biegaliśmy z każdą potrzebą do przełożonego. Były dziedziny, w których klerycy sami dbali o swoje potrzeby, oczywiście za aprobatą „władzy”. Należały do nich: rozdawnictwo środków chemicznych i papierniczych. Jeden z braci, mający odpowiednie klucze, otrzymywał określoną kwotę pieniędzy, za które kupował pastę do zębów, proszki do prania, zeszyty i długopisy. Gdy nadchodziła właściwa pora (ustalona wcześniej przez tegoż brata), otwierał pomieszczenie zwane przez nas „Pewexem” i rozdawał według potrzeb artykuły będące w jego posiadaniu. Z bratem, odpowiedzialnym za „Pewex”, dobrze było żyć w odpowiedniej



komitywie, bo każdy wie, że nie wszystkie pasty do zębów mają ten sam smak i sposób działania, a nie wszystkie długopisy piszą tak samo.

Inną pokusą, której, niestety, ulegałem, była chęć posiadania rzeczy. Nie chodzi tu o wielkie luksusy, bo te w Zakonie były rzadkością. Ale jeśli już ktoś posiadał coś naprawdę ładnego, tam natychmiast pojawiali się inni, by z tego skorzystać. Zresztą, jak mówi Ewangelia: „*gdzie padlina, tam i sępów wiele*” (Mt 24, 28). Rodzice, jak to rodzice - zwozili niezbędne (ich zdaniem) rzeczy, co skwapliwie wykorzystywali wszyscy. Przykładowo, gdy mieszkalem z br. Krzysztofem Czeczko, otrzymał on od rodziców fantastyczną kurtkę. Nie trzeba było długo czekać, by pojawili się pierwsi „klienci”, chcący wypożyczyć kurteczkę na jeden wieczór, bo wybierają się do kina. Doszło do tego, że Krzyś musiał prowadzić zapisy, by orientować się, kto danego dnia chodzi w jego kurtce. Naturalnie, najbardziej oblegane były cele, w których mieszkali bracia, otrzymujący paczki ze słodyczami. W takich przypadkach doceniało się słowa psalmisty „O, jak dobrze i jak miło, gdy bracia mieszkają razem” (Ps 133, 1). Dla słodyczy kleryk mógł zrobić wiele. Najłatwiej było zdobyć coś słodkiego poprzez oddawanie krwi. Za jeden zabieg pobrania krwi można było dostać nawet osiem czekolad! Dlatego nie brakowało ryzykantów, chcących załapać się na nagrodę. Słyszałem nawet o jednym z braci, który - mimo panicznego strachu przed igłami - zapragnął czekoladek, więc wybrał się w towarzystwie współbrata – „starego wyjadacza”, do poradni. Pani uprzejmie zapytała go, czy są jakieś przeciwwskazania z jego strony, co do tego zabiegu. Nasz bohater energicznie zaprzeczył, widząc leżącą na wyciągnięcie ręki piramidkę czekolad. Gdy tylko

pielęgniarka wbiła mu igłę w żyłę, nasz delikwent opadł głębiej w fotel i stracił przytomność. Nie oddał ani jednej kropli krwi, ale jako rekompensatę za stres i tak dostał jedną tabliczkę czekolady...

Jedynymi przedmiotami, wyłączonymi z publicznego użycia, były grzebień, szczoteczki do zębów i bielizna. Każdy miał przydzielony numer z pralni, który obowiązywał do końca. Należało wyszyć numerki na każdej rzeczy, którą oddawało się do wspólnej pralni. Rzeczy nieoznakowane trafiały do kosza i były „do wzięcia”, a jeśli nikt się po ich odbiór nie zgłosił, oddawano je potrzebującym. Dlatego, gdy wychodziliśmy w miasto bez habitów, raczej trudno nas było rozpoznać, bo ubieraliśmy się zwykle w to, co było akurat pod ręką. Zupełnie inaczej klerycy diecezjalni. Gdyby pokusić się o porównanie z dziedziny motoryzacji, to my wyglądaliśmy jak składaki z części różnych aut, zaś seminarzyści z diecezji - jak markowe limuzyny. Zawsze pozdrawialiśmy ich na ulicy, bo wyglądali jak sklonowani: czarne spodnie, lakierki (koniecznie wypastowane na wysoki połysk), elegancka koszula (najlepiej - biała), rozpięta kurteczka w kolorze czarnym lub szarym i fryzurki, zaczesane na boczek. Do dziś, gdy przechadzam się ulicami Krakowa, uśmiecham się serdecznie na ich widok i pozdrawiam uprzejmie (to w końcu nasi przyszli biskupi).

Ale zamiast opisywać moje pokusy, rozgadałem się na temat mody zakonnej. A największą pokusą była chęć posiadania kaset magnetofonowych z ulubioną muzyką. Do czasu wstąpienia do Zakonu, nie miałem

jasno sprecyzowanego gustu muzycznego, ale gdy poznałem bliżej Piotra Jurczyka, o którym już wcześniej wspominałem, musiało to ulec zmianie. Prócz ogromnej wiedzy filozoficznej, doskonale znał się on na pewnej odmianie rocka. A jeśli mówię, że któryś z moich znajomych potrafi naprawdę pięknie mówić o muzyce, to mam na myśli właśnie Piotra. Wystarczyło popatrzeć na niego, gdy słuchał muzyki, by od razu wiedzieć, że musi być coś niesamowitego w tych rytmach. Każdego wieczoru włączał mi fragmenty nagrań ze swoich taśm, o które troszczył się jak o najcenniejsze skarby, trzymając w szufladzie biurka. Przyznaję, że i ja chciałem mieć takie muzyczne „zaplecze”, co po półtorej roku udało mi się zrealizować. Ukoronowaniem mojej muzycznej edukacji było wspólne wyjście na koncert zespołu Marillion. Tego się nie da zapomnieć, tym bardziej, że był to pierwszy koncert, na jakim w życiu byłem. Nie wiedziałem, co jest lepsze: słuchanie muzyki, czy obserwowanie „Minia”, który z zamkniętymi oczami siedział nieruchomo i delektował się każdym dźwiękiem. I mimo, że od tamtej pory wiele się zmieniło, bo i Piotr, i ja jesteśmy już poza Zakonem, to również często spotykamy się i słuchamy nadal rocka progresywnego z tym samym zaangażowaniem i skupieniem, co wtedy.

## Życzę Ci zdrowia

***„Czcij lekarza czią należną z powodu jego posług, albowiem i jego stworzył Pan” (Syr 38, 1)***

Z ciekawszych postaci życia klasztornego należy jeszcze wymienić brata odpowiedzialnego za infirmerię. Brat ten opiekował się chorymi oraz starszymi zakonnikami. Infirmeria to pomieszczenie, w którym trzyma się lekarstwa i gdzie w razie konieczności przyjmuje lekarz. Za mojej „kadencji” dwóch braci pełniło obowiązki infirmarza: Marian Michniak – obecnie kapłan prowincji asyckiej oraz Augustyn Chwałek. Każdy z nich zupełnie inny. Gdyby porównać ich do lekarstw, którymi dysponowali, to pierwszy był energicznym środkiem na pobudzenie, a drugiego trzeba było uznać za ostoję spokoju, jego obecność działała jak środek uspakajający. Łączyła ich jednak wspólna pasja – medycyna. Mieli odpowiednie predyspozycje, by pełnić swą posługę wobec chorych braci. Augustyn na przykład doskonale dozował zastrzyki, o czym miałem się wkrótce przekonać – ale o tym nieco dalej. O ile wiem, obaj wypełniali swe obowiązki doskonale, bo nigdy nie słyszałem o jakimkolwiek błędzie lekarskim z ich strony. Lecz mimo profesjonalizmu, i im zdarzały się czasem zabawne przygody. Gdy infirmerią opiekował się Marian, wiele leków przysyłano do klasztoru z Francji jako dary. Zadaniem Mariana było ich rozpoznanie, klasyfikowanie oraz ewentualne rozdzielanie. Niestety,

pewnego dnia, wraz z darami przyszła dziwna paczka. Były w niej (dziś to wiem) tampony. O ile się orientuję, to raczej nikt takich rzeczy w męskim klasztorze nie używa, a w czasach, o których mówię, w naszym kraju było to novum nawet dla kobiet. Marian długo się zastanawiał nad przeznaczeniem tych wacików. W końcu uznał, że miały służyć zapewne do tamowania krwotoków z nosa (a te zdarzały się często, bo sport był ulubioną rozrywką kleryków), jednak za żadne skarby, nie mógł zrozumieć, po co są te sznurki? W końcu postanowił zastosować się do starej sprawdzonej maksymy, która głosi, że jeżeli wszystko zawiedzie, wypada zajrzeć do instrukcji. Udał się więc do brata, który znał język francuski i chętnie mu wyjaśnił, do czego te waciki służą. Nie muszę tu mówić, że wieść o jego przygodzie obiegła lotem błyskawicy cały klasztor i przez pewien czas, ktokolwiek chciał zrobić na złość Marianowi, wspominał tę historię. Na szczęście, w konkursie poczucia humoru w skali od 1 do 10, osiągał wynik na poziomie jedenastki.

Wizyt lekarskich i sprawowania nad nami opieki medycznej podjęła się dr Danuta Tomaszewska. Ktoś dobrze to wymyślił, bo jeśli przyjąć, że w chorobie zdecydowana większość mężczyzn zachowuje się jak dzieci, to nasza pani doktor musiała radzić sobie z takimi przypadkami doskonale, ponieważ jej specjalizacją była pediatria. Przychodziła do klasztoru dwa razy w tygodniu i przyjmowała nas w infirmerii, chyba, że ktoś był obłożnie chory, wówczas udawała się do jego celi. Doktor Tomaszewska jako jedna z nielicznych osób świeckich, mogła przekroczyć granicę KLAUZURY. Podczas pierwszego roku studiów nie miałem wprawdzie wielu okazji do spotkań z panią doktor, ale zmieniło się to dwa lata później, kiedy spadło na mnie

dość sporo nieprzyjemnych doświadczeń. Czasami, gdy ktoś jest szczególnie odporny na słowo Pana, przemawia On do niego w dość niekonwencjonalny sposób. Pomysłowość Boga w tym względzie może równać się jedynie z fantastycznymi usprawiedliwieniami, wymyślanymi przez uczniów w szkole. On wie, jak dotrzeć do każdego z nas i dlatego nie ma dwóch takich samych dróg wiodących do Niego. W moim przypadku posłużył się chorobą, a raczej - chorobami. Podczas III roku studiów odbyłem ciąg bardzo przykrych rozmów z moim przełożonym, który był zdecydowany, by wywalić mnie z Zakonu. Ja zaś, z uporem muła powtarzałem, że tu jest moje miejsce i mój dom. Ech, gdybym miał wtedy odrobinę dobrej woli... Byłem tak zaciętrzewiony w swoim zdaniu, że dopiero interwencja „z góry” pomogła mi otworzyć oczy.

Pierwsze oznaki mojej choroby to nieustanne bóle brzucha. Dochodziło do tego, że nie mogłem położyć się spać, bo odruch wymiotny był tak mocny, że nie można było spokojnie leżeć. Naturalnie, zachowałem się jak prawdziwy mężczyzna i do lekarza poszedłem dopiero, gdy otrzymałem wyraźne polecenie. Pani doktor po przebadaniu wysłała mnie na konsultację do internisty. Ten wymęczył mój brzuch i postanowił zafundować mi gastroskopię. Naturalnie, nie miałem zielonego pojęcia, o jaki rodzaj badania chodzi, bo nazwa pozytywnie mi się kojarzyła z **gastro**nomią... Pocięczałem się, że może będzie w tym chodzić o spożywanie posiłków na czas lub w konkretnych ilościach. Ale, gdy zaciągnąłem języka w tej sprawie, entuzjazm wyparował ze mnie równie szybko, jak pieniądze z portfela polskiego emeryta. Poprosiłem Krzysia Czeckę, z którym wtedy mieszkaliśmy w jednej

celi, by mi towarzyszył. I dobrze, że poszedł, bo gdy zobaczyłem, jak facet w białym fartuchu niesie zwinięty długi i gruby kabel do gabinetu, przed którym czekałem, to jedynym czynnikiem, trzymającym mnie na miejscu, był szelmowski wzrok Krzysztofa, który zdawał się mówić: „I co, zwiejesz, cykorze?” Na szczęście, dosyć szybko zostałem wezwany - bo nie ma nic gorszego, jak czekanie przed gabinetem lekarskim, z czego świetnie zdają sobie sprawę ci, którzy czekali w kolejce do dentysty i słyszeli dźwięk borowania, wiedząc, że ich też to czeka... Wszedłem, po czym poproszono mnie grzecznie, acz stanowczo, bym położył się na boku. Lojalnie uprzedziłem, że mam baaaaaaardzo silny odruch wymiotny, ale mój wywód został przerwany, bo pielęgniarka wsadziła mi w zęby jakiś ochraniacz i dopadł mnie lekarz z kablem. Nie zdążyłem powiedzieć, że mam katar i ciężko mi się oddycha nosem. Mniemałem, że może być to potrzebna informacja. Nigdy nie zapomnę tego badania. Zacząłem się dusić, a lekarz tylko spokojnie polecił, abym oddychał nosem. Niestety, nie miałem możliwości wyjaśnić mu kwestię kataru. Na szczęście nie spędziłem tam wiele czasu, zaś mój pobyt w tym gabinecie tortur najlepiej podsumował lekarz, piszący opinię. Napisał, że to, co zdążył zobaczyć, nie wykazało żadnych zmian i nie wzbudzało podejrzeń o chorobę. Niestety, nie mógł zbadać zbyt wiele, ponieważ brakowało (tu cytuję:) „współpracy ze strony pacjenta”. Dowcipniś, co? Po zabiegu wyglądałem jak nietoperz po zderzeniu z lokomotywą. Gdy Krzysiu mnie zobaczył, zmienił zdanie o gastrokopii... i ja również.

Z opinią w ręce udałem się do jeszcze jednego fachowca, który stwierdził, że jestem zdrowszy od niego i że chciałby mieć takie wyniki, jak ja.

Wspaniale, tylko - dlaczego mnie bolał brzuch i po co te gastronomiczne przygody? Wtedy pojawiła się diagnoza o zespole jelita nadwrażliwego – chyba tak się to nazywa. Wiedziałem, że jestem wrażliwy, bo płakałem na „Gumi-siach”, ale żeby aż tak... Jednak to doświadczenie nie wpłynęło dość mocno na moją decyzję o pozostaniu w Zakonie. Dopiero pod koniec III roku studiów zostałem spoliczkowany przez Boga. Dosłownie...

A było to tak: pewnego wiosennego poranka udałem się na zajęcia z wychowania fizycznego – jedyne zajęcia, podczas których rozumiałem treści, przekazywane przez prowadzącego – po czym poszedłem zażywać pokrzepiającej kąpieli. Naturalnie, musiałem odczekać chwilkę w kolejce do kabiny prysznicowej. Kiedy wreszcie udało mi się wykapać, wyszedłem z nagrzanego łazienki na zimny korytarz, który właśnie w tym momencie wietrzył jeden z braci. I wtedy, stało się coś niesamowitego. Otóż poczułem, jak opada mi prawa strona twarzy. Nie mogłem w ogóle nią poruszyć... Szok! Pomyślałem, że to jakiś uboczny rezultat mojej ostatniej wizyty u dentysty. Czekałem kilka godzin, aż powróci mi czucie, ale gdy do wczesnych godzin popołudniowych nic się nie zmieniło, zadzwoniłem do pani dr Tomaszewskiej. Po krótkim i szczegółowym opisie mojego przypadku, zamilkła na moment (co odczytałem jako zły omen), po czym stwierdziła, że to najprawdopodobniej porażenie nerwu trójdzielnego, odpowiadającego za mimikę tej strony twarzy. Zabrzmiało to dla mnie zupełnie obco. Poleciła, bym udał się do neurologa – czyli „nerwowego” lekarza. Wypełniłem jej polecenie skrupulatnie



i zostałem przyjęty przez bardzo sympatyczną panią neurolog, która opukała mi ręce i nogi, obserwując, jak się odchylam i kazała mi dotykać palcem wskazującym nosa oraz chodzić w linii prostej. Wyglądało to śmiesznie, dopóki nie wyciągnęła igły lekarskiej z kieszeni i nie zaczęła mnie klóć, pytając z miłym uśmiechem, czy czuję igłę. Na szczęście, czułem wszystko i nie nadawałem się do hospitalizacji. Przepisała mi cały kontener leków i zaleciła unikanie przeciągów, a w późniejszym terminie - rehabilitację. Nasza Pani Doktor wysłuchała mojej relacji w skupieniu i zaaplikowała mi areszt w celi. Mogłem wychodzić tylko do ubikacji i na zabiegi rehabilitacyjne, poza tym - miałem przebywać wyłącznie w pokoju. Koniecznością stało się (przynajmniej na początku) noszenie opaski na oku, bo powieka opadła i nie wykazywała najmniejszej ochoty do współpracy. Najzabawniejsze w tym wszystkim było picie napojów. Musiałem odchyłać głowę do tyłu, w przeciwnym razie wszystko wyciekało mi z ust, bo nie potrafiłem ich domknąć. Gdybym miał się teraz pokusić o moją zewnętrzną charakterystykę, mogę krótko stwierdzić, że dzwonnik z Notre Damme był przy mnie przystojniakiem. Mogłem znieść wszystko, ale nie zamknięcie. Mój najdłuższy jak do tej pory pobyt w domu, związany z chorobą nie przekraczał trzech dni. Tym razem czekała mnie o wiele dłuższa „odsiadka”. W sumie spędziłem w celi 71 dni. Dziś uważam, że był to błogosławiony czas, za który Bogu niech będą dzięki! Początki jednak były trudne. Buntowałem się, miotałem i byłem przykrym towarzyszem dla innych. Wiadomo, gdy mężczyzna choruje, cały dom także jest chory, bo on wciąż zatruwa atmosferę swoim jęczeniem i marudzeniem. Moją złość pogłębił jeszcze wychowawca, który ponownie powiadomił mnie o swoich wątpliwościach co do mojej zakonnej przyszłości. Uparty, prawda? To się

nazywa zawzięcie!

Jednak im dłużej to trwało, tym lepiej znosiłem zamknięcie. Może to nawet dziwnie zabrzmiało, ale mimo przesiadywania w czterech ścianach mojej celi, czułem się coraz bardziej wolny i spokojny. Miałem wiele czasu i wykorzystywałem go na pogłębienie relacji z Jezusem. Pytałem Go, co chce mi powiedzieć, przez to doświadczenie? Pytałem i czekałem... miałem czas. Wierzyłem, że odpowie. I oto pewnego wieczoru zastukał do drzwi mojej celi jeden z braci, który działał w seminaryjnym ruchu charyzmatycznym, powszechnie znanym jako Odnowa w Duchu Świętym. Otworzył drzwi i stanął w progu, czekając na moją reakcję. On wiedział, że nigdy nie wyrażałem się pochlebnie o tym ruchu i że jego towarzystwa także wcześniej nie szukałem. Staszek Szlosek (tak się nazywa ów brat), był jednym z liderów Odnowy w naszym seminarium. Akurat tego dnia odbyłem kolejną przykrą rozmowę z przełożonym, więc przypuszczałem, że i on przyszedł z wymówkami pod moim adresem. Staszek jednak nieśmiało powiedział, że chciał przyjść już rano, ale miał opory. Od rana męczyło go przekonanie, że powinien przyjść do mnie i zaproponować mi modlitwę wstawienniczą, powszechną w tym ruchu. Początkowo myślał, że to jakieś urojenia i bagatelizował ten wewnętrzny głos. Nawet śmiał się, wiedząc, że mam tyle wspólnego z ruchem charyzmatycznym, co Jerzy Urban z kółkiem różańcowym. Ale im bardziej oddalał od siebie tę myśl, tym bardziej go męczyła. Wytrzymał do wieczora, aż w końcu skapitulował. I przyszedł. Był totalnie zaskoczony, gdy usłyszał, że

i mnie taka myśl dręczyła, tylko bałem się tego, co on sobie pomyśli, gdy poproszę go tę modlitwę. Najpierw dawałem im popalić, a teraz proszę o pomoc. Z tym większą radością przystałem na jego propozycję. Umówiliśmy się, że modlitwa ta będzie miała miejsce za kilka dni i że będą przy niej obecni tylko (albo - aż) dwaj liderzy: właśnie Staszek Szlosek i Staś Mański. Spotkaliśmy się wieczorem w Kaplicy Loretańskiej. Modlitwa trwała około dwóch godzin i była wspaniałym przeżyciem. Po jej zakończeniu odczuwałem całkowity spokój oraz przekonanie, że wszystko będzie dobrze, bo przecież oddałem wszystko to, co było dobre i złe w moim życiu Jezusowi. Jeszcze tego samego wieczoru zapukałem do drzwi celi mojego przełożonego, którego przeprosiłem za moje wcześniejsze zachowanie i poprosiłem o więcej czasu (przynajmniej o rok) na zastanowienie się nad swoim powołaniem. Bardzo ucieszył się z tej odmiany i chętnie wyraził zgodę na udzielenie mi czasu na przemyślenia. Od tej pory widziałem w nim mojego sprzymierzeńca, który ponad wszelkie uprzedzenia pragnie dla mnie jak najlepiej. Rozpoczęła się również nowa karta w moim życiu, która zadecydowała o tym, kim jestem obecnie.

Dzięki nadzwyczajnej trosce dr Tomaszewskiej, która pomogła mi we wszystkim (nawet przy znalezieniu odpowiednich rehabilitantów), z każdym dniem mój stan się poprawiał. Pozostał pewien niedowład w tej części twarzy, ale dziś przypomina on tylko ów szczególny czas łaski, jaki został mi dany. Pamiętnych 71 dni nie wspominam już jako aresztu, ale raczej uważam je za owocne rekolekcje.

Na zakończenie tej części mojej opowieści może opowiem coś zabawnego. Nasz przełożony, o. Jacek, był zawsze okazem zdrowia, ale nawet

takiego twardziela czasami dopadnie jakieś choróbsko. Razu pewnego złapał paskudne przeziębienie. Dzielnie to znosił i - jak każdy mężczyzna - próbował wykorzystać wszelkie możliwości terapii, nim udał się do lekarza. Najpierw próbował „zbić” sporą gorączkę, a - jak każdy wie - najlepsze na to są ziółka z lipy. Pojawił się jednak pewien problem: nie posiadał w celi czajnika, by zagotować wodę i zaparzyć to zielsko. Udał się więc po pomoc do człowieka, który taki luksus posiadał. I – oczywiście – celę z owym „arystokratą”, dzieliłem ja. Mieszkałem bowiem wtedy z Krzysiem Czecko, któremu rodzice przywieźli elegancki czajnik. Tego wieczoru Krzysztofa nie było w celi i odwiedził mnie br. Marek Kowalski „Smith”. Był to czas wieczornej rekreacji i popijaliśmy herbatkę, słuchając radia. Tak zastał nas spocony i wycieńczony gorączką br. Jacek, który - trzymając słoik w ręku – zapytał, czy może zalać sobie ziółka z lipy. Oczywiście, poruszeni jego widokiem i pobudzeni chrześcijańskim miłosierdziem, natychmiast zagotowaliśmy wodę i zaparzyliśmy lipę. Podziękował tak uprzejmie, jak może to uczynić człowiek z gorączką, dochodzącą do 40<sup>0</sup> C i wyszedł, by „wypocić” się w łóżku. I wszystko skończyłoby się dobrze, gdyby nie pewien szczegół w postaci włoskiej muzyki. Marek i ja uwielbialiśmy ze sobą gadać, bo w dużym stopniu zgadzaliśmy się pod względem gustów. Dotyczyło to samochodów, wizji nieba i ideału urody kobiecej. Nawet nie zauważyliśmy, jak minęła pierwsza, druga... a potem i czwarta godzina rozmowy. Właśnie byliśmy na etapie zajadania czekolady, należącej do Krzysia, gdy w radiu zabrzmiała znana włoska melodia. Marek był niewątpliwym specjalistą w dziedzinie muzyki, ten kawałek jednak znałem

i ja. Ale kto to śpiewa? Po prostu nazwisko piosenkarza „wypadło” nam z głowy i usilnie próbowaliśmy sobie przypomnieć, czyj to utwór? Każdy chyba przeżył taką sytuację, kiedy ma coś „na końcu języka”, że próbuje to sobie przypomnieć, mówiąc głośno, by łatwiej się skupić. Tak też wyglądała nasza rozmowa, a gdy po dłuższej chwili doznaliśmy olśnienia, niemal równocześnie wykrzyknęliśmy:

- Drupi!!!

W tym momencie usłyszeliśmy pukanie do drzwi. Rozbawieni do granic możliwości i upojeni własną inteligencją zawołaliśmy:

- Proszę!

W drzwiach stał zlany potem o. Jacek. Miał rozmyty wzrok, ale - mimo tego - jego mina nie nastrojała optymistycznie. Wyglądał jak upiór, choć nie miał na sobie białego prześcieradła. Pomyślałem, że potrzebuje kolejnej dawki ziół, więc zapytałem życzliwie i z uśmiechem:

- Co, bracie, zaparzamy ziółka?

Gdy to usłyszał, pobladł jeszcze bardziej, oparł się o framugę drzwi i próbował pozbierać myśli. Wyglądał, jakby usiłował pojąć, kto tu z kogo robi idiotę. Popatrzył na zegarek, następnie na nas, po czym powtórzył ten gest. Wtedy zrozumieliśmy. Spojrzeliśmy z Markiem na zegarek i nie znaleźliśmy wskazówek w oczekiwanej przez nas pozycji. Minęła już dawno godzina jedenasta w nocy i od ponad dwóch godzin w całym klasztorze panowała cisza nocna. Nasz wychowawca nie miał nawet sił, by wlepić nam „kulpę” za jej zakłócanie, tylko obrócił się na pięcie i powlókł się do swojej celi. Zostaliśmy sami i nie wiedzieliśmy, czy mamy się śmiać, czy płakać. I tylko jedno pytanie pozostało bez odpowiedzi:

Gdzie w takim razie bawił się Krzysztof?

## Goście i w gościnie

***„Kto was przyjmuje, Mnie przyjmuje; a kto Mnie przyjmuje, przyjmuje  
Tego, który Mnie posłał” (Mt 10, 40)***

Nieco wcześniej wspomniałem już w kilku słowach o klauzurze. Jest to kolejne słowo, należące do zakonnego słownika. Tam, gdzie umieszczono napis: KLAUZURA, nie powinny wchodzić osoby świeckie, o ile nie mają specjalnego pozwolenia przełożonych klasztoru. Klauzura to teren prywatny zakonników i zakonnice, którego raczej nie powinno się naruszać. Każdy człowiek posiada chociażby odrobinę prywatności i osoby poświęcone Bogu nie stanowią tu wyjątku. Klauzura nie obowiązywała lekarzy i - raz w roku - rodziców zakonnika. Są jeszcze wyjątki dla rodziny i gości z okazji składania ślubów wieczystych oraz święceń kapłańskich. Raz w roku odbywał się zjazd rodziców braci z każdego rocznika.



Niektórzy z tej okazji sprząтали pokoje, by pokazać się z jak najlepszej strony. Lecz rodziców wcale nie tak łatwo było oszukać...

Nigdy nie zapomnę wspianej atmosfery tych spotkań. Tworzyliśmy jedną rodzinę. Wszyscy ojcowie i wszystkie mamy stawali się rodzicami każdego z braci. Nikt z nas nie mówił do czyjejś mamy: „proszę pani”. To była po prostu mama i każdy tak się do niej zwracał. Sprawdziły się słowa Jezusa: **„Każdy, kto dla mego imienia opuści dom, braci lub siostry, ojca lub matkę, dzieci lub pole, stokroć tyle otrzyma i życie wieczne odziedziczy”** (Mt 19, 29).



Nawet dziś bracia, którzy zostali w zakonie, wiedzą, że drzwi w domu moim i moich rodziców są dla nich zawsze otwarte. Rodzice zwykle przyjeżdżali na weekend, dzięki czemu mieli okazję zobaczyć, jak wygląda nasz styl życia. W programie przewidziana była konferencja, którą zwykle wygłaszał dla nich przełożony, potem mogli z nim także porozmawiać indywidualnie (taka „zakonna wywiadówka”). W te dni wspólnie spożywaliśmy posiłki, często bracia przygotowywali też krótki program rozrywkowy. Oto nieudolna próbka mojej twórczości poetyckiej, „popelniona” z okazji przyjazdu rodziców:



Na jakie drogi, proste lub też kręte,  
wkroczyły dzieci wasze, do czego są wciągnięte?  
Dlaczego to bractwo jest dzisiaj tak wzięte?  
O cóż im chodzi, jakie mają cele?

Otóż spostrzec ich łatwo z racji ich ubioru.  
Habit brązowy o tandetnym kroju,  
kaptur szpiczasty – to dodatek stroju.  
Chodzą i żebrzą: dobra i pokoju!

Śliczne ich gęby, ciągle zarośnięte,  
od kilku wieków to trofeum wzięte.  
Pełne kroniki w postaci święte,  
składają historii swe wizyty częste.

Do Polski przybyli ze trzysta lat temu,  
a zawdzięczają to Sobieskiemu.  
Od tego momentu nie ma już spokoju,  
więc strzeżcie się ludzi tego pokroju.

W modlitwie wyniki mają znakomite,  
prace ich przynoszą owoce obfite,  
średnie w nauce mają już pobite,  
a inne braki zostały ukryte.

Są tu wszak ludzie różnego pokroju:  
Mamy więc takich, co słyną z uporu,  
niektórzy w Zakonie szukają spokoju,  
nie brak też ludzi z poczuciem humoru.

Widać tu twarze chude i pyzate,  
śliczne, paskudne, stare i smarkate.  
Charakterki niektórych rozsadzają chatę,  
innych trzeba pobudzać do reakcji batem.

Różna to rodzinka niczym skład bigosu,  
żyjąc w relacjach ładu i chaosu,  
dążą wszak wszyscy do jednego celu -  
do wspólnoty w niebie, gdzie mieszkańców wielu.

Bądźcie więc spokojni o dzieciaki wasze,  
Opatrzność ma w opiece życie ich i wasze.  
Oni zaś się modlą wczoraj, dziś i zawsze,  
by tak wynagrodzić wszystkie trudy wasze.

Jednak największą nawałnicę gości klasztor przeżywa podczas uroczystości święceń kapłańskich. Dla każdego z diakonów przygotowywano „imprezę” w osobnej sali, a klerycy z młodszych roczników pomagali w jej

organizowaniu. Układali stoły, dekorowali sale, usługiwali do stołu i zabawiali gości. Im bardziej jakiś kleryk był obrotny i dowcipny, tym szybciej otrzymywał zaproszenie na taką uroczystość. Robiono nawet czasami rezerwacje na kilka kolejnych lat. Pochwalę się, że już na samym początku pobytu w seminarium, otrzymałem zaproszenie od brata z trzeciego roku.

Był to wspaniały czas, tym bardziej, że po święceniach kapłańskich klerycy wraz z neoprezbiterem wyjeżdżali do jego rodzinnej miejscowości i tam brali udział we Mszy Prymicyjnej oraz kolejnej „imprezie”. Nie każdy z gości wiedział, jak należy się zachowywać na takiej uroczystości, więc to klerycy byli wodzirejami, „zabawiaczami”, a czasem nawet pełnili funkcję orkiestry. Święcenia kapłańskie to wielki zaszczyt i radość dla braci, ale większość naszego społeczeństwa ma fałszywe wyobrażenie o zakonnikach, karmiąc się bajkami rodem z fałszywej historii średniowiecza lub współczesnych mitomanów, piszących dla pism w stylu tygodnika „Nie” czy „Faktów i mitów”...

Przez klasztor więc bezustannie przewijali się jacyś goście. Naturalnie, w niektóre dni przybywało ich szczególnie wielu. Rekordy pod względem liczby gości zwykle pa-



dały w weekendy. Zaryzykowałbym nawet stwierdzenie, że na palcach jednej ręki mogę zliczyć soboty i niedziele, pod-czas których nikt mnie nie odwiedzał. W Krakowie bardzo szybko zawierało się znajomości i miało to natychmiastowe przełożenie, na wzmożone odwiedziny. Niektórzy (jak Ania Wilkońska, zwana „Kruszynką”, moja najlepsza przyjaciółka wśród kobiet), składali systematyczne wizyty. Ania przychodziła zawsze w niedzielę po obiedzie. Ja „stawiałem” herbatę, Ania – ciasto, po czym długo gawędziliśmy na rozmaite tematy... I jak tu nie lubić wizyt?!

Bracia z mojego rocznika raczej nie odwiedzali jednak ludzi świeckich w ich domach – naturalnie, za wyjątkiem wizyt duszpasterskich w okresie Bożego Narodzenia. Nie tylko przełożeni nie zezwalali na taki proceder, ale i my sami zdawaliśmy sobie doskonale sprawę z tego, że mogłoby to mieć raczej negatywne skutki. Po co narażać się na jakiegokolwiek pokusy, czy wystawiać się i innych na próbę? Do dziś nie pochwalam „uciekania” z plebanii lub klasztoru osób duchownych do domów osób świeckich. Nie chcę przeciwstawiać się zasadzie gościnności, znam jednak braci, którzy pod szyldem działalności duszpasterskiej byli gotowi na wszystko, byle tylko opóźnić swój powrót do klasztoru. Nie uważali tego miejsca za swój dom, a przez to mogli być – jeśli nawet nie niebezpieczni, to z pewnością – szkodliwi nie tylko dla siebie samych, ale też dla osób, u których znajdowali „azyl”. Klasztor dla zakonnika musi stać się domem do tego stopnia, by w momencie składania u kogoś wizyty, myślał i tęsknił za „własnymi kątami”. Zakonnika,

który nie kocha klasztoru jak domu, można porównać do małżonka, który unika powrotów do domu, bo dawno już jego żona stała się dla niego mało atrakcyjna i obca. Fakt, że placówki, w której będzie pracował dany brat nie wybiera on sam, lecz przełożeni, nie usprawiedliwia tego, by szukać sobie „gniazdka” w mieście. Najgorsze jest to, że taka ucieczka odbywa się najczęściej kosztem osób świeckich. Przyznaję, że przez cały czas mojej przygody z zakonem, odwiedzałem tylko dom naszej pani doktor. I nawet, kiedy czułem, że powinienem opuścić Zakon, nie próbowałem uciekać do domów moich znajomych. Klasztor to dom, a Wspólnota jest rodziną. Są rodziny, które mogą być podane za wzór i są takie, które nazywamy patologicznymi. Ksiądz czy zakonnik, który u świeckich znajomych obmawia swój dom, tworzy tę drugą sytuację.

Jednak, by do końca być sprawiedliwym, muszę przyznać, że i świeccy nie są tu bez winy. Wielu z nich z poczucia swoistego „snobizmu” zaprasza zakonników do swych domów, by pokazać sąsiadom, jak „oryginalnych” znajomych posiadają. Wiem, co mówię, bo doświadczyłem tego w rodzinnej miejscowości. Takich ludzi bardzo łatwo rozpoznać. Objawem tego zjawiska był syndrom „białej owcy w czarnym stadzie”. Ujawnia się on podczas rozmowy z gospodarzami, gdy wypowiadają oni zdanie w rodzaju: „wiesz, z tobą się tak dobrze rozmawia, a nie tak jak z naszymi księżmi, którzy są do niczego”. I oto nagle brat dowiaduje się, że wszyscy duchowni są źli, on zaś stanowi ostoję normalności i wiarygodności. W takiej sytuacji lepiej uciekać, bo dziś obgadują kogoś, jutro ja będę tematem plotek...

Mnogości odwiedzających klasztor doświadczaliśmy szczególnie podczas wakacji, gdy pomagaliśmy przy dyżurowaniu w furcie klasztornej. Bywały dni, kiedy nie można było zjeść do końca posiłku. Najczęściej ludzie odwiedzali nas w celu zakupu zakonnego specyfiku, zwanego dla zmyłki „Balsamem kapucyńskim”, który ratował mnie nieraz z opresji w najróżniejszych sytuacjach. Receptura owego specyfiku jest pilnie strzeżona, ale działanie - rewelacyjne. Balsam pomaga w leczeniu skaleczeń, ale nadaje się także „do użytku wewnętrznego”, np. przy zatruciach. Po szczegółowe informacje odsyłam do najbliższego klasztoru Braci Mniejszych Kapucynów.

Oprócz kupujących balsam pojawiało się bardzo wielu potrzebujących, których przybywa w zastraszającym tempie, bo i ubóstwo społeczeństwa jest coraz większe. Bracia dzielą się z nimi tym, co sami posiadają.

Ale i na nich nie kończyła się „klientela” klasztoru... Wielu jest takich, którzy są chorzy na duchu. Bracia, którzy dostąpili łaski przystąpienia do sakramentu kapłaństwa, pełnią dyżur spowiedniczy. Najbardziej znanym z obecnych spowiedników jest niewątpliwie o. Romuald Szczałba. Mimo, że liczy całkiem sporo latek (wg moich danych urodził się w 1915 roku), nadal jako pierwszy wchodzi do konfesjonału i ostatni z niego wychodzi. Ponadto, pełni całodzienny dyżur spowiedniczy dla duchownych z miasta. O. Romuald to przykład zakonnika „starej daty”. Mówię – „starej”, choć jest on bardziej

spontaniczny i radosny, niż większość kleryków. Podczas kilkuletniego pobytu w Krakowie, nigdy nie widziałem go zdenerwowanego, opryskliwego, czy mówiącego coś złego o drugim człowieku. Do każdego zwraca się w sposób rozbrajający, mówiąc: „Dziecko kochane!”. Zawsze się uśmiecha, często żartuje. Mimo swego wieku, wciąż wykazuje ogromne zainteresowanie wszelkimi nowinkami technicznymi. Na pewno ma największe wśród braci pojęcie o obsłudze komputera. Nigdy nie zapomnę, jak pewnego dnia po obiedzie wziął mnie pod rękę i chciał, abym go zaprowadził na I piętro, gdzie mieści się salka rekreacyjna dla braci wieczystych. Potrzebował pomocy w chodzeniu. Gdy wdrapaliśmy się na piętro, był już zmęczony, ale zauważył przez okno, że na dachu jednego ze stojących pod klasztorem samochodów zamontowany został dodatkowy bagażnik. Zatrzymał się i zapytał mnie, co to takiego. Odparłem, że to specjalny, dodatkowy bagażnik, a o. Romuald z miejsca poprosił, abym zaprowadził go na parking, bo chciał zobaczyć „to” z bliska. Więc ponownie zeszliśmy na parter i wyszliśmy na parking. Musiałem następnie wytłumaczyć mu, jak się montuje taki bagażnik i w jaki sposób się go używa. Dopiero, gdy uzyskał wszystkie interesujące go informacje, mruknął z zadowolenia pod nosem: „no, czego to ludzie nie wymyślą” i pozwolił się odprowadzić do salki rekreacyjnej.

## W podróży

***„Idźcie na cały świat i głoscie Ewangelię wszelkiemu stworzeniu!”***

***(Mk 16, 15)***

Wcześniej wspomniałem, że klerycy byli podzieleni na tzw. fraterki. Na czele każdej fraterki stał jeden z braci ze starszych roczników. Każdy mógł się dopisać do jego fraterki (jeśli było wolne miejsce) i w ten sposób uczestniczyć w życiu braterskim. Cel istnienia takiej grupy był jasny: wśród ponad stu osób bardzo łatwo czuć się wyalienowanym. Tak więc, całą Wspólnotę podzielono na mniejsze, by bracia mogli łatwiej się zintegrować. Ten system przypominał trochę podział na klasy w szkołach czy grupy w uczelniach wyższych.

Na pierwszym roku zapisałem się do fraterki br. Pawła Lasockiego. Brat ten z pewnością nie zaliczał się do grona najbardziej statecznych czy przewidywalnych. Miał szalone pomysły i nietypowe (jak na zakonnika) zamiłowania. Dbał szczególnie o swoją garderobę. Miał dwa habity i mundury wojskowe różnych krajów, poczynając od galowych, kończąc zaś na polowych. Skarpetki zresztą również kupował wojskowe! Zawsze pod habitem nosił jakiś mundur. W zimie, zamiast czapki, ubierał hełmofon czołgisty. Chyba nie przesadzę, mówiąc, że był to dosyć oryginalny zakonnik.



Jednym z nielicznych plusów istnienia fraterek, była możliwość wyjazdów na tzw. „jednodniówki”. Jak zdefiniować ten termin? „Jednodniówka” to możliwość wyjazdu poza miasto na cały dzień.



Wyjechać można było w dowolnym kierunku, jednak bez pieniędzy, co ograniczało możliwość transportu do rowerów lub autostopu. Bracia korzystali z tego prawa bardzo chętnie i najczęstszym kierunkiem, który obierali na jednodniowe wypady, było południe – wyjeżdżali bowiem w góry. Podczas naszych wypraw, poznawaliśmy się lepiej, a - co najważniejsze - mogliśmy odpocząć od gwaru wielkiego miasta. I mimo, że wydaje się to absurdalne, nawet tak wspaniałe miasto, jak Kraków, potrafi zmęczyć.

Był jeszcze jeden plus tych wyjazdów, związany z naszym zakonnym charyzmatem. Franciszkanie - za wzorem swego założyciela - mają wielkie upodobanie do przebywania na łonie natury. Gdy wyjeżdżaliśmy z Krakowa, mogliśmy dać ujście tej pasji.

Będąc w Zakonie, bardzo często korzystałem z autostopu jako głównego środka transportu. Działo się tak dlatego, że na swoje podróże nie otrzymywaliśmy pieniędzy. Wszystko zaś zaczęło się od wesela. Do Zakonu można wstąpić, ale można również i z niego wystąpić. Robert, pochodzący z Gdańska, zrezygnował z życia zakonnego już na samym początku. Po jakimś czasie zapragnął stanąć na ślubnym kobiercu ze swą wspaniałą narzeczoną. Pragnął również, by w tej radości uczestniczyli jego przyjaciele

z Zakonu. Wysłał nam zaproszenie i przełożony zezwolił na wyjazd honorowej reprezentacji, w której skład weszli bracia Rafał, Cezary, pochodzący z Gdańska, Adam i ja. Niestety, pojawiły się problemy ze zdobyciem gotówki, koniecznej na opłacenie podróży. Postanowiliśmy pojechać autostopem. Podzieliliśmy się na dwie grupy i wyruszyliśmy w trasę. Rafał pojechał z Cezarym, a ja z Adamem „Zielonym”. Drużyna Rafała wyruszyła pierwsza i już na starcie zyskała przewagę, zatrzymując wspaniałego mercedesa. My zabraliśmy się czeskim cudem motoryzacyjnym – Škodą, którą prowadził sympatyczny były kolarz. Zabawiał nas historiami, związanymi z kolarstwem szosowym i tak dojechaliśmy do Częstochowy. Po drodze, w Olkusz, wyprzedziliśmy pierwszą dwójkę. Oni zaś dogonili nas w Częstochowie, a później aż do Gdańska więcej się nie spotkaliśmy. Ważne, że przed wyjazdem poczyniliśmy zakład o to, kto pierwszy dotrze do celu. Metę stanowił dom rodzinny Cezarego. Na nieszczęście dla naszych konkurentów, popełnili oni błąd, którego nie zdołali naprawić aż do mety. Postanowili mianowicie, przejechać przez Warszawę, którą my planowaliśmy ominąć. I, pomimo okrężnej drogi przez lasy i pola, przemierzaliśmy ją w błyskawicznym tempie, siedząc na tylnym siedzeniu Opla, należącego do pewnego Cygana. Podczas jazdy rozmawiał on ze swoim kolegą w języku dla nas niezrozumiałym i tylko czasami, od niechcienia, spoglądał na drogę. Na szczęście, ruch był minimalny i już po kilkunastu minutach szaleńczej jazdy powróciliśmy na główną trasę, wiodącą do Gdańska. Wkrótce zatrzymaliśmy kolejny samochód i z prędkością ponad 200 km/h dojechaliśmy do celu. To była jazda!

Jednak na tym atrakcje się nie skończyły. Gdy dotarliśmy do Gdańska, musieliśmy odnaleźć dom rodzinny Czarka. Zналиśmy adres, otrzymaliśmy również istotną wskazówkę, że jadąc autobusem konkretnej linii, będziemy mijali „różowy dom kultury” i na pierwszym przystanku po jego minięciu powinniśmy wysiąść. Nic prostszego: wsiadamy do autobusu, rozglądamy się w obie strony, widzimy punkt orientacyjny i już. Autobus znaleźliśmy bez problemu i ze zdwojoną czujnością rozpoczęliśmy poszukiwania różowego budynku. Jednak siedzący obok mężczyzna przyglądał nam się bardzo uważnie. Przyznam, że raczej nie przepadam za takimi sytuacjami. W pewnym momencie wstał i zapytał: „Czy bracia są z Krakowa?”. Nie ma się czego wstydzic, więc grzecznie odpowiedziałem, że tak. Nasz rozmówca zamyślił się na moment i zapytał, czy jesteśmy Kapucynami? Mieliśmy na sobie habity, więc pozostało nam tylko przytaknąć. Kolejne pytanie całkiem zbiło nas z tropu, bo brzmiało: „Czy znają bracia Cezarego?” Tego było dla mnie za wiele, jednak „Zielony” ponownie potwierdził. Wtedy stało się coś, co nas całkiem zaskoczyło. Ów natarczywy jegomość wyciągnął rękę i powiedział, że jest... ojcem Czarka! Bardzo nas ta wiadomość ucieszyła, bo nie musieliśmy już martwić się poszukiwaniem różowego domu kultury. Kiedy zresztą powiedzieliśmy, jakiego punktu orientacyjnego mieliśmy poszukiwać, roześmiał się i pokazał nam wkrótce domek, wielkości zadaszzenia przystanku PKS w Ustroniu Zapomnianym, który z pewnością byśmy przeoczyli. Jakby tego było mało, wskazał prawie równocześnie na nowy kościół ogromnych rozmiarów, który wypełnił cały widok z okna autobusu. W tym momencie pomyślałem, że ktoś chciał, abyśmy punktu orientacyjnego nie dostrzegli – czyżby nieczysta gra? Mama Cezarego, przyjęła nas bardzo serdecznie i nie minęło nawet pięć

minut, kiedy do drzwi zastukali Cezary i Rafał. To jednak nie miało już wpływu na wynik zawodów. Byliśmy mistrzami!

Nie ukrywam, że pobyt w Gdańsku był wspaniałym doznaniem. Od lat interesowałem się tematyką marynistyczną i świadomość, że w zasięgu wzroku jest tak wiele statków i okrętów, czyniła mnie szczęśliwym człowiekiem. Oprócz udziału we wspaniałej uroczystości weselnej naszych przyjaciół, pojechaliśmy nad otwarte morze, do Władysławowa. Idąc w kierunku plaży, przechodziliśmy obok portu rybackiego, w którym dostrzegłem kuter rakietowy. Obchodzono akurat Dni Morza i można było zwiedzić ten okręt. Statek ów jest pamiątką jeszcze z czasów ZSRR, ale dla mnie był wówczas niemal ósmym cudem świata – pierwszy okręt wojenny, jaki w życiu zobaczyłem z bliska. Bracia zgodzili się również wejść na pokład i zwiedzić ową jednostkę. Wzbudzaliśmy ogromne zainteresowanie, tak turystów, jak i marynarzy. Od razu podszedł do nas jeden z oficerów i zaprosił na herbatę. Gadaliśmy chyba przez godzinę, nim dyskretnie opuściliśmy okręt, robiąc miejsce VIP-om z miasta, z ówczesnym burmistrzem na czele.

Nasz powrót do Krakowa był już prawdziwym luksusem, bo rodzice Cezarego zafundowali nam podróż pociągiem Intercity. Było nam wygodnie, szybko i z bufetem pod ręką – czegoż więcej może chcieć kleryk I roku?

Od tamtej pory autostop stał się dla mnie zwykłym sposobem podróżowania. W związku z tym, przeżyłem wiele ciekawych przygód, choć

nie wszystkie mogę zaliczyć do najprzyjemniejszych. Bardzo szybko musiałem nauczyć się „strategii autostopowicza”; gdzie najlepiej zatrzymywać samochody, jak rozmawiać z kierowcami itp. Wkrótce zdobyłem tak wiele doświadczenia, że mógłbym napisać podręcznik dla innych podróżnych. Miałem jednak pewną sporą przewagę nad innymi autostopowiczami - mój habit. Dziś bowiem bardzo trudno o zaufanie do drugiego człowieka, co automatycznie ma wpływ na ilość kierowców, skłonnych do zabrania autostopowicza. Jednak habit często przekonywał również najbardziej nieufnych. Raz tylko, podróżując do Częstochowy, zatrzymałem kierowcę Poloneza, który nie otworzył mi drzwi, dopóki nie udowodniłem, że jestem zakonikiem. Pokazałem mu przez zamknięte okno samochodu legitymację klerycką. Dopiero wtedy mi uwierzył. Może brzmi to absurdalnie, ale jednak mu się nie dziwię. Opowiedział mi bowiem historię, której głównym bohaterem był pewien żołnierz lub jakiś przebieraniec w mundurze. Wydarzenie to miało miejsce zaledwie tydzień przed naszym spotkaniem. Mój dobrodziej miał w zwyczaju zabierać żołnierzy-autostopowiczów, bo, gdy sam służył w wojsku, często podróżował w ten sposób dla zaoszczędzenia żołdu. Kiedy więc wracał do domu, zobaczył stojącego i oczekującego na „okazję” żołnierza. Spostrzegł go w ostatniej chwili i nie zdążył zatrzymać się tuż obok niego, lecz przejechał jeszcze parę metrów, nim samochód się zatrzymał. I to go chyba uratowało. We wstecznym lusterku zobaczył, że żołnierz ten właśnie sięgał do kabury. Żołnierze na przepustce nie mają prawa zabierać ze sobą broni, więc mój towarzysz podróży błyskawicznie wcisnął pedał gazu. Zobaczył tylko, jak tamten wyciąga pistolet i strzela w jego kierunku – na szczęście, chybiając. Po takim doświadczeniu nie dziwię się, że nie ufał ludziom

w mundurach, nie wyłączając „mundurów armii Pana” - sutann i habitów...

Przeżyłem też inną przygodę, z udziałem przedstawicieli jednej z grup przestępczości zorganizowanej, potocznie zwanej mafią, która istnieje, choć nasze władze zaprzeczają temu na każdym kroku. Zawsze bawią mnie pomysły prawników, pracujących dla przedstawicieli władz. Są to specjaliści w zmienianiu nazw rzeczy, które są nie na rękę ich mocodawcom. I tak, mafia nie istnieje, ale mamy do czynienia ze zorganizowaną grupą przestępczą. Jeśli zwykły człowiek wręcza komuś kopertę by „załatwić” coś w urzędzie, nazywamy to łapówką, ale jeśli „smarującym” petentem jest osoba z wyższej warstwy społecznej, tę samą czynność nazywamy „płatną protekcją”. Jeśli, prowadząc samochód po spożyciu alkoholu, potrączę pieszego, to mówi się, że prowadziłem po pijanemu, zaś gdy to samo uczyni ktoś z „kasty wyższej”, mówi się o „pomrocności jasnej”. Po prostu - kocham ten kraj!!! W tym przypadku jednak, wbrew woli Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji, pozostanę przy określeniu „mafia”. Lecz, dla dobra świadków, w mojej opowieści zdecydowałem się zmienić nazwy miast.

Pewnego dnia (było to lato 1994 r.) wracałem z Łodzi do Krakowa. Upał bardzo dawał mi się we znaki i - nie wiedzieć, czemu – przed dłuższy czas nikt nie chciał mnie podwieźć w kierunku Krakowa. Mimo, że stałem w idealnym miejscu, każdy pędził przed siebie, nawet na mnie nie reagując. I już miałem zakasać habit, by wystawić moje kolano „na wabia”, gdy

zatrzymał się obok mnie piękny, czarny samochód marki Audi. Otworzyłem drzwi i zapytałem kierowcy, czy jedzie w kierunku Krakowa? Odpowiedzi twierdzącej udzielił mi pasażer, siedzący obok szofera. Ucieszyłem się tym bardziej, że z wnętrza bił kuszący chłód klimatyzacji, co skutecznie stępiło moją spostrzegawczość. Gdy jednak wsiadłem do środka, dwie rzeczy równocześnie zwróciły moją uwagę. Dźwięk zamykanej blokady drzwi i sporych rozmiarów postrzępiony kij, używany przez graczy znanej amerykańskiej dyscypliny sportowej. Wtedy uważniej przyjrzałem się dwóm mężczyznom, siedzącym na przednich siedzeniach. Kierowca wprawdzie niczym się nie wyróżniał, natomiast pasażer był mojego wzrostu, z bardzo krótko przyciętymi włosami, miał na sobie zaś koszulkę w białe i niebieskie paski, z małą kieszonką na piersiach. Początkowo żaden z nich nie zwracał na mnie szczególnej uwagi, sam zaś bynajmniej o to nie zabiegałem. Wiedziałem, że jadę z raczej niezwykłymi podróżnymi. Wypadało jednak coś powiedzieć. Na szczęście, pasażer odwrócił się do mnie i powiedział, jak ma na imię. Poinformował mnie jednocześnie, że jest wprawdzie pod wpływem alkoholu, ale chciał w ten sposób uczcić wyjście z więzienia. Robiło się coraz ciekawiej! Wypadało jakoś zareagować na to wyznanie, więc zapytałem, ile siedział, skoro tak cieszy się z wyjścia? Powiedział, że przebywał za kratkami sześć lat. Nie byłem orłem w dziedzinie prawa (choć miałem później uczestniczyć w zajęciach z zakresu Prawa Kanonicznego) i nie miałem pojęcia, za co można dostać tyle lat odsiadki. Uczono mnie zawsze, że jeśli czegoś nie wiesz, najlepiej zapytać. Zebrałem się w sobie i powiedziałem:

- Słyszałem, że za podrabianie podpisów jest piątka, a za co dają szóstkę?

Opowiedział historię, jak kiedyś bawił ze swymi kumplami w kawiarni, a jakiś gość rzucił się na niego z nożem. Musiał się przecież bronić, więc - zastrzelił gościa. Niestety, sędzia nie przyjął do wiadomości jego wyjaśnień i stwierdził przekroczenie granic obrony koniecznej. W efekcie dostał sześć lat „paki”. Przyznać muszę, że takiej historii się nie spodziewałem. Musiałem przetrwać te informacje, więc na moment zmieniłem temat i zapytałem o kij, leżący pod moimi nogami. Bez skrępowania odpowiedział, że to narzędzie pracy, ponieważ jego ludzie zajmują się „ściągnięciem należności i zaciągniętych u kogoś kredytów”. Z rozbijającą szczerością przyznał, że przez cały czas pobytu w więzieniu prowadził interes i dlatego teraz żyje na przyzwoitym poziomie, ma kasę, dom z basenem i samochód ze wzmocnionymi drzwiami i szybami – bo kilkakrotnie już do niego kiedyś strzelano.

Jasne! Brakowało mi tylko tego, by ktoś do mnie strzelał. Rozumiem, zostać męczennikiem za wiarę, ale śmierć w porachunkach mafijnych to chyba lekka przesada. Już widzę nagłówki w gazetach w stylu: „Kapucyńska mafia” albo „Zamachowcy w habitach”. Za coś takiego na pewno by mnie wykreślili z listy kapucynów, choćby pośmiertnie. Gdy tak rozmyślałem, mój towarzysz podróży opowiedział mi więcej o działalności swojej „firmy”.

- Jeśli pożyczysz komuś pieniądze...
- Ale ja nie mam pieniędzy – pospieszyłem z wyjaśnieniem.
- Nie przerywaj, kiedy mówię – warknął mój nowy „znajomy” i udzielił tzw. „nagany wzrokowej”, po czym spokojnie kontynuował – założmy, że miałbyś i komuś byś pożyczył (naturalnie na procent), a ten ktoś po



upływie określonego terminu nie oddaje ani kasy, ani odsetek. Wtedy dzwoni do mnie i za drobną opłatą znajdujemy gościa i odzyskujemy pieniądze. Proste, co?

- A jeśli ten ktoś twierdzi, że nie ma takiej kwoty? – zapytałem naiwnie.
- Musi znaleźć – usłyszałem krótką i wyczerpującą odpowiedź, po czym zobaczyłem, jak usta mego rozmówcy wykrzywiają się w złowrogim uśmiešku.

Nie wiem, czy to była wina klimatyzacji, ale momentalnie poczułem przejmujące zimno. Na szczęście, szybko zbliżyliśmy się do miasta, w którym mieszkał szef firmy ochroniarskiej – pod taką etykietką działała jego grupa. Nagle usłyszałem zaskakującą propozycję:

- Może wpadniesz do mnie, poznasz rodzinę, odpoczniesz, wykąpiesz się w basenie? Fajnie się z Tobą gada i mimo, że nie lubię takich jak Ty, zrobię wyjątek.

Przyznaję, że miałem ochotę zobaczyć, jak żyją tacy, jak on. Oczywiście wyobraźni widziałem, jak wszyscy całują go w pierścion, jak siada w przyciemnionym pokoju, z ustawioną na biurku lampą, która oświetlała tylko twarze interesantów. Ach, te filmy... Jednak zupełnie inna wizja szybko przywróciła mnie rzeczywistości. Wyobraziłem sobie mianowicie, że jego dom jest pod obserwacją policji, która utrwała na zdjęciach poczynania domowników i gości tego domu. Wracam do Krakowa, a na biurku mojego przełożonego już leży przesłana z komendy koperta, zawierająca zdjęcia jego współbrata i podopiecznego, który nurkuje w basenie i zajada kiełbaski z różną w domu szefa mafii. Poprosiłem więc o wysadzenie mnie gdziekolwiek na drodze. Ale tak się nie załatwia sprawy z ludźmi jego pokroju. Powiedział, że wjedziemy do

miasta, on wysiadzie, zaś jego kierowca pojedzie ze mną i przy drodze wyłotowej zatrzyma jakiś dobry samochód. Wręczył mi wizytówkę i powiedział, że gdybym w promieniu 100 kilometrów miał jakieś kłopoty, to mam pokazać tę wizytówkę, a wszystko powinno stać się prostsze. Nim zdążyłem zareagować, mój rozmówca wysiadł, mówiąc: „Cześć!” i zostałem tylko z kierowcą. Ruszyliśmy w kierunku rogatek miasta, a ja poprosiłem go, by wysadził mnie gdziekolwiek, bo bez problemu dam sobie radę. On jednak (wtedy pierwszy raz zabrał głos) powiedział:

- Żeby było jasne, ja takich, jak Ty, nie lubię. Zawiozę Cię i zatrzymam Ci samochód. Nie będę ryzykował, bo on może sprawdzić, czy wykonałem polecenie.

Przyznaję, że jego słowa zmroziły mi krew w żyłach. Poprosiłem o chwilkę czasu, aż sam zatrzymam jakiś samochód, bo będzie to wyglądać raczej dziwnie, jeśli gość z bronią będzie zatrzymywał samochód dla zakonika. Obiecał dać mi pięć minut. Wysadził mnie w miejscu, które wskazałem, zawrócił i zatrzymał się ok. 100 metrów dalej. Wyszedł z samochodu i pokazał mi, że rozpoczął odliczanie czasu.

Jeszcze nigdy tak gorliwie nie machałem ręką, prosząc o podrzucenie. Miałem szczęście. Już pierwszy samochód zatrzymał się obok mnie.

- Czy jedzie pan w tamtą stronę? – zapytałem. A mój dobrodziej z uśmiechem odpowiedział:
- Jasne, innej drogi tu nie ma...

Wkrótce okazało się, że był to lekarz - neurolog, który widział moją wykrzywioną twarz i dlatego się zatrzymał. W ten sposób zakończyło się moje spotkanie z mafią.

Innym razem, całkowitym przypadkiem, podczas podróży spotkałem najwyższego przełożonego Kapucynów. Jechałem do Wałcza, gdzie miałem odbyć praktyki w naszej kapucyńskiej placówce. Gdy przejeżdżałem przez Śląsk, zatrzymałem półciężarówkę firmy, zajmującej się transportem zniczy. Kierowca, młody chłopak zresztą, okazał się wspaniałym kompanem w podróży. W każdym mijanym mieście zatrzymywał się i dostarczał znicze. Postanowiłem mu pomóc w przenoszeniu kartonów. Doszliśmy nawet do wniosku, że wyglądam jak żywa reklama jego firmy. Bawiliśmy się doskonale aż do Lublińca. Tam, w jednym z kiosków przy drodze do Poznania, pomagałem mu w rozładowywaniu towaru. I wtedy stało się coś, czego się nie spodziewałem. Oto zatrzymuje się obok nas Citroen, bardzo podobny do tego, jakim zwykł podróżować nasz prowincjał. Ku mojej rozpaczy okazało się, że był to rzeczywiście ten właśnie samochód, którym jechał z wizytacją właśnie do Wałcza przełożony. Zdziwił się, widząc, jak jeden z braci stoi przy kiosku ze zniczami i asystuje przy wypisywaniu faktur. Musiałem mu wszystko wyjaśnić i od tamtej pory, ilekroć mnie gdzieś spotykał, naigrywał się ze mnie, że handluję zniczami. No, co, przecież żadna praca nie hańbi...

Czasami, podczas podróży autostopem, otrzymywaliśmy ciekawe propozycje. Podczas pobytu w Wałczu, przełożony pozwolił Rafałowi i mnie pojechać nad morze na jeden dzień. Postanowiliśmy, że skierujemy się do

Mielna. Już w Wałczu zatrzymaliśmy człowieka, który prowadził własną firmę w Szwecji. Okazało się, że doskonale się nam rozmawiało i w końcu nasz kierowca zaproponował nam rejs promem do Szwecji na cały weekend. Wziął nasz numer telefonu i obiecał się zgłosić, co zresztą wkrótce uczynił. Niestety, prowincjał nie zgodził się na wyprawę do Skandynawii. Jednak podczas tego wyjazdu do Mielna, rozpoczęła się inna historia, która swój finał miała prawie 10 lat później. Gdy dotarliśmy do Mielna, pogoda była wręcz idealna na kąpiele morskie i słoneczne. Bezchmurne niebo, ponad 30°C i przepiękna plaża. Przebraliśmy się z Rafałem w stroje kąpielowe i wkroczyliśmy na plażę. Znaleźliśmy kilka centymetrów wolnej przestrzeni, pośrodku której zrzuciliśmy nasze rzeczy i popędziliśmy biegiem do wody. Chcieliśmy wykorzystać dany nam czas jak najlepiej. Rafał biegł kilka metrów przede mną, a ja, goniąc go, zastanawiałem się, dlaczego mimo tłumu na plaży, prawie nikt nie pływa w wodzie? Zrozumiałem, gdy zobaczyłem reakcję Rafała. Wskoczył w pełnym biegu do wody i zanurzył się do pasa. Wtedy stanął jak wryty i zawołał na cały głos: „Misiek!!! Moje klejnoty!!!”.

W mig pojąłem, o co chodzi i zatrzymałem się w miejscu, w którym woda sięgała mi tylko do kolan. Ludzie tarzali się ze śmiechu, ja dziękowałem Bogu za refleks, a Rafał stał jak sparaliżowany. Okazało się, że - mimo wysokiej temperatury powietrza - w wyniku prądów morskich temperatura wody wynosiła zaledwie 13°C. Szok temperaturowy przyprawiał wręcz o zawrót głowy. Ale to nie koniec całej historii. Po około 10 latach spotkałem się z moją przyjaciółką, mieszkającą w Kołobrzegu. Znałem ja od czasów życia

zakonnego i nawet podczas tego wyjazdu z Rafałem zastanawialiśmy się, czy jej nie odwiedzić. Gdy rozmawiałem z nią po kilku latach, rozmowa zesłała na zabawne historie, związane z plażą. Okazało się, że pamiętała ona dwóch szaleńców, którzy pewnego gorącego dnia wskoczyli do lodowatej wody i że jeden zakrzyknął o klejnotach. Pamiętała, że któryś z nich miał taką „ksywkę”, jak ja - „Misiek”. Wyobraźcie sobie jej reakcję, gdy dowiedziała się, że owymi szaleńcami byliśmy właśnie my.

Wracając do Rafała – kto, jak kto, ale on miał chyba największe szczęście do podróżowania autostopem... Zatrzymywał zawsze najlepsze wozy, mimo, że widział zaledwie na parę kroków. Miał wprawdzie okulary, ale kupił je kilka lat wcześniej, wzrok zaś psuł mu się coraz bardziej. Zawsze, gdy dokądkolwiek jechałem z Rafałem, to on machał, aby zatrzymać samochód. Sam byłem tylko jego oczami i czasami uprzedzałem: Rafał, nie, to jest karetka, to - wóz konny, a tamto - rowerzysta...

Były też raczej przykre przygody... Ot, historia spotkania ze Świadcami Jehowy. Wracałem wtedy do domu rodzinnego. Musiałem przejechać przez Mysłowice i wtedy zatrzymał się obok mnie Golf, w którym siedziały już cztery osoby. Intuicyjnie poczułem, że to właśnie Świadkowie. Bardzo szybko okazało się, że mam rację. Gdy tylko ruszyliśmy z miejsca, siedzący obok mnie pasażer powiedział:

- Czy Pan wie, że sznur, którym jest przewiązany, to powróż, na którym Pan zawiśnie na tamtym świecie?

Na szczęście, nie jestem człowiekiem przesądnym i nie wzięłam sobie do serca tych słów. Ale nie mogę powiedzieć, bym poczuł się miło... Już raz przedstawiciele tej grupy religijnej na Rynku w Krakowie wyzwali mnie od cudzołożników i złodziei, teraz więc byłem nieco uodporniony na takie hasła, ale żeby od razu szubienica... Ze spokojem, na jaki tylko było mnie stać powiedziałem, że znaczenie tego sznurka jest zupełnie inne i nie przypominam sobie, by gdziekolwiek w Biblii pisano o wieszaniu Kapucynów. Starłem się uspokoić nastrój, ów człowiek jednak był bardzo agresywny i dopiero siedząca obok kierowcy starsza kobieta zwróciła mu uwagę na to, że nie powinien się do mnie zwracać w ten sposób. On jednak, podjąwszy misję nawracania świata, był głuchy na jej prośby. Gdy już byliśmy blisko ronda w Katowicach, nie wytrzymałem i poprosiłem, by mi pozwolono wyjść z auta. Dziękowałem Bogu za to doświadczenie oraz za łaskę cierpliwości.

Były też inne sytuacje, kiedy ktoś rzucał we mnie jakimś przedmiotem, gdy stałem przy drodze, zdarzało się, że zatrzymywano się kilka metrów dalej, po czy odjeżdżano, gdy zbliżałem się do samochodu albo - gdy próbowałem otworzyć zamknięte od wewnątrz drzwi. Jednak, w zdecydowanej większości przypadków, spotkałem ludzi bardzo serdecznych i otwartych, za co mogę tylko dziękować Bogu.

## Być dla innych

***„Wszystko więc, co byście chcieli, żeby wam ludzie czynili  
i wy im czyńcie!” (Mt 7, 12)***

Kleryk. Jak zdefiniować to słowo? To chyba po prostu młody człowiek, pragnący poświęcić swe życie Bogu, naładowany wiedzą, a za to pozabawiony praktyki, który zjadł wszystkie rozumy i wie, jak naprawić świat. Zabolalo? Taki byłem ja. Denerwowało nas to, że nie pozwalano nam prowadzić choćby namiastki duszpasterstwa. Ciągłe nam mówili, że teraz jest nasz Nazaret, kiedy w ukryciu zdobywamy wiedzę i pogłębiaamy relację z Bogiem. Młodzi chcą działać, a nie siedzieć z założonymi rękami. Jednak zapomnieliśmy o ludowej mądrości, która głosi, że z pustego i Salomon nie naleje. Wysłać nieufornowanych kleryków do posługi duszpasterskiej przyniosłoby taki efekt, jak nauczanie Św. Pawła w Damaszku, tuż po jego nawróceniu. Zadarł wtedy, z kim tylko mógł i zaognił maksymalnie sytuację w tym mieście do tego stopnia, że atmosfera niechęci wobec chrześcijaństwa sięgnęła zenitu. Na skutek swojej nadgorliwości musiał uciekać z miasta (został spuszczoney za mury w koszu), co chrześcijan uradowało i uspokoiło ich przeciwników (por. Dz 9, 20-25).

Dziś, z perspektywy upływającego czasu widzę, jak niesłuszne były nasze bunty i żale. Przełożony, w bardzo rozważny i regularny sposób, przygotowywał nas do misji głoszenia Dobrej Nowiny. Mimo, że nie wyobrażał

sobie, bym pozostał w Zakonie, chętnie korzystał z mojej pomocy przy okazji różnych wyjazdów i rekolekcji. Nie próbował rzucać nas na głęboką wodę z nadzieją, że nie utoniemy, ale stopniowo oswajał z żywiołem głoszenia Słowa. Największe doświadczenie w tej dziedzinie posiadał Rafał (o czym już wcześniej wspomniałem), ale z racji moich pomysłów i swobody w wypowiedzeniu się, o. Jacek zaprosił również mnie do współpracy. Na początek miałem jako aktor, statysta lub kaskader pomagać przy głoszeniu kazań dla dzieci. Dzieci to bez wątpienia najtrudniejsza grupa - gdy się nudzą, potrafią dać popalić najbardziej wytrawnym mówcom, gdy im się coś nie podoba - mówią wprost i - choć w końcu dają się łatwo wciągnąć w dyskusję - bez odpowiedniego doświadczenia nie można ich uspokoić.

Nigdy nie zapomnę pierwszego kazania, w którym miałem wystąpić w roli grzesznika. Nic prostszego – musiałem być po prostu sobą. Ale o. Jacek lubił symbolikę, więc czekały mnie ekstremalne doznania. Kazanie miało uzmysłwić dzieciakom, że nawet największy grzesznik (to moja rola) zawsze może liczyć na przebaczenie. Zrobiliśmy drewniany krzyż, który miał symbolizować Jezusa, ja zaś musiałem na oczach dzieciaków wysmarować się błotem od stóp do głów (jak na porządnego grzesznika przystało). Następnie pojawiał się Jezus i dokonywało się obmycie z grzechów. Dzieciaki miały ubaw po pachy, a ja - błota po uszy.

Musieliśmy być w tym dobrzy, bo wkrótce o. Jacek zaprosił nas do współtworzenia kolejnych rekolekcji, które miał głosić. Jeździliśmy w różne miejsca kraju i próbowaliśmy wszczepić w serca dzieci i młodzieży Ewangelię.



Czasami było zabawnie, czasami - nastrojowo, a czasami wręcz strasznie. Pamiętam jak raz młodzieży w jednej z miejscowości napędziliśmy porządnego stracha. Zaprosiliśmy uczestników rekolekcji na wieczorną konferencję. Na początek Rafał miał ich z rozmysłem zanudzać. O. Jacek postarał się, by nikt z młodzieży nie stał pod chórem organowym - tam było moje miejsce. Dostałem bowiem do wykonania zadanie specjalne. Celem tej konferencji było ukazanie młodzieży, że bardzo wiele rzeczy odciąga naszą uwagę od Boga. Widziałem z chóru, jak rozluźnieni słuchacze słuchają (albo i nie) monotonnego, wręcz hipnotycznego głosu Rafała. W pewnym momencie padło hasło, na które czekałem i zrzuciłem z chóru potężną, metalową miskę, która z ogromnym hukiem spadła na ziemię. Wyobraźcie sobie panikę, jaka wybuchła w kościele. Myślałem, że młodzi powyrywają ławki ze strachu. Dopiero, gdy się uspokoiłi, nastąpiła właściwa część konferencji.

Te wyjazdy rekolekcyjne bardzo wiele mnie nauczyły. Czasami były to bardziej rekolekcje dla nas, niż dla tych dzieciaków. Marzyłem wtedy o stworzeniu niezależnej grupy szalonych ludzi, którzy jeździliby po kraju, aby prowadzić rekolekcje. Jednak, jak dotąd, idea pozostała tylko w sferze marzeń. Może kiedyś...

Czasami jakiś znajomy ksiądz prosił nas o przeprowadzenie spotkania z dzieciakami lub młodzieżą. Tak było, gdy odwiedziłem z Rafałem jego rodzinną miejscowość - Śrem. Zaprzyjaźniony ksiądz - Konrad Jędrzejczak poprosił nas, byśmy wygłosili dla dzieciaków kazanie o pojednaniu. Nigdy wcześniej nie miałem okazji przygotowywać takiego kazania i przyznać muszę, że była to bardzo kusząca propozycja. Przez kilka godzin Rafał i ja wysilaliśmy nasze mózgowia, by stworzyć coś absolutnie genialnego. Sprawa

o wiele trudniejsza, bo w pobliżu działała pewna urocza sabotażystka. Była nią mama Rafała, która przez cały czas raczyła nas wspaniałymi łakociami, w tym jej sztandarowym arcydziełem - sernikiem o wdzięcznej nazwie: „Chatka Baby Jagi”. Mimo początkowych trudności, jakoś sobie poradziliśmy i następnego dnia z plecakiem pełnym maskotek udaliśmy się do kościoła, na niedzielną Eucharystię. Po Ewangelii nadszedł nasz czas. Wyszliśmy przed tłum dzieciaków i ich rodziców (ci ostatni, jak zwykle, zajmowali dalsze miejsca w kościele i udawali obojętność). Na początku pojawiłem się z maskotką misia, którego Rafał brutalnie wyrwał mi z rąk. Oj, nie spodobało mi się to, zapytałem więc dzieci, co powinienem zrobić? Oczywiście, natychmiast prawie wszystkie podniosły ręce, bo chciały pomóc w odzyskaniu maskotki. Dzieci zawsze znajdą jakieś wyjście. Przystawiłem mikrofon chłopcu, który w moim odczuciu mógł coś sensownego powiedzieć i usłyszałem (jak przy okazji usłyszał cały kościół):

- Dać mu w ryja!

Coś takiego może poruszyć nawet umarłego. Wszyscy zgromadzeni w kościele ryknęli śmiechem. Na szczęście, Rafał miał w swym repertuarze cały „zestaw kryzysowy” i jakoś wybrnęliśmy z opresji. Nie musiałem bić się na pięści, a dzieciaki doszły do porozumienia i zaproponowały w końcu, byśmy zawarli ugodę. W ten sposób pojednanie stało się faktem. Nawet rodzice bawili się dobrze, tym bardziej, że szybko okazało się, iż nie stanowimy dla nich zagrożenia, bo nikogo prócz dzieci nie próbowaliśmy pytać o treść czytań.

Nawiasem mówiąc, gdyby kaznodzieje, głoszący kazania dla dzieci umówili się i spisali wszystkie anegdoty, zabawne sytuacje i wspomnienia z dziecięcych Eucharystii, powstałaby wspaniała książka. Nie dziwię się, że Jezus przygarniał dzieci i kazał nam - dorosłym brać z nich przykład. Najgorzej być „dorosłym” w relacji z Bogiem.

Eucharystie dla dzieci i rekolekcje zdecydowanie lubiłem, gdy jednak ojciec Jacek ogłosił nam, że będziemy chodzili do Szpitala Onkologicznego w Krakowie, by pomagać kapelanowi, poprosiłem go, aby zwolnił mnie z tego obowiązku. Niestety, na widok ludzkiej krzywdy jakby coś we mnie pękało i w rezultacie – totalnie się rozklejałem. Było we mnie zbyt wiele litości, a za mało - miłości. Na szczęście, ojciec Jacek nie zgodził się na to i wkrótce musiałem przekroczyć próg szpitala, który gorąco pragnąłem omijać z daleka. A tak to już jest w życiu, że im mniej chcemy w czymś uczestniczyć, tym bardziej potem nam się to podoba. Szpital Onkologiczny okazał się nadzwyczajnym miejscem, które wciąż chciało się odwiedzać, bo - wbrew oczekiwaniom - spotykałem tam najczęściej ludzi serdecznych i niesamowicie otwartych. Była w tym ogromna zasługa ówczesnego kapelana - o. Stanisława Mańskiego, który całymi dniami przesiadywał z chorymi. Pozostawał na każde ich wezwanie, a oni odplacali mu szacunkiem i miłością. Kaplica pękała w szwach, ludzie garnęli się do ołtarza, a my staraliśmy się upiększyć liturgię naszą służbą przy ołtarzu i odpowiednią oprawą muzyczną. A po Mszy chodziliśmy po salach i rozmawialiśmy z pacjentami. Były to niezwykle rozmowy. Szczególnie zaimponowały mi kobiety. Gdy wchodziliśmy na ich oddział, trzeba się było liczyć z tym, że przez najbliższych kilka godzin stamtąd nie wyjdziemy.

Od razu pojawiała się herbata, ciasteczka, zaczynały opowieści o wnukach, dzieciach i bliskich. Nie czuliśmy tam atmosfery szpitala, w przeciwieństwie do oddziału męskiego. Mężczyźni siedzieli osobno, każdy samotnie zmagał się ze swoim demonem strachu przed tą straszną chorobą. Trudniej się z nimi rozmawiało, bo – o czym już kiedyś wspomniałem - gdy mężczyzna choruje, cały dom jest chory.

Nie chcę tu przesadzić i powiem, że obok wielu naprawdę przyjemnych, cudownych wspomnień, ze Szpitalem Onkologicznym wiąże się też wiele historii smutnych, które wręcz rozdzierały serce. Mimo tego, ci ludzie potrafili się cieszyć z zupełnie prozaicznych rzeczy, na które my, zdrowi, nie zwracamy najmniejszej uwagi. Dlatego zaryzykuję stwierdzenie, że ich radość była pełniejsza i po prostu muszę tu o niej zaświadczyć.

## Świętowanie

***„Wszystko, co żyje, niech chwali Pana!” (Ps 150)***

Chciałbym tu w kilku słowach opowiedzieć o świętowaniu w Zakonie. Polacy mają wielkie tradycje w tej dziedzinie. Potrafimy bawić się zarówno „z okazji okazji”, jak również – „z braku okazji” i Zakon nie stanowi na tym polu wyjątku. W ciągu roku krakowska wspólnota często świętuje. Poczynając od imienin poszczególnych braci, a kończąc na wielkich uroczystościach kościelnych. Już na wstępie muszę podkreślić, że zakon w tej dziedzinie mnie zdecydowanie skrzywdził. W domu rodzinnym panuje zwyczaj, że obchodzimy urodziny (moje przypadają w maju), a tu bracia zwykli składać mi życzenia w Wigilię Bożego Narodzenia, ponieważ w klasztorze obchodzi się tylko imieniny. Każdy Adam i Ewa rozumie moje rozżalenie.

Zacznijmy więc od owych nieszczęsnych imienin. Już od rana cała wspólnota starała się w ten dzień pamiętać o solenizancie. Podczas modlitw wielokrotnie proszono Boga o błogosławieństwo i konieczne łaski dla tego brata. W refektarzu na stole, przy którym siedział brat, obchodzący swoje imieniny, kładziono czysty obrus i kwiatek (najczęściej doniczkowy, przyniesiony z korytarza). Ta „gala” towarzyszyła mu przy każdym posiłku. A jeśli solenizantem był któryś z braci po ślubach wieczystych, na obiad zjeżdżali się bracia z pobliskich placówek – wtedy można było liczyć na ciasto po obiedzie. Były również prezenty! Ale jak tu kogoś uraczyć atrakcyjną

niespodzianką, jeśli nie ma się środków na zakup prezentu? Kleryk jednak nie jest w ciemnię bity i z tego też potrafi wybrnąć. Dawało się to, co mieliśmy pod ręką. Zatem, na przykład: używane pasty do zębów, koszulki, lepszy żel pod prysznic (który ofiarodawcy wcześniej ufundowali rodzice), długopis – nawet bez wkładu. Liczył się po prostu gest. Nigdy nie zapomnę pasty do zębów znanej firmy, do której była przywiązana wstążeczka, ściągnięta z bukietu wyschniętych kwiatów, który zakrystianin miał wyrzucić. I któż nie ucieszyłby się z takiego prezentu? W takich sytuacjach potwierdza się uniwersalność określenia: „mała rzecz ale cieszy!”.

Wieczorem odbywała się impreza rocznikowa. Przełożony wyciągał trochę „waluty” i pozwalał nam „zaszaleć”. Kupowało się wtedy, nie zwracając szczególnej uwagi na jakość, ale - na ilość, choć czasem pojawiał się nawet jakiś napój gazowany znanej firmy. Teraz każdy rozumie, dlaczego ja, jako posiadacz jednego z najstarszych imion (o ile nie - najstarszego) mogłem czuć się pokrzywdzony. Nie otrzymywałem specjalnego nakrycia, bo wszystkie stoły były świątecznie ustrojone, kwiatek też nie wchodził w grę, bo w refektarzu stała choinka... Nie było uroczystego obiadu, gdyż wszyscy czekaliśmy na wieczerzę, a i wieczorem nie było imprezy rocznikowej. Tak to już jest, gdy historia z pierwszym grzechem zaważy na dalszej karierze każdego Adama...

Skoro jednak wspomniałem o Bożym Narodzeniu, to warto o tej uroczystości troszkę szerzej opowiedzieć. W Krakowie nie było potrzeby

przygotowywać szopki, bo stała ona przez cały rok, choć odsłaniano ją tylko na Święta. Już w Wigilijny poranek dało się słyszeć w całym klasztorze szum porządków, gdy w godzinach południowych wszystko milkło. Cały klasztor zamierał w oczekiwaniu. Proszę sobie wyobrazić budynek, w którym mieszka blisko 150 mężczyzn (zakonnik też mężczyzna, wbrew opinii niektórych, więcej – zakonnik też człowiek!), a w którym nagle zapada całkowita cisza. A gdy przychodził czas łamania się opłatkiem (smarowanego zresztą miodem), choć trwało to ponad godzinę, i tak nie można było dotrzeć do wszystkich osób. Po wieczerzy każdy, kto na czymkolwiek potrafił grać, przynosił z celi instrument i przez długi czas śpiewaliśmy kolędy. Nawet takie muzyczne beztalencie, jak ja, darto się z całych sił - na chwałę Pana!

Po wspólnym kolędowaniu mogliśmy świętować, aż do Pasterki. Tuż przed nią, cała Wspólnota Domowa zbierała się pod drzwiami gwardiana (przełożonego domu), który - po zaintonowaniu kolędy - pojawiał się z figurką Dzieciątka na rękach. Wtedy, w blasku świec schodziliśmy do kościoła, gdzie wierni czekali już w zupełnych ciemnościach i przyłączyli się do naszego kolędowania. Tak rozpoczynała się Pasterka.

Z Bożym Narodzeniem wiąże się jedno z ciekawszych wspomnień. W wielkie uroczystości można się było „załapać” na udział w porannej Mszy Świętej u sióstr Serafitek. A kto raz w życiu jadł śniadanie u sióstr, ten nigdy nie zapomni tego ślicznie przystrojonego stołu i cudownych smakołyków. Wprawdzie śniadania te cieszyły się ogromną popularnością i zwykle trudno się było na nie dostać, jednak w drugie Święta Bożego Narodzenia, jakie

spędziłem w Krakowie, wysłano na nie Marka Woltera i mnie. Marek - nasz rocznikowy senior, człowiek dystyngowany, elegancki i ja... – no, po prostu – ja... Mszę odprawiał ks. prof. Tomasz Jelonek, który traktował kleryków, jak własne dzieci. Rzadko można spotkać tak poczciwego i serdecznego człowieka. Jak już wiadomo, nie miałem talentu wokalnego, więc wziąłem na siebie czytanie. Kapłan, wraz z nami, pełniącymi obowiązki służby liturgicznej, siedział po lewej stronie ołtarza, natomiast ambonka, z której czytano Pismo, mieściła się po prawej stronie.

Gdy ma się przed sobą kościół, pełen sióstr zakonnych, czuje się taką trempę, jak przed komisją poborową. Jednak pierwsze czytanie poszło mi jak po maśle: odpowiednia dykcja, przestrzeganie interpunkcji, zrozumienie tekstu i kierowanie wzroku ku zgromadzonym - jednym słowem: idea! Pod koniec czytania Marek stanął za moimi plecami, gotów, by podejść i odśpiewać psalm. Czuł się całkiem pewnie, bo w pobliżu nie kręciło się żadne dziecko (przypominam historię z nowicjatu!), a więc nie groziło mu powtórzenie „numeru” z pieniędzmi. Po zakończeniu czytania, udałem się na fotel obok ks. Jelonka, a Marek zaintonował psalm responsoryjny. W momencie, gdy przyklękałem na środku przed Tabernakulum, wszyscy zgromadzeni w świątyni bardzo głośno zakrzyknęli. Dookoła rozległo się przejmujące: „Uuu...!!!” Było to „Uuu...” z rodzaju pełnych strachu i zgrozy. Trudno opisać, co wtedy czułem, ale niewiele brakowało, a adrenalina rozsadziłaby mi serce i głowę. Od razu pomyślałem: „Co ja takiego zrobiłem??” Moja wyobraźnia podsuwała już drastyczne obrazy, jednak dla pewności zerknąłem dyskretnie w kierunku



księdza Tomasza i z uczuciem ogromnej ulgi stwierdziłem, że patrzy on na Marka, a nie w moim kierunku. Cały czas klęcząc na jednym kolanie, zerknąłem dyskretnie w kierunku ambonki i zrozumiałem! Tam działy się rzeczy, rodem z najbardziej wyszukanych wizji twórców horrorów. I mimo, że mój opis jest raczej długi, wszystko działo się w czasie niewiele dłuższym, niż wypowiedzenie słowa: „Amen”.

Dobrze mi się wydaje, drogi Czytelniku, że jesteś już do cna przeżarty ciekawością, co też przydarzyło się Markowi? Postaram się zaspokoić Twe zainteresowanie. Otóż, przestał on śpiewać psalm i toczył zażartą walkę z ogromną choinką, która przed chwilą stała w rogu kościoła, teraz zaś leżała na nim. Po prostu, robiąc mi miejsce, gdy odchodziłem od ambonki, potracił ją lekko, ale - skutecznie. Teraz próbował ponownie ustawić ją do pionu. W takiej sytuacji wypadało, bym pospieszył przyjacielowi z odsieczą. Marek, cały w igłach, anielskim włosiu, wśród potrzaskanych bombek czekał, aż podejść. Wszyscy w kościele wpatrywali się w nas z tak wielkim zaangażowaniem, że niemal zapomnieli oddychać. Jedynie organistka grała nadal, co potęgowało wrażenie, wywarłe na wiernych przez całe zdarzenie. Gdy wyciągnąłem rękę, by podtrzymać drzewko, Marek mylnie wywnioskował, że już panujemy nad sytuacją, puścił je więc, po czym odwrócił się w kierunku mikrofonu, by kontynuować śpiew. To się nazywa: głód sławy! Niestety, zabrakło mi ledwie kilku centymetrów. Choinka opadła niżej, lądując Markowi na głowie i potracając po drodze wielką, piękną figurkę Św. Franciszka, stojącą na przymocowanej do ściany półce. Patron naszego zakonu wykonał dwa i pół obrotu, po czym opadł na posadzkę, ujawniając kruchość każdego bytu. W zderzeniu z betonem, gips nie ma szans, Święty więc rozpadł się z hukiem w gruzy. Podczas

tej akcji wszyscy w nerwach poderwali się z miejsc, z chorymi siostrami na czele. A gdy pozostało jedynie wspomnienie z figurki, wszystkie zakonnice z rozpaczą jęknęły, jedna nawet wykrzyknęła z rozpaczą: „Franciszek nas opuścił!”. Na szczęście, pozostałe siostry znały przepisy kościelne, dotyczące objawień prywatnych, w które nie trzeba z miejsca wierzyć, nie wzięły więc sobie do serca tego proroctwa. Po krótkiej walce udało mi się w końcu postawić nieszczęsne drzewko i dalsza część Mszy przebiegła już bez zakłóceń.

Myśląc o świętowaniu, mam jeszcze przed oczami bardzo przyjemny zwyczaj, związany ze Świątami Wielkiej Nocy. Wspomniałem już o przykrym sposobie budzenia za pomocą kołatki. Jednak jeden poranek w roku był wyłączony z tej bolesnej praktyki. Mówię tu właśnie o pobudce w Niedzielę Zmartwychwstania Pańskiego. Starsi bracia uprzedzali, że czeka nas coś niezwykłego, lecz raczej przyjemnego, stąd też wielu braci tej nocy nie zamykało drzwi swych celi, by owe cudowne doznania zwielokrotnić. Przed wyznaczoną godziną pobudki, kilku braci dyskretnie rozstawiało na każdym piętrze głośniki. Gdy wybijała godzina budzenia ze snu, włączali najszlachetniejsze „Alleluja” w historii muzyki – fragment cudownego „Mesjasza” Haendela. Każdy tylko leżał i słuchał tych niebiańskich dźwięków. Tak! Był to jedyny dzień w roku, kiedy bracia cieszyli się z pobudki.

Ciekawym zwyczajem, typowo zakonnym, był specyficzny obiad w wigilię niektórych, ważnych dla Kapucynów uroczystości, jak np. Wspom-

nienia Św. Franciszka (4. X) lub uroczystości Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny (8. XII). Zawsze dzień przed takim świętem był poświęcony skupieniu i modlitwie. Nawet pora obiadu nie była wolna od tego nastroju. Bracia wchodzili w ciszy do refektarza, odmawiali stosowne modlitwy przed posiłkiem, po czym wszyscy klękali, zaś jeden z braci czytał w tym czasie opis męki Pana Jezusa. Pozostali spożywali w ciszy wcześniej przygotowany suchy chleb, posypując go solą. Po zakończeniu czytania bracia odmawiali modlitwy po posiłku, po czym podchodzili (poczynając od najstarszych) do położonego na dywaniku krucyfiks, przyklękali i całowali go. Na koniec w procesji zanoszono krzyż do kościoła. Takie tradycje tworzą niesamowitą atmosferę, której nie sposób zapomnieć nawet po latach. W dzisiejszych, skomercjalizowanych czasach, gdy gonimy za dostatkami, bardzo łatwo rezygnujemy z właściwego celebrowania naszych świąt i rocznic. W konsekwencji, nasze życie jest zbyt słabo osadzone w tradycji i stajemy się pokoleniem bez historii i korzeni. Bracia potrafili każdemu świętu nadać wyjątkową rangę, tak, by dzień ten przeżyć w sposób pełny. Odpowiednie świętowanie wymaga czasu, a przecież najczęściej stosowanym przez nas wytłumaczeniem jest jego brak.

Miłym zwyczajem było kolędowanie! Każdego roku, w okolicach Święta Objawienia Pańskiego, cały klasztor przeżywał kolędę. Każda celda musiała lśnić idealnym porządkiem, bo cała wspólnota domowa brała



udział w odwiedzinach u poszczególnych braci. Ale oprócz tradycyjnej kolędy, była i nieoficjalna. Brała w niej udział tylko wąska grupa braci, którzy jednak owocami swej działalności dzielili się ze wszystkimi klerykami. Ekipa ta brała wielki koszt wiklinowy i w przebraniach obchodziła cele wszystkich braci wieczystych, opróżniając je ze wszystkiego, co było słodkie, dawało się ugryźć i nie straciło gwarancji później, niż rok wcześniej. Przebrania zawsze były bardzo urozmaicone (tak, tylko dlaczego ja zawsze byłem diabłem?), poczynając od małego Jezusa, którego corocznie grał Tomek Kryger, bo tylko on mieścił się w koszyku, kończąc zaś na Trzech Mędrcach i ich eskorcie. Nasze kolędowanie nabierało czasami takiego rozmachu, że wykraczało poza klauzurę i wychodziliśmy na miasto. Odwiedzaliśmy zaprzyjaźnione klasztory i domy naszych dobrodziejów, a nawet uprowadziliśmy tramwaj, by rozweselić choć troszeczkę pasażerów. Dla uspokojenia nastrojów antyklerykalnych spieszę szybko wyjaśnić, że od ludzi świeckich nigdy nie ściągaliśmy słodkiego „haraczu”.

Wielkim wydarzeniem były zawsze mistrzostwa krakowskich seminariów w piłce nożnej. Najlepsze kleryckie jedenastki walczyły o puchar kardynała Franciszka Macharskiego. Mimo, że uwielbiam ten sport, nie włączono mnie nawet do rezerwowego składu. Postanowiłem więc zrealizować się inaczej – poprzez zorganizowanie dopingu dla naszej drużyny. Warto o tym wspomnieć szczególnie dziś, gdy wyprawie na mecze ligowe powinno towarzyszyć dodatkowe ubezpieczenie na życie i od nieszczęśliwych wypad-

ków. Doping zawsze był zażarty, ale kulturalny. Było to zresztą na tyle wielkie wydarzenie, że na nasze mecze przychodzili dziennikarze, którzy więcej uwagi poświęcali kibicom, niż temu, co działo się na boisku. W ciągu mojego czteroletniego pobytu w Krakowie, nasza drużyna aż trzykrotnie zdobywała puchar. Muszę tu oddać honor przeciwnikom i wspomnieć o bardzo mocnych drużynach Salezjanów czy Jezuitów. Na mecze tych drużyn z naszą „kadrą”, zawsze przychodziło wiele osób świeckich.

Nasz klub kibica gromadził kilkadziesiąt osób – zakonników i osób świeckich. Mieliśmy odpowiednie stroje, całą masę różnych instrumentów, a nawet flagę klubową. Była to flaga byłego ZSRR,



z sierpem i młotem, ale i z dodatkowymi emblematami, zaczerpniętymi z pirackiej bandery Jolly Roger (trupia czaszka i piszczele). Flaga ta stanowiła trofeum, zdobyte w wyniku bratobójczej walki z Kapucynami z prowincji warszawskiej. Co roku rozgrywaliśmy spotkania, mające rozstrzygnąć, która Prowincja jest lepsza. Podczas wyjazdowego spotkania w Lublinie dokonano zakładu, że jeśli my wygramy, zabierzemy flagę przeciwników. Jak łatwo przewidzieć, zwyciężyliśmy, a od tej pory na każdy mecz zabieraliśmy naszą flagę jako emblemat klubowy i swego rodzaju relikwię. Dlaczego relikwię? Z tym też jest związana pewna wstrząsająca i krwista, a jakże, historia. Gdy nasza drużyna rozgrywała jedno ze spotkań klerycznej ligi, zawodnik przeciwnej

drużyny potraktował zdecydowanie nie po chrześcijańsku naszego zawodnika. W rezultacie tej interwencji, nasz piłkarz (był to chyba Piotr Walocha), rozbił sobie głowę. Krew lała się strumieniami. Wtedy jeden z naszych kibiców wpadł na boisko, zerwał naszą flagę i opatrzył nią głowę rannego. Opatrunek spełnił swoje zadanie i nasz napastnik grał do końca meczu z tym prowizorycznym zabezpieczeniem na głowie. Od tej pory na naszej fladze były ślady krwi, mające pokazać naszym rywalom, do jakich ofiar jesteśmy gotowi, by zwyciężyć.

Nasz doping nie ograniczał się tylko terenu do boiska. Przez całą drogę na stadion darliśmy się, ile tylko mieliśmy sił w gardłach. Na czele szedł Jarek Adamek, który oprócz habitu nosił szalik, liczący chyba ze dwa metry, w bardzo jaskrawych kolorach, z ogromnymi pomponami i pomarańczowe trampki. Na taki widok raczej nikt nie pozostawał obojętny. Przechodnie w większości przypadków traktowali nas bardzo życzliwie, z małymi wyjątkami, gdy z lekceważeniem spoglądali na tę dość niecodzienną grupę. Wielu jednak przyłączało się do nas z czystej ciekawości i często ilość kibiców była podobna, jak na meczach drugiej czy trzeciej ligi. Oczywiście, nie tylko kibice byli ozdobą tych spotkań. Sama gra toczyła się na wysokim poziomie, bo wielu spośród seminarzystów wcześniej zasilalo szeregi różnych klubów sportowych.

Jedno z najważniejszych wydarzeń roku zakonnego przypada na dzień 19 marca. Tego dnia obchodzimy wspomnienie Św. Józefa - Opiekuna

Jezusa. Święty ten jest (choć nie wiem, czy ktoś go pytał o zgodę w tej kwestii), obok Najświętszej Marii Panny Niepokalanie Poczętej, patronem prowincji krakowskiej Kapucynów. W dniu tym bracia piątego roku składają za zgodą przełożonych śluby wieczyste (do końca życia). Na ceremonię tę przyjeżdżają zwykle rodzice, krewni i znajomi, którzy do ostatniego miejsca wypełniają kościół. Bracia z młodszych roczników, oprócz kibicowania starszym, starają się, aby Liturgia wyglądała bardzo okazale i dostojnie. Podczas Eucharystii, przed złożeniem profesji, śpiewa się litanię do Wszystkich Świętych, a bracia, mający ślubować, padają na twarze i modlą się o światło Ducha Świętego. To niesamowity moment. Łzy się leją obficie z oczu zgromadzonych w Świątyni gości i serca biją w przyspieszonym tempie.

Nigdy tego momentu osobiście nie przeżywałem, ale z relacji braci wiem, że to dla nich ogromne przeżycie, porównywalne do składania przysięgi małżeńskiej.

Co zaś do małżeństwa... Kapucyni z ulicy Loretańskiej w Krakowie, nie prowadzą działalności duszpasterskiej, typowej dla zwykłych parafii. Śluby małżonków nie są w tej dziedzinie wyjątkiem. Jednak wśród ludzi krąży pogłoska, że zawarte w kapucyńskim kościele małżeństwa są szczególnie udane. I nic nie pomagają wyjaśnienia, że to nie zasługa Świątyni, ale Boga i współpracy z Nim samych małżonków. Bardzo wielu narzeczonych przychodzi do zakrystii z prośbą o umożliwienie im przyjęcia tego Sakramentu w tym właśnie miejscu. Proboszcz parafii pod wezwaniem Św. Anny pozwala na ten proceder, bo nie ma innego wyjścia. Jeśli ludzie sobie coś wmówią, to żadną siłą nie można ich przekonać, że jest inaczej.

Bracia na swój sposób próbują pomóc nowożeńcom poprzez przyozdobienie świątyni i przygotowanie szczególnej oprawy liturgicznej. Ale jedną parę zapamiętałem szczególnie dobrze. Udali się oni do ówczesnego gwardiana - o. Józefa Mońko, który słynął z zamiłowania do wszelkiego rodzaju remontów oraz z dbałości o dobre kontakty ze świeckimi. Był dla nich zawsze serdeczny i otwarty. Owi narzeczeni wpadli na pomysł, by nie tylko wziąć ślub w naszym Kościele, ale by również zorganizować w naszym ogrodzie krótkie przyjęcie weselne z tortem i szampanem. Przedstawili swoją prośbę o. Józefowi, ten zaś podchwycił natychmiast tę ideę i wyraził zgodę. Przyznaję, że później obie strony były nieco zmieszane. Goście dziwnie się czuli za wysokim murem klasztornym, choć starali się robić wrażenie, jakby im się to naprawdę podobało. My zaś, z bezpiecznej odległości zerkaliśmy w ich stronę, również nie mogąc się przyzwycząić do faktu, że po naszym ogródku, biega panienka w białej sukni i wielu elegancko ubranych gości. Był to ciekawy eksperyment, choć nigdy później już go nie powtórzono. Oczami wyobraźni wprawdzie widziałem, jak podczas wesela w ogrodzie klerycy podają kieliszki z szampanem i roznoszą drinki z palemką, jednak nawet ów zwyczajny ślub był na tyle wielkim wydarzeniem, że nawet studenci z sąsiadującego z nami akademika wylegli do okien i podziwiali szokujące zjawisko.



## Tarcia

***„Jeśli więc przyniesiesz dar swój przed ołtarz i tam sobie przypomnisz, że brat twój ma coś przeciw tobie, zostaw tam dar swój przed ołtarzem, a najpierw idź i pojednaj się z bratem swoim. Potem przyjdź i dar swój ofiaruj” (Mt 5, 23-24)***

Dziedziczność może być albo obciążeniem, albo szansą. Po naszych przodkach dziedziczymy czasami cechy negatywne, ale - choć niezmiernie rzadko - zdarza się również, że otrzymujemy po nich również jakieś zalety. Zakon podczas formacji (definicja naukowa – proces kształtowania postawy zakonnej w osobie żyjącej zasadami tam panującymi) bazuje na tym, co dany brat przyniósł ze sobą ze „świata”. Zakonnicy nie są hodowani w wylęgarni, mają swoich rodziców, środowisko, które przekazało im poprzez wychowanie pewien system wartości. Jeśli rodzina, w której wyrósł dany brat, przeżywała wcześniej jakieś trudności, to w pewnym sensie dotknęły one i jego, wpływając zarówno na psychikę, jak i na przyszłe losy zakonnika. Każdy z nas nosi ze sobą pewien bagaż doświadczeń. I nawet najlepsza Wspólnota nie jest w stanie wpłynąć na brata, który nie chce niczego zmienić w swoim życiu. Dobrze to ilustruje pewna dalekowschodnia historia o psie, który wskoczył do pomieszczenia z lustrami i gdy zobaczył, że otaczają go inne psy, zaczął wściekle szczekać. Szczekał, szczekał i szczekał bez przerwy, aż w końcu padł z wyczerpania. A przecież, jeśliby tylko zamachał ogonem, nie musiałby

szczekać i wszystko ułożyłoby się idealnie, on zaś byłby do końca życia szczęśliwy. By wywołać iskrę, potrzeba minimum dwóch czynników - podobnie jest w konfliktach między ludźmi. Gdybym miał oceniać swoje postępowanie, muszę przyznać, że należę do osób, przy których występuje podwyższony stopień ryzyka zaistnienia konfliktu. Czyli jestem „konfliktogenny”. Stoję jednak na stanowisku, że każde nieporozumienie – podobnie, jak porozumienie – musi być efektem działania dwóch osób. Jeśli mówimy o „stronach” konfliktu, to minimum dwie osoby są zań odpowiedzialne. Nie w jednakowym stopniu, ale zawsze - obie.

Jak zatem rozwiązywaliśmy ewentualne zatargi w klasztorze? Chciałbym móc powiedzieć, że zgodnie z nauką Ewangelii, jednak nie byłoby to całkowicie zgodne z prawdą. Dość szybko odkryłem, że najczęściej nie lubiłem tych spośród braci, którzy byli ode mnie w czymś zdecydowanie lepsi. Drażnił mnie na przykład pewien brat, który modlił się o wiele więcej, niż ja, czy inny, który potrafił bardzo szybko i łatwo się uczyć. O pierwszym myślałem, że chce się przypodobać przełożonym i dlatego tyle siedzi w kaplicy, a drugi w moim mniemaniu był po prostu „Dziobakiem”. Nie wiem, dlaczego, jednak bardzo często posądzałem ich o nieszczerze motywacje i to powodowało, że byłem wobec nich szorstki i podejrzliwy.

Byli też tacy, z którymi wprawdzie żyłem w dobrych relacjach, ale i między nami często dochodziło do „iskrzenia” - i to najczęściej o detale, a nie wielkie sprawy. Raczej były to krótkie spięcia, które nie powodowały trwałych i negatywnych skutków w naszych relacjach.

Chciałbym tu wspomnieć o dwóch braciach, których przez wiele lat omijałem z daleka, podejrzewając o różne nieczne sprawy. Niech wszystko, co teraz piszę, będzie niejako ponownymi przeprosinami za słowa i czyny, którymi im wyrządziłem krzywdę. Obaj byli o rok starsi, niż ja i w sumie niczego złego nigdy mi nie zrobili. Nadal są w Zakonie i oby im się wiodło jak najlepiej. Amen. To oczywiście nie wszyscy, których unikałem, ale moja początkowa antypatia właśnie do nich była powszechnie znana w moim otoczeniu.

Pierwszym był o. Piotr Nowak. Człowiek o nadludzkiej (w moim mniemaniu) sile fizycznej, który przed wstąpieniem do Kapucynów był strażakiem. Za co go początkowo nie lubiłem? Żebym to ja wiedział! Może dlatego, że moi kumple go nie lubili, ale dlaczego - również nie wiem. Rocznik Piotra, podobnie jak mój, pozostawał pod opieką o. Jacka Kani. Byli to ludzie zdecydowanie bardziej zdyscyplinowani, niż my i sprawiali o wiele mniej problemów swemu opiekunowi. Dlatego od samego początku byłem do nich uprzedzony. Ale mimo tego, właśnie z owego rocznika wywodził się mój najlepszy przyjaciel, o którym wspomnę nieco później.

Piotra poznałem osobiście jeszcze podczas rekolekcji przed Zakonem. Podczas ferii zimowych pojechałem do Sędziszowa, a Piotr i Andrzej (to drugi zakonnik, którego nie lubiłem) odbywali wtedy swój Nowicjat. Panowały tam straszliwe mrozy i, jak na złość, zabrakło wody. Pozostała jedynie studnia z ręczną pompą, ale tak długo już jej nie używano, że rączki nie dało się poruszyć. Wtedy pojawił się Piotr, który obdarzony był taką siłą, że napełnił wszystkie możliwe naczynia w ciągu kilkunastu minut. Wielu śmiazków (nie wyłączając i mnie), chciało wyręczyć go w tej żmudnej pracy, ale nikt nie pot-

rafił nawet poruszyć uchwytu pompy. Dopiero po odbyciu przeze mnie Nowicjatu, spotkaliśmy się ponownie, ale wtedy byłem już bardzo podatny na wpływy innych – w tym osób, które Piotra nie znały zbyt dobrze, a - co za tym idzie - nie zaliczały go do grupy naszych przyjaciół. Praktycznie do trzeciego roku studiów nasze kontakty ograniczały się do dyplomacji - sztucznych uśmiechów, rutynowych pozdrowień i nie wchodzenia sobie w paradę. Piotr i ja po prostu tolerowaliśmy się nawzajem. Ale stan taki nie może trwać wiecznie, tym bardziej, że mieszkaliśmy pod jednym dachem. Nawet w klasztorze są miejsca, w których trzeba przebywać razem, a wtedy nietrudno o sytuacje konfliktowe. Każda decyzja naszego przełożonego dotyczyła tak samo Piotra oraz jego rocznika, jak i mnie, a - jak już wcześniej wspomniałem - z wieloma decyzjami o Jacka po prostu się nie zgadzałem. Szczególnie mocno się to ujawniało, gdy któryś z braci za „radą” przełożonego musiał odejść ze Wspólnoty. Buntowałem się straszliwie i nie ukrywałem tego. W konsekwencji denerwował mnie każdy, kto nie podzielał mojego bólu i buntu. Piotr inaczej to widział, choć, jak się później przekonałem, również bardzo mocno przeżywał chwile rozstań ze współbraćmi. Nie cieszyło go więc odejście danego brata, ale po prostu ufał przełożonym, którzy - jego zdaniem – wiedzieli, co robią.

A ja... Co tu kryć, nie podzielałem tego zaufania. Zachowywałem się, jak nasi parlamentarzyści z opozycji i bojkotowałem wszystko i wszystkich, którzy trzymają z władzą, nawet, jeśli ta ma rację. Przez takie poglądy często zdarzało mi się wchodzić w utarczki słowne z niektórymi braćmi. Piotr również

był wśród nich. Jednak przełom nastąpił, jak to zwykle bywa, w najmniej oczekiwanym momencie. Pamiętam, że mieliśmy z kilkoma braćmi wyjechać naszym dziewięcioosobowym samochodem. Piotr prowadził, bo jest rzeczywiście rewelacyjnym kierowcą. Mnie przypadło miejsce obok niego, z przodu. Nie powiem, bym skakał z radości, ale skoro zostało tylko to siedzenie, nie było innego wyjścia... Początkowo rozmowa zdecydowanie nam się nie kleiła, jednak po upływie mniej więcej godziny w sposób najzupełniej naturalny rozpoczęliśmy rozmowę o naszych wzajemnych uprzedzeniach. I tak to już jest, że gdy bez uprzedzeń mówimy o uprzedzeniach, okazuje się, że więcej nas łączy, niż - dzieli. W połowie drogi do Stalowej Woli nastąpił całkowity przełom w naszych relacjach. Nigdy nie zapomnę tży ulgi, jaka spłynęła po zarośniętym policzku Piotra i gdyby nie fakt, że prowadził samochód, chyba wpadlibyśmy sobie w ramiona i uściskali jak stare niedźwiedzie. Nic tak pięknie nie smakuje, jak pojednanie po latach. Od tamtej pory zaakceptowałem również Andrzeja Rudnika, który przyjaźnił się z Piotrem. Dziś mogę powiedzieć, że mam w nich przyjaciół, a nie – wrogów.

Niestety, nie wszystkie zakonne znajomości zakończyły się tak pięknie. Nie zdołałem dogadać się z wieloma współbraćmi, choć równocześnie muszę koniecznie w tym miejscu złożyć świadectwo wielkiej przyjaźni, częściowo zawiązanej dzięki konfliktom zresztą. Wspomniałem o tym, że rocznik Piotra i Andrzeja ofiarował mi najlepszego przyjaciela, który dziś jest dla mnie, jak brat. To Piotr Krzyżaniak, którego poznałem jeszcze podczas Nowicjatu, a który wtedy mocno załazł mi za skórę. W dzień przed ślubami jego rocznika, moja grupa sprzątała cały klasztor. Mnie przypadł rejon placu gospodarczego.

Nie był to zresztą mały teren do zamiatania, a Piotr zdecydowanie nie ułatwił mi pracy. Wsiadł do samochodu, należącego chyba do p. Moniki ze śpiewu i miał go tylko przestawić. On jednak wszystko robi z rozmachem i postanowił przy okazji poszaleć na placu. W rezultacie jego popisów, wszystkie kopczyki starannie zmiecionych przeze mnie śmieci zostały porzrzućane po całym dziedzińcu. Po tym wydarzeniu, facet trwał na liście "skazańców", aż do mojego wyjazdu do Krakowa. Tam dopiero poznałem prawdziwe oblicze „Swarzędza” - bo tak go między sobą nazywaliśmy. Piotr musiał z powodów zdrowotnych zrezygnować ze studiów, przysposabiających do kapłaństwa. Ma chore kolana i regularnie przechodzi bolesne operacje. Został więc naszym bratem - bibliotekarzem. A, że doskonale zna się na informatyce, postanowił skatalogować i uporządkować całą bibliotekę – wtedy składało się na nią kilkanaście tysięcy woluminów. Pracował bardzo ciężko i nawet do swojej celi przeniósł komputer, by i w niej móc katalogować książki. W jego życie wpisane było cierpienie, z racji choroby kolan. Biedak, przez niezliczone godziny borykał się z ogromnym bólem, który nie dawał mu odpocząć nawet w nocy. Wtedy właśnie bardzo zbliżyłem się do niego - imponował mi bowiem swoją pracowitością. Piotr nigdy się nie zgrywał i nie udawał kogoś, kim nie był. Gdy odczuwał ból, bywał szorstki, ale któż z nas czasami taki nie jest? Biorąc pod uwagę skalę i częstotliwość tego bólu oraz fakt, że nie działały nań prawie żadne leki przeciwbólowe, bo organizm już się na nie przez lata męczarni uodpornił, można powiedzieć, że Piotr był dla mnie wzorem cierpliwości. Czasami, nie mogąc spać z bólu, włókł się do mojej celi i budził mnie. Schodziliśmy do

niego i gadaliśmy całymi nocami. Nigdy się nie skarżył, był rzeczywiście bardzo silną osobowością.

I mimo, że również już nie należy do Zakonu, nasza przyjaźń nadal trwa, choć dzieli nas spora odległość. I, jako dowód tej niesamowitej więzi, mogę podać prosty przykład. Gdy jeszcze byłem u Kapucynów i „walczyłem” z moim przełożonym, po odbyciu kolejnej rozmowy z nim usłyszałem, że bycie Bratem Mniejszym, to chyba jednak nie moja droga? Po takich słowach, co rozumiałe, byłem bardzo zły i przybity. Wieczorem Piotr, który wówczas już pozostawał poza Zakonem, gdy tylko usłyszał, w jakim jestem stanie, obiecał, że następnego ranka wsiądzie w pociąg i przyjedzie. Wziął jednodniowy urlop i przybył do Krakowa z Poznania, by pogadać ze mną przez około trzy godziny, po czym udał się w drogę powrotną. Takie rzeczy robi tylko prawdziwy przyjaciel. Naturalnie, z Piotrem łączy mnie największa, choć nie jedyna przyjaźń, zrodzona w klasztorze. Niektóre trwają po dziś dzień, choć są i takie, które kultywować jest o wiele trudniej z racji sporych odległości i utrudnionego kontaktu.

Kapucyni prowincji krakowskiej pracują obecnie nie tylko w Polsce, ale także w takich krajach jak: Austria, Bułgaria, Ukraina, Litwa, Rosja, Włochy, Republika Centralnej Afryki, Czad, a nawet Nikaragua. Jednak jest pewien mocny fundament, który pozwala być wiernym przyjaźniom, zawartym w seminarium, bez względu na odległości i inne problemy. Tym fundamentem jest dla nas wiara. Każdego dnia staram się pamiętać o moich przyjaciółach, bo dał mi ich Chrystus i wiem, że oni również pamiętają o mnie i moich bliskich. Dla mojego Anioła Stróża nawet bariery językowe czy największe

odległości nie stanowią najmniejszych problemów, więc swobodnie mogę go posyłać w sukurs Aniołom, którzy opiekują się moimi przyjaciółmi. Czy to z mojej strony poświęcenie? Ależ skąd! Anioły posiadają wszak dar bilokacji (mogą być w wielu różnych miejscach równocześnie), więc i mój opiekun nie opuszcza mnie ani na moment.



## Zupa fasolowa

***„Nie sądzicie, abyście nie byli sądzeni. Bo takim sądem, jakim sądzicie, i was osądzą; i taką miarą, jaką wy mierzycie, wam odmierzą” (Mt 7, 1-2)***

Wbrew pozorom, nie zamierzam w tym miejscu pisać o sztuce kulinarnej. Fasola w Zakonie odgrywała podobną rolę, jak w historii Wielkiej Brytanii. W skład słynnych angielskich śniadań wchodzi zwykle jajko sadzone, kiełbaski, bekon, fasolka i świeże pieczywo, z czego znane są one chyba w całym świecie i w pewnym stopniu tworzą koloryt tego kraju. Ale - co fasola wniosła do klasztoru? Wytłumaczmy to na przykładzie relacji damsko – męskich. Mówi się, że „każda potwora, znajdzie swego amatora”, co oznacza tyle, że nikt nie jest na tyle gruby, chudy, niski czy wysoki, by nie znaleźć kogoś, kto będzie w stanie go pokochać. Ale miłość to relacja dwóch osób i jeśli jedna nie czuje „mięty”, to nawet, gdyby ta druga stawała na rzęsach, i tak nic nie wskóra – wiem o tym, bo swego czasu byłem specjalistą w dziedzinie „tańca na rzęsach”, choć to już zupełnie inna historia i nie dotyczy mej zakonnej przeszłości. To, że sam dokonam wyboru kandydatki na partnerkę życiową, czy kogoś na mojego przyjaciela - to zbyt mało. Musi nastąpić odpowiedź drugiej strony. Zakon nie różni się w tej materii od wspomnianych relacji. Przystępując do tej wspólnoty, człowiek czuje się jak na randce i stara pokazać z jak najlepszej strony. Zakon, jak każda dziewczyna, musi dokonać wyboru. W praktyce – dokonują go bracia. Określenie, czy ktoś nadaje się do

takiego życia, jest dość trudne. Decyzja należy przede wszystkim do przełożonego, choć i on ma bardzo ograniczone rozeznanie w tej materii. Dlatego z pomocą spieszy mu cała Wspólnota Domowa. Raz w roku odbywa się tzw. wotacja, czyli głosowanie, czy dany kleryk nadaje się do Zakonu, czy też powinien opuścić Wspólnotę. Czy procedura ta jest sprawiedliwa? Cóż, jak każdy sąd człowieka o człowieku, tak i ten system jest z zasady ułomny, jednak skoro sprawdza się od początku istnienia Zakonu Kapucynów, wydaje się, że lepszej formuły nie da się wynaleźć. Pierwotnie, bracia po ślubach wieczystych, nim dopuścili kandydata do złożenia wieczystej profesji, głosowali, czy powinien on pozostać, czy też - odejść. Podczas ceremonii tej używano ziaren fasoli. Każdy wrzucał białe ziarno, co oznaczało pozytywne nastawienie wobec kandydata, albo czarne - co było znakiem, że jego kandydatura winna zostać odrzucona. Obecnie fasoli już się nie używa, jednak tradycja wotacji jest nadal podtrzymywana, a sama procedura ma miejsce częściej, niż jeden raz w przypadku każdego spośród braci. Najpierw wspólnota studentów głosuje nad poszczególnymi klerykami, a gdy rozpoczyna się piąty rok studiów i – jednocześnie - przygotowanie do złożenia ślubów wieczystych, głos na temat wszystkich kandydatów zabierają starsi bracia ze Wspólnoty Domowej. Ja do ostatniej wotacji nie dotrwałem, dwukrotnie jednak (na drugim i trzecim roku) przeżywałem jej „kleryckie” wydanie. Przełożony, mający z niektórymi braćmi czasami kontakt bardzo ograniczony, opierał się na opinii pozostałej części studentów na ich temat. Każdy pisał, czy jest za tym, by brat „X” pozostał we Wspólnocie, czy nie. Na określenie swego stanowiska mógł

użyć jednego spośród czterech sformułowań: „Tak”, „Raczej tak”, „Raczej nie” albo - „Nie”. Odpowiedzi „Tak” i „Nie”, wymagały dodatkowego uzasadnienia. Następnie, wychowawca sumował wszystkie głosy, zaś wyniki wraz z uzasadnieniami przedstawiał zainteresowanemu podczas indywidualnej rozmowy. Byś miał, drogi Czytelniku, pewne wyobrażenie o tym, jak brzmiały czasem argumenty braci, podam kilka szczegółów z wotacji, które przeszedłem, i opinii, napisanych na mój temat. Podczas wotacji na drugim roku o mojej osobie wypowiedziało się w sumie 67 braci. Za kontynuowaniem przeze mnie życia Zakonnego głosowało 51, „raczej tak” odpowiedziało 12, „raczej nie” – 3. Jeden z braci zdecydowanie sprzeciwił się mojej obecności w Zakonie. Bracia uważali mnie za otwartego i obdarzonego poczuciem humoru człowieka, choć niektórzy zarzucali mi zbytnią impulsywność, hałaśliwość czy brak kurtuazji w rozmowach z innymi.

Rok później sytuacja nieco się zmieniła. Moją kandydaturę na zakonnika wsparło 39 braci, „raczej tak” odpowiedziało 11, jedna osoba stwierdziła, że w Zakonie pozostać raczej nie powinienem. Jednak podczas tej wotacji rozbieżność opinii na temat mojej osoby była zdecydowanie większa. Ktoś zarzucił mi, że mam zapędy na „cwaniaka”, że często zajmuję się rzeczami mało istotnymi i że jestem zbyt nerwowy. Pozytywy pozostały bez zmian. Po podsumowaniu, każdy otrzymywał na pamiątkę kartkę z wynikami. Trzeba powiedzieć, że głosowanie przebiegało w trybie tajnym, stąd zawsze istniało prawdopodobieństwo, że ktoś może innym „przyprawić gębę”. Nie lubiłem wymieniać czyichś wad, bo sam sporo ich w kolekcji posiadam. Skoro mój przełożony przez trzy lata z rzędu mówił mi, żebym przemyślał, czy Zakon to moja droga, jak sam mogę oceniać, czy ktoś inny nadaje się do

Wspólnoty, czy nie? Nie traktujcie jednak wotacji jak odpowiednika dzisiejszych programów typu „Bar” - tam wszystko to gra i prowokacja, a celem jest zdobycie pieniędzy. Tutaj chodziło o dobro Zakonu, ale też i dobro samych kandydatów. Łatwo pozwolić komuś przystąpić do ślubów wieczystych, problemy pojawiają się później. Owszem, i tak niektórzy bracia odchodzili z naszej Wspólnoty już po złożeniu ślubów lub po przyjęciu święceń kapłańskich, były to jednak sporadyczne przypadki i nawet nie można tu mówić o jakiejś patologii. Wierzę, że skoro jakiś brat dotrwał do końca i oddał się w sposób całkowicie wolny Bogu, to jest do tego powołany. Bóg nie odstawia bubli, w tej dziedzinie specjalistą jest człowiek.

Największym problemem nie jest w Zakonie samotność, brak pieniędzy, ubóstwo, niemożność decydowania o sobie, czy w końcu - brak perspektyw. Problem zaczyna się od rzeczy małej – nie odmówię dziś modlitwy jednej czy drugiej, a za tydzień - nie pomodłę się wcale. Największą siłą zakonnika czy kapłana nie jest potencjał naukowy i zdobyte tytuły, choć również i one mają ogromną wartość. Aka osoba jest całkowite oddanie się Bogu. To On jest siłą tych, którzy Mu służą. Doskonale ujął to Jan XXIII („Papież Uśmiechu”), który stwierdził, że nigdy człowiek nie jest tak wielki, jak wtedy, gdy klęczy. Duchownym, który może najwięcej powiedzieć o Bogu, jest ten, który najwięcej z Nim rozmawia. Potwierdza się stare przysłowie Indian, którzy zwykli mawiać: „Biali mówią nam o Bogu, a my z Nim rozmawiamy”.

Nie wątpię, że opisane wcześniej głosowania pomagały przełożonym w podjęciu decyzji o podziękowaniu komuś za pobyt w Zakonie. Jednak ufam,

że wszystko to odbywało się wyłącznie dla dobra naszego i całej Wspólnoty. Sytuacje, gdy ktoś musiał opuścić Zakon, nie były pozbawione bólu. Nie jest miło patrzeć, jak serdeczny przyjaciel pakuje się i za chwilę opuści Wspólnotę na zawsze. Bólowi temu dawaliśmy ujście w sposób bardzo różny - od cichych szemrań w wąskim gronie, aż po manifesty spisywane na papierze.

Raz nawet sprawa przybrała niebezpieczny obrót, gdy klasztor musiał opuścić mój dobry przyjaciel. Napisałem wtedy swoisty „Dekalog przetrwania”, który miał pokazać, jak należy się zachowywać, by nie być „wyproszonym” z grona kapucyńskiego. Napisałem go w tajemnicy – tylko dla siebie, aby osłabić ból. Mój współlokator przeczytał go jednak i poprosił o możliwość skopiowania. Pochopnie wyraziłem zgodę i już następnego dnia mój dekalog krążył po klasztorze, docierając w końcu również do wychowawców. Podczas tzw. kwadransu (po sobotnim obiedzie, gdy ustalano, jak będzie wyglądał kolejny tydzień), o. Tadeusz Starzec stwierdził, że osoba, która napisała ten tekst, po-winna opuścić nasz dom. Cały klasztor aż huczał od plotek, wszyscy stawiali hipotezy, dotyczące tożsamości autora „kapucyńskiego dekalogu”. Cóż, pozostawało mi liczyć na dyskrecję sublokatora. A cóż takiego wzburzyło pozostałych braci? Może przytoczę tekst w całości, by każdy sam mógł się do niego odnieść.

### **DEKALOG PRZETRWANIA**

- Zachowywać się tak, jak tego chcą inni.
- Mówić to, co chcą usłyszeć inni.
- Ubierać się tak, aby Cię nie widzieli inni.

- Nie angażować się.
- Nie pokazywać, że się coś potrafi.
- Nie zabierać głosu.
- Zrezygnować z zainteresowań.
- Nie zostawać w tyle, ale i nie wychylać się do przodu.
- Uśmiechać się do właściwych osób.
- Nie zadawać się z tymi, o których się wiele mówi.

Czy w tym „dekalogu” zawarłem poglądy, za które powinienem zostać wyrzucony? Może będę nieskromny, ale takie teksty raczej po prostu nie mogły przypaść do gustu przełożonym. Tak, za takie coś można było wylecieć. Dziś ówczesny bunt mnie bawi, ale wtedy byłem naprawdę wściekły i musiało upłynąć sporo czasu, bym zmienił zdanie. Pomógł mi w tym bardzo pewien przykry wypadek. W Zakonie przebywał pewien brat, który starał się o przyjaźń grupy, do której i ja należałem. Rocznik, do którego należał, nie akceptował bowiem niektórych jego zagrywek i zachowań. Starał się nam bardzo przymilać i kreował się na ofiarę niesprawiedliwych szykan i prześladowań. Przygarnęliśmy go z otwartymi rękami, po czym doszło do tego, że gdy mój wychowawca powiedział mu, iż powinien odejść, ten oszukał nas, zmyślając na poczekaniu bardzo przejmującą historię, w której on grał dobrego, a cały świat był zły i chciał jego nieszczęścia. Niestety, uwierzyliśmy mu! Udaliśmy się do o. Jacka, protestując przeciwko takiemu postępowaniu. Nasz przełożony zdania nie zmienił, ale przyjął naszą krytykę w milczeniu. Widzia-

łem nawet podczas rozmowy z nim, jak bardzo jest zmęczony i strapiony zaistniałą sytuacją. Wydało mi się to dziwne, ale sądziłem, że po prostu nie był pewny słuszności swej decyzji. Wyrzuciłem więc z siebie całe wiadro obelg pod jego adresem, lecz nasz przełożony nawet nie odpowiedział. Dopiero po odejściu naszego „męczennika” okazało się, że oszukał wszystkich, a pozorowane zmęczenie o. Jacka nie było wynikiem niezdecydowania, ale lojalności wobec tego, który nas oszukiwał. Nasz wychowawca do końca zachował dyskrecję i nie chciał zdradzić przyczyn odejścia współbrata, skoro on sam ich nie ujawnił. A przyczyna, dla której tamten musiał opuścić naszą Wspólnotę, była naprawdę wielkiej wagi.

Ta przygoda uzmysłowiła mi, że nie znam kulis odejścia żadnego spośród braci i nie powinienem jednoznacznie osądzać, czy decyzje przełożonych były słuszne, czy nie. Jedno wiem na pewno - za żadne skarby świata nie chciałbym być na miejscu wychowawców, którzy, często krytykowani przez innych, muszą rozeznaczyć, czy poszczególni klerycy mają prawo być dopuszczonymi do kapłaństwa. To wielka odpowiedzialność i tylko ten, kto musiał owo brzemie nosić, może zrozumieć, jak wielki to ciężar. A czy ja widziałem kogoś w roli kapłana, pozostaje sprawą drugorzędną. Czasami było mi naprawdę przykro, że ktoś odszedł, ale jeśli łączą nas autentyczne więzi braterskie, to życie poza Zakonem w niczym nie przeszkadza. Fakt, że wielu byłych seminarzystów i zakonników różnie znosi odejście z „firmy” – tak to określaliśmy. Są tacy, którzy mają poczucie żalu i noszą go w sobie przez długi czas. To trochę jak wirus, który atakuje komputer i paraliżuje go stopniowo. Właśnie przez ten ból wielu „eksów”, odchodząc z klasztoru, odchodzi

często nawet od Kościoła, co zresztą potwierdza tylko słuszność decyzji ich przełożonych. Ale bywają i tacy, którzy po początkowym załamaniu, odnajdują się i realizują, często w pracy na rzecz Ewangelizacji. Wiem jedno: nikt, kto odszedł, nie musiał zrywać więzi ze Wspólnotą. Zawsze mógł braci odwiedzić, by spotkać się z nimi, czy nawet prosić o pomoc. I jeśli istniała taka możliwość, zwykle jej mu udzielano.



## Spotkania Młodych i tym podobne

***„Młodzieńców również upominaj, ażeby byli umiarkowani: we wszystkim dawaj wzór dobrych uczynków własnym postępowaniem, w nauczaniu okazuj prawość, powagę, mową zdrową, nienaganną, żeby przeciwnik ustąpił ze wstydem, nie mogąc nic złego o nas powiedzieć” (Tt 2, 6-8)***

Po czym poznać dzieło Boga? Ewangelieści stwierdzają, że po owocach. Nie może złe drzewo, rodić dobrych owoców, ani dobre - złych (por. Mt 7, 17-18). Znamy ten fragment na pamięć, ale rzadko zastanawiamy się, co naprawdę znaczą cytowane słowa. A nigdy nie straciły one na swej aktualności. Dane mi było śledzić od samego początku jedno z dzieł naprawdę wielkich. Ale nim o tym opowiem, warto napisać słów kilka o działalności Kościoła. W swym przepowiadaniu Dobrej Nowiny ludzie wierzący powinni uwzględnić zmiany, zaistniałe w świecie. Nie chodzi tu o odejście od doktryny wiary, ale o dostosowanie jej przekazu do zdolności odbiorczych kolejnych pokoleń. Nie da się ukryć, a potwierdzają to różne badania, że zdecydowana większość z nas to tzw. „wzrokowcy”. I Kościół uwzględnił ten fakt w sposobie nauczania. O Jezusie mówią dziś nadruki na koszulkach, długopisach czy breloczkach. Organizuje się wielkie imprezy, na które ściągają czasami wielkie tłumy młodych ludzi, gdy wszyscy bawią się, śpiewają, eksponują symbole, podkreślające ich tożsamość. Najbardziej znaną imprezą tego typu jest nocne czuwanie w Lednicy, które gromadzi co roku ponad 100 tys. młodzieży.

Kapucyni może nie zasłynęli z imprez aż tak wielkich, ale i na tym polu mają swe zasługi. O. Józef Mizera, który szczególnie poświęcał się młodzieży, postanowił zorganizować Spotkania Młodych. Jako prowincjał (najwyższy przełożony w Polsce) miał możliwość przevorsowania tego pomysłu, wybrał więc jako miejsce imprezy nieduże miasto Wołczyn, nieopodal Kluczborka. Była to trafna decyzja, gdyż Kapucyni sprawują opiekę duszpasterską nad całym miastem i mają do swej dyspozycji dwa kościoły w samym centrum. Mieszkańcy są dziś w zdecydowanej większości bardzo otwarci i przychylni młodzieży, choć początki były różne. Nie można się zresztą dziwić, bo pomysł Spotkania Młodych zaczął być realizowany w czasach jedynej masowej imprezy, skierowanej do młodzieży - Festiwalu w Jarocinie. To raczej nie nastrojało mieszkańców Wołczyna przychylnie wobec tego typu inicjatywy.

Pamiętam, jak pewnego dnia podczas spotkania wychowawców z klerykami, wszedł o. Józef i powiedział, że ma ochotę zorganizować taką imprezę, ale ma wielkie problemy kadrowe. Poprosił nas o pomoc. Wiedział, że większość z nas trafiła do klasztoru w wyniku jego działalności w referacie powołaniowym, więc słusznie przypuszczał, że pomysł ten zyska nasze poparcie. Zgłosiła się spora grupa braci i, jak łatwo zgadnąć, byłem wśród nich i ja. Dwóch braci zostało mianowanych na pomocników o. Józefa i mieli oni przygotować cały plan Spotkania, po czym podzielić kleryków na grupy „do zadań specjalnych”. Byli to Józef Knapik i Marian Michniak. Mnie uczyniono szefem pola namiotowego nr 1. Nie bardzo wiedziałem wprawdzie, jakież obowiązki na mnie spadną, ale wystarczyło mi, że będę szefem - to nieźle

brzmiało. Wyobraźcie sobie, że ktoś mnie pyta, co robię na imprezie, a ja odpowiadam, że jestem **szefem**... Robi wrażenie, prawda?

Pamiętam, że kiedyś jeden z braci został mianowany szefem grupy sanitarnej i mylnie zinterpretował przyjęcie tej funkcji jako wzięcie odpowiedzialności za punkt medyczny. Był totalnie załamany, gdy wyjaśniono mu, że będzie odpowiadał za sanitariaty. Naturalnie, taka praca również była konieczna, ale są stanowiska, które bardziej nam odpowiadają, niż inne. Faktem jest, że przez dłuższy czas nie mógł tego zaakceptować. Dopiero na miejscu pogodził się z tym i wypełnił rewelacyjnie swe obowiązki.

Co więc robić miał szef pola namiotowego? Przed samym Spotkaniem - niewiele. Przydzielono mi kilku braci, których podzieliłem na trzy zmiany. Musieliśmy pełnić dyżury przez całą dobę. Pomóc nam mieli miejscowi świeccy, którzy znali cały teren i wiedzieli, kto mógłby zakłócić naszą imprezę. Zamieszanie zaczęło się pierwszego dnia Spotkania. Przyjechały prawie 2 tysiące ludzi z całej Polski, ja zaś nigdy wcześniej nie rozstawiałem samodzielnie nawet namiotu, cóż więc dopiero mówić rozlokowaniu całego pola namiotowego? Trzeba było uwzględnić przejazd dla karetki pogotowia czy samochodów dostarczających posiłki dla młodzieży, zaplanować przejścia między poszczególnymi rzędami namiotów czy nadzorować instalację oświetlenia i umywalk w obrębie pola. Na szczęście dla mnie, w klasztorze działała bardzo silna ekipa ZHR, z której bracia chętnie pomogli mi w pracy nad kształtem pola nr 1. Gdy młodzież już się rozlokowała, dyżurni rozpoczęli swe urzędowanie, by pod nieobecność naszych gości nikt spośród nich nie

musiał się martwić o pozostawione “w bazie” bagaże. Sam dyżurowałem przy namiotach od rana do wieczora, jak również podczas przypadających na mnie “nocnych wart”. Bardzo lubiłem siedzieć na ławce w cieniu i obserwować ciche pole namiotowe, gdy uczestnicy udawali się do amfiteatru na konferencje czy koncerty. Podczas jednego z takich dyżurów, już pod koniec Spotkania, podjechał do mnie na rowerze pewien starszy pan, który opowiedział mi o swoich obawach przed najazdem młodych. Zrobił zapasy żywności, zabił deskami okna swojej ogrodowej altanki, w obawie przed włamaniami i bał się przez pierwszy dzień wychodzić z domu, by nie być zaczepianym czy pobitym. Uśmiechnął się pod nosem na wspomnienie tamtych chwil i powiedział, że to jakaś dziwna młodzież, bo w telewizji mówią o nich straszne rzeczy, tu zaś widzi uprzejmych młodych ludzi, którzy często z uśmiechem go pozdrawiają. Nie ma napaści na sklepy, a najbardziej rozczulił go pewien chłopak, który podszedł do furtki ogrodowej i zapytał, czy mógłby dostać jakiś kwiatek dla swojej dziewczyny. Starszy człowiek zakończył tak: „I widzisz, braciszku, mógł ukraść, kiedy nikogo nie było na działce, ale zapytał, czy może zerwać. I jak tu takiemu zabronić? Niech sobie chłopak zrywa i dziewczuchę ucieszy”.

Co do młodzieży, to rzeczywiście w Wołczynie zjawili się ludzie, którzy w znakomitej większości naprawdę chcieli poznać Boga. Naturalnie, wśród nich byli i tacy, którzy przyjechali tylko na koncerty czy dlatego, że rozdawano za darmo zupę w porze obiadowej. Mimo, że bracia prosili, by nie korzystać z okazji, by używać alkoholu, czy spędzać koedukacyjne wieczorki we

wspólnym śpieworze, to nie brakowało osób, które próbowały złamać prawa, ustanowione podczas Spotkania. Niestety, wielu nie chciało podporządkować się regulaminowi, musieliśmy więc podziękować im za pobyt u nas i rozstawaliśmy się ze smutkiem.

Jak do tej pory, „zaliczyłem” wszystkie Spotkania i muszę przyznać, że zawsze najbardziej wzruszały mnie przypadki pojednania się z Bogiem młodych ludzi, którzy przez wiele lat żyli z dala od Kościoła. Kapłani czasami spowiadali od świtu aż do późnych godzin nocnych, bo młodzież ustawiała się w długich kolejkach. Trzeba tu podkreślić, że Kapucyni wyznaczali do posługi podczas Spotkania takich kapłanów, którzy kochali młodzież i mieli dla niej wiele cierpliwości i wyrozumiałości.

Zapraszano z konferencjami wiele znanych i ciekawych postaci, wśród których były takie sławy jak: A. Wajda, J. Ochojska, ks. A. Nowak, W. Cejrowski, o. Leon Knabit, zespoły Armia, NewLife Music czy Pod



Budą... A wszystko po to, by młodzi mogli usłyszeć nie tylko o Bogu, ale i o innych wartościach, wyznawanych przez dojrzałe osobowości. Podczas tych Spotkań był czas na modlitwę, zabawę i rozmowy. Staraliśmy się uwzględnić wszelkie potrzeby młodych, by mogli ten czas wykorzystać maksymalnie i z jak największą korzyścią.

Mój udział w tej imprezie nie ograniczał się jednak wyłącznie do urządzania pola namiotowego, bo przed drugim Spotkaniem wraz z Krzysztofem Czeczko zostaliśmy mianowani “szefami programowymi”. Ustalaliśmy, jak będzie wyglądał przebieg imprezy, konsultując nasze plany z jednym spośród braci wieczystych, który określał, czy stać nas na takie koszty, czy musimy z czegoś zrezygnować. Jeśli odpowiedź była pozytywna, przystępowaliśmy do działania i zapraszaliśmy gości.

Biorąc pod uwagę owoce tych Spotkań, można śmiało powiedzieć, że Pan temu dziełu błogostawił. Często młodzi twierdzili, że przyjeżdżają do Wołczyna, aby “naładować swoje duchowe akumulatory” i po powrocie łatwiej znosić trudny dnia powszedniego. I mimo, że od początku byłem zaangażowany w organizację Spotkań, to jednak i ja bardzo wiele skorzystałem na pobycie wśród tej rzeszy młodych ludzi, tak bardzo otwartych na Boga.

Naturalnie, Kapucyni nie ograniczali się w swej działalności do organizowania Spotkania Młodych w Wołczynie. To tylko jedna z wielu propozycji, przedstawianych młodzieży. Wakacje to szczególnie “gorący” okres, jeśli chodzi o różnego rodzaju rekolekcje, pielgrzymki i inne formy pracy duszpasterskiej. Klerycy zaś są dość tanim w utrzymaniu (zje byle co i byle gdzie) i skutecznym środkiem ewangelizacji. Dlatego kapłani z całej prowincji prosili, by na okres wakacji “wypożyczać” kilku do pomocy. Przełożeni chętnie na to pozwalali, ponieważ krakowski dom mógł wówczas zaoszczędzić nieco na

wyżywieniu. Każdy kleryk miał swój wakacyjny “grafik”, w którym rozpisano z dokładnością do jednego dnia, gdzie w danym momencie będzie przebywał. Przewidywał on 21 dni urlopu domowego, średnio dwa tygodnie pobytu w Krakowie, reszta czasu zaś podzielona na wyjazdy duszpasterskie. Należałem do grupy braci, którzy preferowali piesze wycieczki, dlatego też zgłosiłem się na pielgrzymkę. Z racji doskonałych relacji z Rafałem Szymkowiakiem, co roku wędrowaliśmy wraz z grupą (żółtą-trójką-żółtą, ze Śremu) w pielgrzymce poznańskiej. Szefem tej grupy był wtedy ks. Konrad Jędrzejczak, nasz serdeczny przyjaciel. Grupa nasza była zawsze rozśpiewana, radosna i bardzo liczna. Poznałem ludzi, którzy kilkanaście, a nawet - kilkadziesiąt razy pielgrzymowali na Jasną Górę. Można ich nazwać weteranami pielgrzymich szlaków. Nasza praca nie była skomplikowana. Mieliśmy pocieszać zmęczonych, rozweselać zasmuconych, wspierać wyczerpanych, zachęcać do modlitwy i rozmawiać z tymi, którzy mieli potrzebę wygadania się. Ludzie z grupy odpłacali nam ogromną życzliwością i “dokarmianiem” podczas każdego postoju. Jako przedstawiciele zakonu żebraczego, tam, gdzie rozpoczynano ucztę, staraliśmy się być obecni. Jeśli ktoś chciał nas podczas postoju przyciągnąć do siebie, wystarczyło, że zaszeleścił papierkiem, a my zjawialiśmy się jak na zawołanie. Gdy docieraliśmy do Częstochowy, byłem szczupły jak panowie ze zdjęć w katalogach mody. Na miejscu zaś witali nas mieszkańcy Śremu, którzy z wałów jasnogórskich wykrzykiwali na naszą cześć radosne okrzyki. W tej rzeszy byli i rodzice Rafała, gdzie zaś jego mama, tam była w planie uczta. Po pozdrowieniu Matki Bożej w kaplicy obrazu, witaliśmy się z najbliższymi. Rodzice Rafała od samego początku traktowali mnie jak swojego syna, więc nie zapomnieli i o mnie. Siadaliśmy obok autokaru, którym

przyjechali z Wielkopolski i mama wykladała przed nami różnorakie wspomnienia, w tym najlepszy sernik, jakiego dane mi było w życiu skosztować, kusząco nazywany „chatką Baby Jagi”. Mógłbym godzinami opowiadać o tej wspomnieniu sztuki cukierniczej, ale nie wspomnienia kulinarne są tematem tej historii, powiem więc tylko tyle, że wśród wszystkich gatunków sernika, jakie znam, ten jest jak BMW wśród samochodów.

Podczas ostatniej pielgrzymki udało mi się jednak zachować nieco niezręcznie. Idąc z Rafałem do autobusu, przy którym czekała na nas jego mama, straciłem go z oczu i, wśród tych tysięcy ludzi, zabłą-



dziłem. Nim jednak się zorientowałem, o co chodzi, jakaś grupka ludzi, zjadających różne wspomnienia, zaczepiła mnie i pozdrowiła, pytając, jak się czuję po pielgrzymce? Pomyślałem, że to ktoś z naszej grupy, więc dołączyłem do posiłku. Minęło sporo czasu, nim znalazł mnie Rafał i powiedział, że oni na mnie czekają. Wtedy zorientowałem się, że moi dobrodzieje, nie mają bynajmniej plaketek i chust z żółtą trójką, więc nie należą do mojej grupy. Nie pozostało nic innego, jak tylko uroczoko podziękować za miłe przyjęcie, zgarnąć na drogę kotlet i udać się z Rafałem.



Nie chciałbym, aby ktoś pomyślał, że tylko jedzenie mi w głowie. Pielgrzymka to bardzo intymna sprawa. Każdy oprócz małego bagażu podręcznego niesie również bagaż różnych doświadczeń i próśb, które pragnie przedstawić Bogu za wstawiennictwem Matki Jezusa. Często ludzie ujawniali mi ich historie życiowe, lecz nie wypada, abym tu o tym pisał. Czasami owych rozmów było tak wiele, że organizm tego nie wytrzymał. Podczas jednego z odcinków od samego początku, aż do kresu, podchodzili do mnie ludzie, aby porozmawiać. Od dzieciaków, po ludzi starszych. Nawet na postojach nie przerywałem rozmowy i w efekcie, gdy dotarliśmy do kresu tego etapu, byłem tak wyczerpany, że usiadłem w fotelu i zasnąłem. Niby nic dziwnego, ale w tym samym pokoju ulokowano kilkanaście osób, które do późna śpiewały z Rafałem i rozmawiały dosyć głośno. Ja nic nie pamiętam. Do samego rana spałem w fotelu. Najgorsze było zmęczenie psychiczne, bo siły fizyczne dość szybko się regenerują. Potęgowało się ono tym bardziej, że ja jako kleryk, może bardzo chciałem pomóc tym ludziom w ich problemach, ale nie wiedziałem jak to zrobić. Dopiero ksiądz Konrad pomógł mi w tej dziedzinie i od tamtej pory lepiej sobie radziłem z takimi sytuacjami, a co za tym idzie, mogłem bardziej owocnie służyć innym.

## Do źródeł

***„Kto czci ojca, zyskuje odpuszczenie grzechów, a kto szanuje matkę,  
jakby skarby gromadził” (Syr 3, 3-4)***

Człowiek bez korzeni jest jak chore drzewo, które najprawdopodobniej upadnie przy większym podmuchu wiatru. Ważne jest nie tylko to, dokąd zmierzamy, ale i - skąd wyszliśmy. Ale znam lepsze porównanie. Ktoś powiedział mi, że jesteśmy niczym statek. Nasz dom rodzinny to port macierzysty i to, co z niego wynosimy, jest odpowiednikiem ładunku: wychowanie, kultura, doświadczenia życiowe itp. Są tacy, którzy domu rodzinnego nie wspominają dobrze i jeśli tylko mogą, próbują uniknąć powrotów czy nawet odwiedzin. Sam zawsze lubiłem odwiedzać moje stare kąty, bo - mimo oczywistych trudności, jakie napotyka każda rodzina - bardzo dużo z domu wyniosłem. Każda moja wizyta u rodziców była wielkim wydarzeniem. Jednak najbardziej utkwiła mi w pamięci pierwsza, po półtorarocznym pobycie w klasztorze. Wyjechałem w drugi dzień Świąt Bożego Narodzenia i byłem z najbliższymi aż do uroczystości Objawienia Pańskiego. I mimo, że pochodzę z najbrudniejszej części Polski, ze Śląska, cieszyłem się, widząc kominy, szyby górnicze i szare, zaniedbane blokowiska. Wiedziałem, że jestem po prostu u siebie. Nie zwracałem nawet uwagi na to, że ludzie patrzą na mnie jak na przedstawiciela obcej cywilizacji. Habit kapucyński na Śląsku nie był

raczej codziennym widokiem. Już na dworcu kolejowym ktoś mnie zaczepił i zapytał, czy jestem wyznawcą Kriszny? Jakieś dzieciaki rzuciły w moim kierunku kamieniem, ale poza tym - wszystko było idealnie. To mój dom! Już pierwszego dnia rozdzwonił się telefon i otrzymałem tyle zaproszeń, że do końca seminarium nie zdążyłbym ich zrealizować. Niezbyt dobrze się czuję, gdy jestem w centrum uwagi, ale byłem tylko kilka dni w Bytomiu, więc groźba, że woda sodowa uderzy mi do głowy nie była szczególnie realna. Najwięcej radości z całej sytuacji czerpali moi rodzice, którzy po raz drugi zetknęli się z dość oryginalnymi „mundurami”. Najpierw mój starszy brat, który służył w marynarce wojennej, przyjeżdżał w stroju marynarskim, a później ja - w habicie i pelerynie. Na szczęście, dbanie o habit jest o wiele łatwiejsze niż o mundur. W końcu ma on najprostszy krój, bo przypomina po rozłożeniu krzyż, a i materiał nie jest szczególnie wyszukany. W przypadku habitu nie chodzi o wygląd, tylko o symbol.

W Anglii mawiają, że rzadki gość, to dobry gość. Potwierdzam to z całą stanowczością. Każdy był dla mnie wyjątkowo miły i nawet ludzie, których wcześniej nie znałem najlepiej, okazali mi serdeczność i otwartość. Jednak, gdy dziecko opuści swoje pielesze, pragnie się usamodzielnic i szybko odzwyczajają się od atmosfery rodzinnego domu. Zauważyłem, że brakuje mi braci, stylu życia i atmosfery klasztoru. Tu wszystko wydawało mi się schematyczne i przewidywalne, gdy w klasztorze życie jest zupełnie inne. Wizyty w domu rodzinnym uzmysłowiły mi podstawową rzecz. Mimo, że nie wiedziałem do końca, czy Zakon to moje powołanie, czy nie, odkryłem, że opuściłem już gniazdo i nauczyłem się samodzielnie latać. To wspaniałe uczucie! Kto zakosztował raz tej swobody, chyba już nigdy nie będzie w stanie wrócić do

przeszłości. Dla rodziców zawsze będę dzieckiem (nieważne, ile “stuknie” mi lat), natomiast w Seminarium każdego dnia musiałem podejmować samodzielne i ważne decyzje, bez konsultacji z rodzicami. Oni jednak dobrze mnie do tego przygotowali. Nigdy nie bałem się momentu, gdy będę zmuszony decydować o sobie czy innych. Przekazali mi bowiem pewien kręgosłup moralny i uczyli, żebym nie dał go sobie złamać – tak chciałem postępować.

Czy moim rodzicom łatwo było się pogodzić z myślą o tym, że jestem w Zakonie? Raczej - nie. Tak reagowała zresztą większość rodziców współbraci z mojego roku. Chodzili do Kościoła, przyjmowali Sakramenty, ale gdy Pan upomniał się o coś większego, często napotykał na opór. Moi rodzice i tak mieli ułatwione zadanie, bo mój starszy brat spełnił ich rodzicielskie aspiracje, założył rodzinę, był wiernym i odpowiedzialnym ojcem, czyniąc z nich babcinę i dziadka. Po mnie wnuków raczej nie mogli się spodziewać. Cóż więc dopiero powiedzieć o rodzicach mojego przełożonego, o Jacka? Cała trójka ich dzieci wstąpiła do zakonów. Córka i dwóch synów – to dopiero szok! Rodzic ich zaś, po początkowych problemach z zaakceptowaniem tych decyzji, byli i są dumni, bo czyż dzieci nie wyrosły na porządnych ludzi?

## Co zatem się stało?

*„Bo wielu jest powołanych, lecz mało wybranych” (Mt 22, 14)*

Skoro było tak dobrze, to dlaczego wystąpiłem? Na pewno nie z jednego, konkretnego powodu, na przykład: nie lubiłem brązu, kaptury były zbyt długie, bracia - źli, przeżyłem romans wakacyjny, czy zupa była zbyt słona... Decyzja ta dojrzewała we mnie przez kilka lat. Mimo, że początkowo nawet myśli o niej zwalczałem bardzo radykalnie, to jednak wciąż gdzieś w podświadomości czułem niepewność. Mogłem przez tych kilka lat zwiedzić prawie wszystkie placówki, do których mogłem być później skierowany jako kapłan i w każdej przeprowadzałem pewien test. Otóż - siadałem wieczorem na ławce w ogrodzie i, patrząc na kościół i dom, pytałem sam siebie: Czy ja chcę tu żyć, pracować i w końcu - umrzeć? Za wyjątkiem dotyczącej klasztoru w Sędziszowie, odpowiedzi zawsze były negatywne. Jasne - mogłem zostać, ale skoro nie czułem się tam dobrze, groziło mi, że kiedyś poznam jakąś kuszącą przedstawicielkę płci piękniejszej i porzucę habit. Zawsze chciałem być uczciwy wobec tych, którym coś obiecuję, a tu nie miałem ochoty żyć zgodnie z wytycznymi, zapisanymi w Regule Św. Franciszka. Święcenia kapłańskie to wielki dar i przeżycie, ale też ogromna odpowiedzialność. Goście, torty, zdjęcia, msze prymicyjne, życzenia, laurki, uściski... Ale - co dalej? Później fajerwerki się kończą, pozostaje zaś zwykły, szary dzień, gdy trzeba wcześniej wstać, znosić humory innych starych kawalerów, słuchać o najciemniejszych stronach ludzkiego życia w konfesjonale, głosić kazania i nimi żyć. Wiedzia-

łem, że jest we mnie zbyt mało autentyzmu. Bardzo szybko bym się “wypalił” i pozostałaby tylko duchowa próżnia, która - nie zapełniona miłością Bożą – mogła zostać przelana na osoby i przedmioty, nie mające z Zakonem czy nawet - Bogiem wiele wspólnego. Zresztą – całą tę gadaninę można streścić stwierdzeniem, że za mało się modliłem, a zakonnik czy ksiądz, który się nie modli, nie może niczego zaoferować światu, zaś wszystkie swoje tytuły naukowe może wykorzystać jako podpałkę do pieca.

Wcześniej wspomniałem o pewnej chorobie, która zmusiła mnie do ponad siedemdziesięciu dni przebywania w celi, a która bardzo zmieniła moje nastawienie do przełożonego. Od tego przełomu zacząłem bardzo pilnie wsluchiwać się w głos Pana. Rozmawiałem bardzo dużo z kierownikiem duchowym i spowiednikiem. Widziałem ogromne zmiany, zmiany na lepsze. Byłem bardziej spokojny i otwarty na natchnienia płynące z góry. Cokolwiek robiłem, wciąż zanosilem pytanie do Nieba: “Panie, jakie jest Twoje zadanie dla mnie?” Gdy zbliżało się lato 1996 roku, byłem już w 70 procentach gotowy opuścić klasztor. Przełom nastąpił podczas wakacji. Pojechałem na rekolekcje Oazy Rodzin i miałem pełnić tam obowiązki opiekuna dzieci. O dzieciach wiedziałem tyle, co o hodowli pantofelków, ale podjąłem się tej misji, tym bardziej, że głównym animatorem tych rekolekcji był Staszek Mański, który zawsze potrafił doskonale diagnozować niektóre stany ducha. Podczas tych kilku tygodni, poznałem kilka fantastycznych rodzin, które - borykając się z różnymi trudnościami - miały czas na wspólną modlitwę, czytanie Słowa Bożego i zwyczajną, ludzką rozmowę. Bardzo mi zaimponowali. Cztery rodziny

szczególnie serdecznie mnie przyjęły: Edek i Basia Watóła - animatorzy, Adam i Teresa Nalewajek, Staszek i Ela Dragon oraz Janusz i Beata Lewandowscy. Ich drogi do Boga były zupełnie różne, ale mieli wspólny cel - być jak najbliżej Jezusa.

Pewnego dnia przy kolacji rozmawiałem z Januszem i Beatą. Zapytali mnie, co sądzę o wydarzeniach w Medjugorie? Odpowiedziałem, że interesuję się tym od wielu lat i kiedyś, jeśli będę miał możliwość, wybiorę się tam. Janusz, jako człowiek bardzo energiczny, od razu palnął, że w takim razie oni „zasponsorują” mi wyjazd. Po pierwszym szoku stwierdziłem, że to ciekawa propozycja i chyba warto spróbować. Ale nie od razu wyraziłem zgodę, bo postanowiłem jeszcze modlić się o wskazówkę podczas nabożeństwa wieczornego. Prosiłem Pana o światło, a tu - jak na złość - ciemny tunel i ani widu, ani słyhu głosu z Nieba. Zasmucony tym faktem, wyszedłem na korytarz i już miałem zamiar udać się na spoczynek, gdy nagle z kaplicy wybiegł pewien człowiek, wołający w moim kierunku takie słowa:

- Adam! Wiesz, podczas modlitwy usłyszałem wewnętrzny głos, który nakazał, bym Ci coś przekazał. Chcesz tego wysłuchać?

Nie jestem łatwowierny, szczególnie trudno mi ufać różnego rodzaju głosom i objawieniom, choć sam odczuwam bardzo często wewnętrzny imperatyw. Jednak mówi on najczęściej: „Zjadłbym coś!”, a taki sygnał zawsze jest wystarczająco klarowny i godny zaufania. Jednak, by nie wyjść na barbarzyńcę, zgodziłem się wysłuchać „orędzia do Adama”. Tadeusz uśmiechnął się - kurczę, on chyba wiedział, o czym myślałem - i powiedział:

- Usłyszałem takie słowa: “Idź do Adama i powiedz mu, by starał się o ten wyjazd”.

Gdybym zobaczył ducha, na pewno wyglądałbym mniej głupkowato, niż wtedy. Tadeusz dodał, że nie wie, o co dokładnie chodzi i tylko tyle usłyszał. Gdy skończył, odwrócił się na pięcie i wrócił do kaplicy. Zostałem, a w porównaniu ze mną żona Lota, zamieniona w słup soli, wyglądałaby na najbardziej ruchliwą osobę na świecie. Po chwili ruszyłem do Staszka i opowiedziałem mu o wszystkim. Wysłuchał i odrzekł, że na wyjazdy zagraniczne zgodę wydać musi prowincjał (najwyższy przełożony), ten nie jest chętny wyprawom do Medjugorie, ponieważ Stolica Apostolska nie odniosła się wyraźnie do wydarzeń w tym mieście. Jeśli jednak naprawdę tego pragnę, mogę następnego dnia pojechać do Krakowa i spróbować. Na tym zakończyliśmy naszą rozmowę. Udałem się na spoczynek, oddając Bogu podczas modlitwy wieczornej całą tę sprawę. Jak większość mężczyzn, ja również musiałem się z tym pomysłem oswoić, więc poszedłem spać.

Ranek przyniósł rozwiązanie. Gdy odstłoniłem żaluzje, pierwszym, co ujrzałem, był samochód prowincjała. Lubię szybkie załatwianie spraw, ale nie zależało mi, by wszystko rozwiązało się aż tak prędko! Wyglądało to tak, jakby góra przyszła do Mahometa. Głupio byłoby nie skorzystać, więc udałem się na poszukiwania prowincjała. Funkcję tę pełnił wtedy o. Ryszard Modelski, którego nie znałem zbyt dobrze, bo zjawił się na Kapitułę Prowincjalną bezpośrednio po powrocie z Afryki i od razu został mianowany przełożonym. Wiedziałem, że jest całkiem sympatyczny i lubi nasze kabarety, ale to za mało, bym mógł powiedzieć, że miałem "plecy" czy znajomości u władzy.



O. Ryszard przywitał mnie serdecznie i chętnie zgodził się na rozmowę. Podczas spaceru wokół kościoła w Tenczynie, wyjawilem mu moje plany opuszczenia Zakonu i zapytałem o możliwość wyjazdu do Bośni i Hercegowiny. Od razu wyraził zgodę i zapewnił o swej modlitwie. Wiedziałem, że nie powinienem być tego mówić, ale skoro nie pozwalał wcześniej nikomu, chciałem upewnić się, czy rzeczywiście wie, co mówi, czy nie zjadł żadnych grzybków lub nie pił sfermentowanego kompotu, więc podkreśliłem wyraźnie, że chodzi o wyjazd do Medjugorie! Prowincjał, zamiast odpowiedzieć od razu na moje pytanie, powiedział:

- Adam! Rano obudziłem się w Krakowie i od razu poczułem, że powinienem pojechać do Tenczyna. Nie wiedziałem tylko, po co? Teraz już wiem - miałem z tobą porozmawiać. Dlatego mówię ci: "Jedź i pomódl się o rozeznanie swego powołania!"

Miesiąc po rekolekcjach Oazy Rodzin siedziałem w autokarze, jadącym na południe. Janusz Lewandowski polecił mi pewnej sympatycznej kobiecie, której imienia nie pamiętam, a która jechała do Medjugorie w intencji swej córki, która miała zamiar wstąpić do Zakonu. Samo Medjugorie zrobiło na mnie wspaniałe wrażenie. Ludzie z całego świata, modlący się razem i uśmiechający się do siebie. Zaskoczył mnie widok Amerykanina z Teksasu, który ubrany był w typowy strój kowbojski, lecz chodził ulicami z różańcem w ręku. Tam nikt nie wstydził się okazywać swej pobożności. I właśnie podczas pobytu w tym małym miasteczku, podjąłem ostateczną decyzję. Przez dwa dni lał potężny deszcz. Wracaliśmy właśnie z ośrodka dla narkomanów, gdy wpadłem na pomysł, by odłączyć się od grupy nieopodal góry Križevac, po

czym udać się na szczyt, odprawiając Drogę Krzyżową. Słusznie przypuszczałem, że na szczycie nie spotkam nikogo, bo kto zechce moknąć, w dodatku idąc boso (taki panuje tam zwyczaj). Gdy stałem obok kierowcy, podeszła do mnie moja towarzyszka podróży i zapytała, czy może udać się ze mną na szczyt? Zgodziłem się, bo nie wypada zakazywać komuś modlitwy. Gdy stanęliśmy w strugach deszczu u podnóża góry, wypowiedziałem na głos moją intencję o rozeznanie powołania, a moja znajoma swoją: za rozeznanie powołania przez córkę. Uśmiechnąłem się, zdając sobie sprawę z ironii sytuacji - ja chcę odejść, gdy inna osoba pragnie wstąpić do Zakonu. Stwierdziłem żartobliwie, że wyruszamy w strugach deszczu, ale wrócimy w słońcu. Tak rozpoczęła się ta niezwykła Droga Krzyżowa. I, choć trudno w to uwierzyć, natychmiast po zakończeniu naszej modlitwy słońce opromieniło całą górę i idealna pogoda towarzyszyła nam aż do samego miasta. Wtedy zdecydowałem ostatecznie, że powinienem odejść z Zakonu.

Natychmiast po powrocie do kraju udałem się do mojego wychowawcy i spowiednika. Ogłosiłem im moją decyzję, myśląc, będą uradowani. Jakież więc było moje zdziwienie, gdy od o. Jacka usłyszałem, że w ciągu ostatniego roku zmieniłem tak wiele, iż zezwala mi na pozostanie we Wspólnocie, zaś mój spowiednik, o. Tadeusz, zadał mi tylko jedno pytanie:

- Adam, czy Ty wiesz, co będziesz robił po odejściu?

Przyznaję, że zaskoczył mnie całkowicie, bo przez cały ten czas nigdy nie zastanawiałem się, co zrobię ze swym dalszym życiem. O. Tadeusz wpatrywał się we mnie z uwagą. Po dłuższej chwili namysłu, powiedziałem:

- Może to głupio zabrzmieć, ale nigdy nie myślałem o tym. Wiem, że powinienem odejść, ale nie wiem, co dalej. Nie mam jeszcze żadnych planów.
- W takim razie – podjął o. Tadeusz – powinieneś odejść, choć nie ukrywam, że jest mi z tego powodu przykro. Potwierdzeniem słuszności Twojej decyzji jest fakt, że nie planowałeś niczego w zamian. Bóg Cię wzywa do innych zadań, bo nie masz żadnych zabezpieczeń i planów. Zaufaj Mu - i idź!

Po uroczystości Św. Franciszka z Asyżu, kiedy wygasły mi śluby czasowe, zdałem habit i inne akcesoria zakonne, spakowałem mój plecak, odebrałem ofiarowane mi przez przełożonego pieniądze na rozpoczęcie życia od nowa, po czym wyszedłem z Klasztoru. Stanąłem na rozwidleniu trzech dróg. Nie wiedziałem, dokąd pójść...

Po chwili namysłu, skręciłem w prawo. Skierowałem się do domu mojej dawnej przyjaciółki – Ani – na kawę, a później...

Ale to już zupełnie inna historia...

## Coś od serca

***„Wiele mógłbym wam napisać, ale nie chciałem używać karty i atramentu. Lecz mam nadzieję, że do was przybędę i osobiście z wami porozmawiam, by radość nasza była pełna” (2J 0, 12)***

Zdaję sobie sprawę z tego, że jeśli szukałeś sensacji, Drogi Czytelniku, po lekturze moich wspomnień musisz być zawiedziony. Nie znajdziesz tu seksualnych skandali, terroryzowania czy innych “brudów”.

Podczas pobytu w Klasztorze spadło na mnie wiele kłopotów, ale i sam sprawiałem innym problemy. Nie będę tym, który rzuca kamień w kierunku ludzi, z którymi dane mi było żyć pod jednym dachem. Przecież Jezus powiedział: ***„Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem”*** (por. J 8, 7). Pragnę zaświadczyć, że jestem dumny z mej zakonnej przeszłości i nieproporcjonalnie więcej wyniosłem z Zakonu, niż mogłem doń wnieść.

Do dziś spotykam się z życzliwością ze strony współbraci i wiem, że są ludzie, którzy bez względu na to, co robię i gdzie jestem, zawsze pamiętają o mnie w swych modlitwach. Niech te strony będą wyrazem wdzięczności wobec tych, których Pan postawił na mej drodze, a którzy mają niewątpliwie

zaszczyt noszenia habitu Św. Franciszka. Dziękuję za świadectwo, dobre słowo, za to, że Wasze domy są zawsze otwarte dla mojej rodziny, że po dziś dzień wielu z Was gości w moim domu, ilekroć jesteście na Śląsku.

Wiem też, że nie dorównam Wam w modlitwie, ale będę o Was pamiętał, ilekroć uczynię znak Krzyża.

**Adam Maniura**

## **Spis treści**

Wstęp	3
Przedśpiew	8
Początki	12
Pierwsze kroki	22
Sędziszów Małopolski	26
Pobyty czasowy u Kraka	63
Dzień jak co dzień	75
Pierwsze kroki seminarzysty	80
Pokusy	95
Życzę Ci zdrowia	100
Goście i w gościnie	111
W podróży	120
Być dla innych	135
Świętowanie	141
Tarcia	153
Zupa fasolowa	161
Spotkania Młodych i tym podobne	169
Do źródeł	178
Co zatem się stało?	181
Coś od serca	188



### **O autorze:**

**Adam Maniura** – ur. w 1970 roku w Bytomiu. Jest katechetą w I Liceum Ogólnokształcącym im. J. Smolenia oraz IV Liceum Ogólnokształcącym w Bytomiu. Współpracuje z Wyższym Seminarium Duchownym Braci Mniejszych Kapucynów w Krakowie, gdzie prowadzi ćwiczenia z Katechetyki oraz z Centrum Kształcenia Liderów i Wychowawców im. P. Arrupe w Gdyni.

W latach 1991-96 pozostawał w Zakonie Braci Mniejszych Kapucynów Prowincji Krakowskiej. Ukończył Papieski Wydział Teologiczny w Poznaniu. Od 2001 roku jest żonaty, w 2002 został szczęśliwym ojcem. Jego żona urodziła córkę – Julię.

**[www.granice.pl](http://www.granice.pl)**

---

### **O książce:**

„...Niebanalna jest również opowieść „Dlaczego nie zostałem Kardynałem?” Książka, napisana pod wpływem programów telewizyjnych i artykułów prasowych, poświęconych zakonnym i seminaryjnym patologiom, jest przede wszystkim świadectwem o normalności Kościoła. Adam Maniura; eks – kleryk w Zakonie Braci Mniejszych Kapucynów, ukazuje 5 lat swego życia we Wspólnocie i ludzi, których poznał. Wspomina ich przede wszystkim jako osoby normalne – z całym bagażem **wad, przeżyć czy nawet dziwactw, są oni ludźmi normalnymi**. Opowieść ta nie będzie więc atrakcyjna dla żądnych sensacji, zainteresować może natomiast łaknących prawdy o życiu zakonnym czy nawet – zastanawiających się nad podjęciem tej drogi.